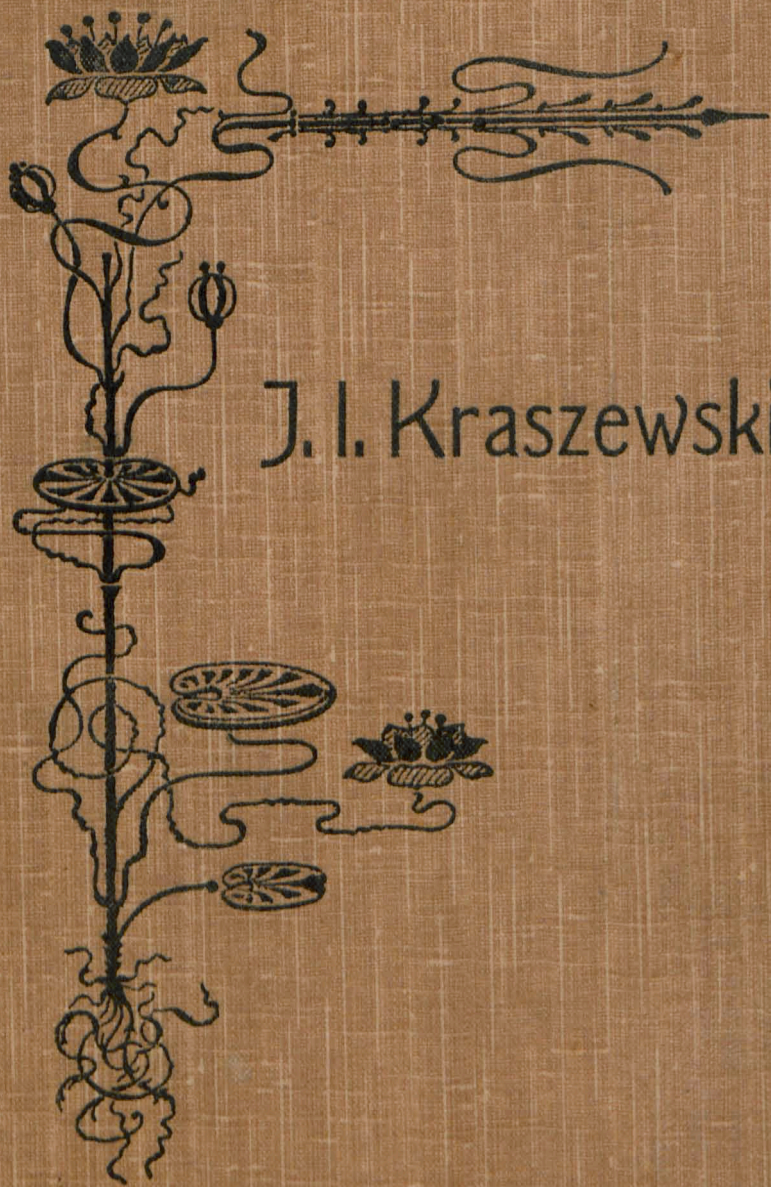




J. I. Kraszewski

STACH Z KONAR.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW KAŻMIERZA SPRAWIEDLIWEGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM III.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Druk J. Jeżyńskiego, Daniłowiczowska 16.

1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Июня 1899 года.



196/191 275

I.

Kraków, ku któremu niedawno jeszcze życie płynęło strumieniami wartkimi ze wszystkich ziem, ze wszystkich Polski krańców, tej pamiętnej wiosny drętwiał zwolna i pustoszał.

Przychodziło to nieznacznie, stopniowo, ale wszystkim się czuć dawało, w powietrzu cisza była, jak przed nadeżdżającą burzą. Nikt o niej dobrze nie wiedział, z kąd przyplynie, a przewidywali ją wszyscy z mnogich znaków, które zwiastują gromy, wszystkim ciężko oddychać było.

Wieści jakieś chodziły dziwne, niezrozumiałe, groźne, ludzie się jacyś pokazywali i znikali, jak ptacy co wróżą nawałnice.

Opieszałość, zwątpienie ogarniały wszystkich. Bojaźliwsi chcieli już bezpieczniejszego szukać przytulku. Najwięcej trwożyło to, że ziemianie i rycerstwo, którzy tu dawniej tłumami przybywali i przebywali ciągle, lud co na zamek płynął, duchowieństwo co się na rady do biskupa zbierało, zwolna niknąć zaczęło.

Wojewoda Szczepan, który tu przemieszkował i był dawniej na zawołanie Mieszka, wyciągnął ze swemi pułkami i nie powrócił — dom jego stał zamknięty. Biskup uszedł, w dworcu jego kilku ledwie księży zostało.

W rynku i po ulicach rzadko który z ziemian się pokazał, na krótko, przejazdem, jakby mu tu było niemiło i niebezpiecznie — z konia prawie nie zsiadając, zawracali do domów.

Kupecy stali z założonemi rękami przed sklepami i straganami, wypatrując oczy; nie było w rynku i ulicach nikogo, oprócz swoich. Cudzoziemcy, kramarze włoscy, którzy tu stawali po dni kilka, musieli towar sprzedawać kupcom, bo do nich się nikt nie zjawiał.

We dworach ziemian ledwie pozostali odzwierni i stróże. Gdy ich o panów pytano, milczeli, ruszali ramiony, nie wiedzieli o nich nic. Po kościołach w niedziele i święta obcego człeka z okolicy widać nie było.

Dokoła zamku szczególnie — pustynia się stawała coraz większa, dzika, głucha, martwa. Kietlicz, który jeszcze za rozkazami pańskim po dworach i osadach szukał kogoby do sądów pochwyć, nie znajdował żywego ducha. Cudem jakimś zawsze ci, co byli obwinieni a mieli być ujęci, podparłszy kołem wrota, zawczasu z domostw uchodzili.

Urzędnicy dworscy, których posyłano na zwiady, powracali nie dostawszy języka, niektórym po drodze grożono, tak że uchodzić nazad musieli. Nieposłuszeństwo i opór rosły. Nie występowały one do walki, cofały się, zdały czekać aż wybije naznaczona godzina.

Ci, na których najwięcej rachowano na Wawelu, albo jak panowie z Tęczyna przybywali chmurni i zaszepieni, lub się już całkiem nie pokazywali.

Z rozkazu księcia Kietlicz nie zmieniał postępowania, nie popuszczono oków żelaznych, któremi spętanych trzymać chciano. Ale Mierzwa na sądy przychodził najczęściej nadaremnie, bo nie było sądzić kogo, a biedota zaciągnięta pod ławę sędziowską, skarbniemu tylko swą skórę dać mogła.

Ten niemy a twardy opór całej ziemi, gniew

Mieszka obudzający, Kietlicza z natury swej srogiego, czynił okrutnym, niemal go do wściekłości rozjątrzał.

Lecz gniew księcia był zimny i zacięty, nie wybuchał nigdy, gdy Kietlicz miotał się w nim bezsilny, sobie więcej szkodząc niż drugim.

Po ustąpieniu wojewody i ucieczce biskupa szczególnie, czuć się dało na zamku, że węzły wszelkie, łączące go z ziemianami podległemi, zerwane zostały.

Kietlicz rozsyłał na zwiady, przynoszono mu wieści groźne, albo niezrozumiałe. Rycerstwo skupiało się i kędyś ciągnęło, nie na Kraków jednak i nie przeciw księciu otwarcie, wysuwało się i znikało. Sprawy ziemiańskie były w rękach duchownych, oni dawali hasła, oni kierowali tą jakąś robotą podziemną i skrytą.

Ze dworu Mieszkowego oddziały, które po gościńcach i dobrach duchownych idąc, przewodu i strawy żądały, wedle obyczaju — w kilku miejscach zuchwale odparto siłą. Kietlicz natychmiast biegł pomścić nieposłuszeństwo, ale nie znalazł na kim, uchodzili mu winowajcy.

Groźby straszne latały w powietrzu. Nie napał stował jeszcze nikt, ale cofało się wszystko.

Co najdziwniejsza, na zamku samym posłuszne straże, urzędnicy, służba pańska, czeladzie, co dawniej skinieniu były uległe, stawały się krnąbrne, milczące, leniwe — karać nie było można, bo i ztąd zbiegało wielu.

Kietlicz z przerażeniem postrzegł, że mu ubywało ludzi. Nikt nie wiedział, gdzie się to podziawało. Powoli z więzień i ciemnic zaczęli uchodzić ci, których trzymano za nieopłacone kary. Część ich, gdy ją wysłano pod strażą do kopalni Olkuskich, razem z przystawami zginęła.

Każdy dzień położenie to pogorszał. Mieszek, nie pytając, widział i czuł co się stało. Kietlicz nie

donosił mu, ale się rzucał i złościł napróżno. Naostatek stanu tego ukryć nie było podobna, codzień wybitniej dawał się widzieć nawet obcym, na zamku pustoszało jak w mieście; w zastępstwie tych co zbiegali, nikogo zaciągnąć nie było podobna.

Zięć Mieszka, czeski książę, sam już wygnany, z pomocą przyjść nie mógł, Niemieczy czekać kazali, bo w domu mieli niepokoję.

Bez walki z rąk wymykało się wszystko.

Gdy Mieszek, wyjechawszy na łowy i kilkanaście dni na nich spędziwszy, po spotkaniu z Kaźmierzem na zamek powrócił, zastał go огоłoconym z ludzi bardziej jeszcze, a Kietlicza upojonego gniewem.

Najgorliwsi pomocnicy jego: Bereza jednooki, skarbnik Juchim, Mierzwa podsędzia, gdy ich do rady przyzywał, milczeli wymownie, umywali ręce, stawiali na stronie jako podwładni, zrzekając się współzawodnictwa czynnego we wszelkiej robocie. Słuchali jeszcze, ale biernie i kwaśno.

Serb Bereza stanowił wyjątek, ten się rzucał, ale mu się nie wiodło.

Kietlicz czuł, iż niewidzialne niebezpieczeństwo rosło, ale że na jego rękach było wszystko, nie śmiał żalić się, aby nań nie spadała wina.

Starzy ludzie cicho szeptali, że w ten sam sposób zmuszono do ustąpienia Szczodrego i że Mieszek jak on wynosić się będzie musiał.

Po powrocie księcia w następną niedzielę, zamkowy kościół czasu nabożeństwa nie mieścił w sobie nikogo oprócz szczupłej garstki dworskich. Ziemiannina na mieście nikt nie zobaczył, do księcia nie zjawił się żaden, nawet z żałobą. Posłano po bliźszych — nie przybyli. Jedni na łowach być mieli, w podróży drudzy, inni chorzy. Mieszek znosił to z dumą milczącą, jakby wiedzieć nie chciał.

Starszy syn jego, z Elżbiety pierwszej żony, Otto, na którego pomoc rachował ojciec, niechętny macosze i rodzeństwu, znikł także ze dworu nadąsa-

ny, i mówiono, że gdzieś ruszył ku Wielkopolsce. Ojciec niepokoił się nim i gryzł, Kietlicz więcej jeszcze, ale syna pańskiego imać nie mógł, choć czuł, że od niego też gotowało się nieposłuszeństwo, a może spisek z nieprzyjaciół.

Tak z dnia na dzień szło coraz gorzej.

Na zamku snuli się ludzie, których tu nikt nie znał. Przychodzili niby do kościoła, niby za jałmużną, opatrywali wszystkie kąty, rozgadywali się długo ze strażami po wałach, ze służbą, z parobkami, a potem znikali. W ich miejscu nazajutrz stawili się inni.

Kilku kazał Kietlicz uwięzić jako włóczęgów, innych przepędzić za wrota, wyświecić za miasto. Niewiele to pomogło. Pod wrotami ze strażą ciągle kupki jakieś przychodniów gwarzyły.

Zamkowi ludzie służyli inaczej, gorzej, a gdy Kietlicz groził, Bereza się mordował z niemi; najczęściej zbiegostwem się kończyło.

To uciekanie coraz groźniejsze przybierało rozmiary; jednooki codzień przychodził z oznajmieniem, że dwu, pięciu i dziesięciu ludzi w nocy zabrakło. Wrota stały zaparte, spuszczały się z tynów i wałów. Posyłano pogoń, ci co z końmi i orężem wyjechali, nie powracali już więcej.

Kietlicz obliczał z trwogą, że wkrótce zamku nie będzie już kim obronić.

Nakoniec Juchim oświadczył, że gotów zdać urząd i pieniądze, bo nie miał co robić, nikt nie płacił. Mierzwa dał znać, że srodze opuchł i na zamek nie przychodził. Czeladź pańska wystraszona, przerzedzona, oglądała się tak, jakby z dnia na dzień ją i pana ztąd przegnać miano.

Pomiędzy resztą załogi chodzili wieści osobliwe. Mówiono, że ziemianie krakowscy tłumami płynęli do Sandomierza, inni na drodze nad Wisłą stali obozami, jakby na coś czekali. Oddziały ich miały się gromadzić w Mogile, Opatowcu, Połańcu, Osieku, aż do samego Sandomirza. Szeptano, że biskup i wo-

jewoda pojechali do Kaźmierza i zabrawszy go, mają z nim ciągnąć na Kraków.

Gdy jednego z tych ostatnich dni trwogi, Bereza znowu obliczając ludzi, co dzień w dzień teraz musiał czynić, znalazł znowu ubytek w nich znaczny, a z resztą pozostała w zatarg wszedłszy, złążany i wyszczuty szyderstwy, ująć od niej musiał, przybiegł do Kietlicza strwożony i wściekły.

Kietlicz i tak już od dwóch dni potajemnie wozy swe słał do Budziszyna, nie będąc pewien, czy się tu ostoi. Panu jednak nie donosić nie śmiał. Teraz już lub nigdy pora była się rozmówić.

Jedno tylko dodawało męztwa Serbowi, to, że Mieszek go nie tracił. Jak był chmurny, milczący a spokojny, tak pozostał, choć nie mógł nie wiedzieć, co się działo około niego. Trwogi nie okazywał najmniejszej.

Gdy Kietlicz wszedł doń, zmierzył go oczyma bystro.

— Miłościwy książę—odezwał się Serb—dłużej już milczeć mi się nie godzi. Żle z nami, źle u nas! Ludzie nas odstępują. Biskup i ziemianie na gardła nasze nastają, wszystkich do siebie przyciągnęli. Żle z nami, uchodzą wszyscy, a teraz już słyszę, że Kaźmierza na nas prowadzą z siłą wielką.

Mieszek zbył go pogardliwym milczeniem.

Wytrzymawszy go u progu chwilę nie małą, nie na to nie odpowiedział, począł pytać głosem ostrym, a groźnym, ile jeszcze Kietlicz miał ludzi? z kądem o zbliżaniu się biskupa i księcia były wieści?

— Nawet języka już dostać trudno—odparł namiestnik.—Kogo poślę, ginie, albo go pochwyć lub uciecze. Wszyscy się na nas spiknęli, nikogośmy dziś nie pewni.

— Gród zaprzec, ludzi nie puszczać, gotować do obrony—rzekł Mieszek zimno.

— Nas i ci co są zdradzą—odezwał się Serb.—

Jeśli weczas nie ujdziemy, to nas tu pochwyć jak borsuka w jamie.

Mieszek ruszył ramionami, popatrzał na Kietlicza i odezwał się głosem podniósłszy.

— Gród zamknąć! rozumiesz! kogo podejrzewasz o zbiegostwo, powiesić na wałach. Bronić się musimy. Kaźmierz choćby przyszedł, nie porwie się na mnie siłą—nie.

— Ziemianie się rzucają bez niego.

— On nie dopuścił

Serb chciał coś mówić jeszcze, Mieszek ręką skinął i usta zamknął. Ustępować nie myślał.

W południe tegoż dnia, Bereza na zwiady wysłany, bo jego jednego Kietlicz był pewien, przybiegł czwałem napowrót, strwożony, oznajmując, że ogromne ziemian tłumy obozują pod Mogiłą, i wyprzedzając biskupa Gedkę z Kaźmierzem, ciągnąć mają na Kraków sami. Stało się, co Kietlicz przepowiedział, co chwila przednich straży ich spodziewać się było można.

Mieszek posłyszawszy to, zbroję sobie tylko gotować kazał.

Kietlicz już bez wiadomości jego wozy powyciągać i skarbiec pański na nie ładować rozrządził, książęna, niewiasty, dzieci, potrwożone płaczem i narzekaniem napelniały podwórze, książę siedział spokojny niemal, nie bolało go nic oprócz tego, iż syn Otto opuścił go.

Postawiono na noc silne straże, zaparto wrota, nikt do snu kłaść się nie myślał. Bereza znowu poskoczył z kilku wiernymi w stronę Mogiły i powrócił nazad przed brzaskiem oznajmiając, iż wielka moc ludzi już jest w drodze do Krakowa.

Tymczasem zrana, mimo, że gród na Wawelu był szczelnie zamknięty, ludzi tylu nie stało, że wrót i głównych miejsc nie było kim obsadzić.

Mieszek wyszedł sam ich obliczać, nie powiedział nic, dał rozkaz wozy gotować, a reszcie ludzi

w godzinę potem na konie siadać. Gromadka około księcia tak nieliczna była, że na osłonę wozów prawie nie starczyła. Mieszek się i tem nie strwożył, zbroje wdział, szyszak włożył, miecz przypasał, na pozór obojętnie to czyniąc.

Sam potem obszedł nie wielką garść, która na zamku zostać musiała, przykazując jej, aby zamku nie oddawała.

— Ja wyciągam, ale powrócę rychło — rzekł — na niewiernych i zdrajcach pomszczę się strasznie. Nie długo tu będzie obce panowanie.

Gdy uszczuplony bardzo orszak książęcy z wozami, książną, dziećmi młodszymi i Kietliczem wyciągnął z zamku, z dawnych sług nikt go nie przeprowadzał, nie pokazał oczów — znikli i ci.

W milczeniu wyjeżdżał Mieszek tak spokojny na pozór, jakby jechał na łowy. Powtarzał ciągle:

— Powrócę! gardłem mi odpowiedzą, za wszystko!

Gdy przez podzamecze, miasto i przedmieścia przyszło jechać, żywa dusza, w progu domostw się nie ukazała. Gród stał jak wymarły z okiennicami pozamykanymi, psy tylko w podwórcach pozamykane za bramami ujadaly.

Cisza ta grobowa trwała czas jakiś, aż Mieszek, jego żołnierze, wozy, czeladź długim ciągnące się sznurem, wywlekały precz na pola.

Dopiero gdzieś na dachach pokazały się ludzkie głowy, tu i owdzie ostrożnie zaczęto otwierać wrota, odsuwano okiennice. Ludzie bojaźliwie rozglądając się, wysuwali na ulice.

Szmer jakiś poszedł po mieście, rósł, powiększał się, zmienił w gwar jakby szumiały lasy, jakby morze mruczało.

Nie wiedzieć z kąd, jak z pod ziemi wyrastali ludzie na wałach zamkowych roilo się już.

W ulicach stawały kupki gwarząc, niektórzy wyszli poubierani świątecznie. Czegoś zdawano się wyglądać i czekać.

W tem od Mogiły gościńcem, w tumanie pyłu z wrzawą jak wichur wtargnął oddział ziemian z proporczykami u włóczni. Było ich tam kilkuset, za niemi szedł drugi okrzykujący coś niezrozumiale; wprost się rzucili ku wrotom, na zamek. Tu wszystko stało otworem, nikt ani myślał się bronić; tylko po ciszy długiej buchnęło wrzawą, hałasem, okrzykami radosnymi, wśród których brzmiało ciągle Kaźmierzowe imię.

Zamek już bez walki, bez oporu zajmowali na księcia, Jaksa, stary Żyra, Cholewa i inni ziemianie.

W podwórcu, na którym ślady kół od wozów Mieszka świeże jeszcze były, nowi ludzie ślali się już obozem, a starszyzna po zamku pustym gospodarzyła. Pozostała czeladź otwierała drzwi, pokazywała drogi, służyła żwawo; na wszystkich twarzach widać było radość, usta się śmiały. Nikt koso nie patrzył, nikt się nie chmurzył, księcia co tu wczora panował, śladu ni pamięci już nie było w ludziach — nikt ani stęknął po nim.

Nowe sitko wieszano na kolku ochoczo i weselo.

Miasto w jednej godzinie jakby zmartwych powstało, w rynku obozował oddział inny, dworki ziemian się pootwierały, mieszczenie szeroko rozkładali wrota swe i w progach częstowali spragnionych.

Rozpoczynały się jakby gody weselne. Na pozostałych zausznikach Mieszka i Kietlicza nikt się nawet nie myślał mścić, nie srożył na nich i nie odgrażał, bo i ci nowemu panu służyć byli już gotowi.

Coraz to gościńcem wpadał więcej proporczykami, wołając, trąbiąc, swawołąc nowy oddział rycerstwa. Jedni szli zwiększać załogę zamkową i tak już liczną, drudzy się rozkładali obozami u stóp góry, rozgaszczali na placach przed domostwy, które im gościnnie otwierano.

— Jedzie zbawca nasz z niewolil

Wołaniem takim oznajmowano Kaźmierza.

Wieczorem spodziewano się jego przybycia,

kościół na Wawelu stroił się w zieleń, posypywano drogi liśćmi i kwiatem; duchowieństwo przybywało gromadnie na dworzec biskupi. Wrota jego długo zaparte, otwarły się na oścież, dwór Gedki, którego nie było wprzód widać, chodził strojno i zbrojno.

Toż samo na wojewodzińskim było w mieście kto co miał warzył, dym słupami walił z dymników, beczki dobywano z piwnic, w rynku jak w wielkiej izbie rozkładali się ziemianie, wnosząc sobie ławy i stoły.

Ale największe ludu zbiorowisko było na drodze, którą Kaźmierz do zamku miał jechać z biskupem. Tu nie tylko postrojeni w kozuchy i długie szaty mieszczanie, kupcy swoi i cudzoziemcy w strojach różnych, żydzi w kapeluszach śpiczastych, rycerstwo we zbrojach, ale mnóstwo ponbieranych jak łatki niewiast w oknach siedziało, stało we wrotach, cisnęło się nad gościńcem.

Najpiękniejsze twarzyczki występowały na przdzie, a około nich śmiechem bujało i słówkami strzelało raźnie, bo rycerstwo rade na świeże mieszczańskie dziewczuchy wytrzeszczało oczy na nie i zaczęło słowy śmiać. Żadna z nich niby nie słyszała i nie rozumiała, nie spozrzała, ale po białych ich twarzach rumieńce migwały jak błyskawice i śmiech drgał na ustach choć je sznurowały.

Bogate baby i dziewczki wyglądały tak okazałe jakby rycerskie niewiasty. U niejonej łańcuch się zwieszał na szyi, czółko stało na głowie od złota, ręce błyszczwały w pierścieniach całe, pasy świeciły od kamieni; niejona też więcej oczyma jaśniała niż klejnotami. Więc młodzież rycerska wołała sobie:

— Ej! tę z brzegu, to bym wziął i miłował mocno?

— A i ta w pośrodku z kosami złotymi, choć ją zjedz!

— Mnie ta biała jak pieróg do smaku, żeby ją

choć pocałować... człek by czuł miód na ustach do trzeciego dnia!

Wszystkie do których się to stosowało, rozumiały dobrze do kogo pito, pionoła każda a oczy spuszczały, a piersi podnosiły się żywo, zaręczyć nie można, żeby z ukosa patrząc nie szukały z ką głoś wychodził.

Z drugiego szeregu mężczyźni tak naciskali na pastliwie, że tu i owdzie krzyk się dał słyszeć, ale ze śmiechem wesołym zmieszany. Tylko panom mieszczańom koło serca było niedobrze, choć im to pochlebiali, że ich niewiasty tak pięknie występowały — ale zazdrość kasała.

Zmierzchało już, a ów zapowiadany Kaźmierz się nie ukazywał, natomiast coraz nowe poczty przybywały.

— Oto ciągną! oto idą! — wołano poznając okolicznych ziemian.

Oczy się obracały ku gościńcowi tęskliwie, na którym za pyłem ledwie coś szarzało zdala.

Tuż, jakby na dany znak, z dzwonnicek po kościołach zaczęło dźwięczeć radośnie na jakąś weselną nutę. Rozkołysały się dzwony, rozśpiewały coraz ochoczej, coraz żywiej, coraz głośniej, ze dwu, ze trzech urosło tyle na raz dźwięku, iż ludzie stojący obok siebie, rozmówić się już nie mogli.

Wszystkiemi głosy wołały dzwony jak ludzie.

— Zbawca nasz z niewoli.

Jasne, cienkie, grube, ciężkie wołania ich zlewały się w chór jeden.

— Bogu na chwałę, Kaźmierz przybywał!

Na twarzach jak w dzwonnów śpiewie radość była niezmierna, wszystkie mówiły:

— Zbawca z niewoli!

Rycerstwo siadało na konie, włócznie z proporczykami unosząc do góry.

Na gościńcu tuman się wzbijał i opadał.

Ujrano naówczas przodem jadącego na okrytym

koniu biskupa Gedkę, który w bok się lewą ręką ująwszy, prawą trzymał podniesioną jak do błogosławieństwa. Na twarzy jego był wyraz zwycięstwa i dumy. Obok niego jadący w ciemnej sukni z jednym łańcuchem na szyi, Kaźmierz błady, strwożony, z oczyma na dół spuszczone, wydawał się jak więzień lub żaczek, którego szkolnik wiedzie ze sobą.

Przecież te oczy spuszczone i pokorne oblicze były tak piękne i tak ujmujące, po twarzy ponurej Mieszka, iż wszyscy ujrawszy go z uniesieniem wołać zaczęli:

— Zbawca z niewoli!

Krzyk się wzniósł taki, że zagłuszył dzwony, widać było jak Kaźmierz zbladł trupio, zachwiał się na koniu, głowę spuścił jeszcze, ku zamkowi na który go prowadzono, nawet spojrzeć nie śmiejąc.

Tam z wałów wiały już chorągwie i okrzyki leciały ku niemu. Biskup pochylił się szepejąc jakieś słowa, które go pokrzepić i orzeźwić miały, ale Kaźmierz nie dźwignął głowy, jechał ciągle jak winowajca na opróżnioną brata stolicę, z trucizną w sercu.

Za nim na koniu dzielnym ciągnął wojewoda Szczopan wasa podgryzając, dalej co najprzedniejsi krakowscy ziemianie, stare rody tutejsze, ojczyce odwieczni, co razem z Piastami tu przyszli, albo przed nimi się poczęli.

W orszaku księcia jechał i Stach, któremu oczy błyskały i weselem razem i łzami, dalej Wichfried szczęśliwy i co żyło przyjaciół tego, który dotąd nie miał wrogów.

Ten dzień miał mu ich uczynić.

Po drodze ciągle stawać było potrzeba, zachodzili mu ją i zajeżdżali mieszczanie, duchowni, panowie, żupani zamków sąsiednich, którzy już je na imię Kaźmierza pozdawali.

Powtarzano ciągle:—Żyw bywaj, zbawco nasz!

Strwożony w sumieniu gwałtem, jaki na nim popełniono, pół żyw wjechał Kaźmierz i stanął u progu

kościola na Wawelu. Tu stał archidjakon w szatach uroczystych, z krzyżem i wodą święconą i duchowni wszyscy nucąc hymn ambrożyjski, hymn tryumfu i dziękczynienia, któremu przygrywały dzwony.

Przodem wszedł biskup, za nim książę do ołtarza wielkiego, przed którym padł na kolana, twarzą na ziemię i płakał.

— Odwróć Panie ten kielich odemnie!

Gdy się to działo, dworek skarbnego Juchima, po nad samą wjazdową drogą, którą książę przeciągał, stał tak zamknięty i zabity szczelnie, jakby w nim wymarło wszystko, lecz kto by był zajrzał do środka po nad wysokie z dylów grubych parkany, zobaczyłby przez szpary przypatrujących się pochodowi a drżących, bladego Juchima targającego rzadką brodę siwą i bledszego jeszcze Mierzwę, trącego niespokojnie twarz ściągniętą trwogami i troską. Oba milezeli, jakby się lekali wydać głosu, by ich nie zdradził.

Z nich dwu Juchim się jeszcze zdawał odważniejszy, Mierzwa choć męztwa sobie dodawał popijając potrosze, choć się krzepił na duchu filozoficznymi argumentami, chwilami zimnym oblewał się potem.

Wśród tych co z Kaźmierzem przeciągali, poznawał ludzi, których sądził. Juchim liczył tych, których odzierał i mękami zmuszał do oddania ostatniego grosza. Wszystko to teraz zwyciężkie zapamiętać im miało!

Poprzeciągały już oddziały, zdala słyhać było tylko huki, wrzawę, wołania na zamku i dzwony, a w mieście tłumne okrzyki—na gościńcu pusto już było, a oni stali jak wkuci i patrzali jeszcze.

Juchim z orszaku dojrzał po za księciem jadącego Stacha, zdziwił się mocno i pomyślał.

— Winien mi grzywny, ja mu się ich nie upomnę—ale go zwolnił, mógłby o tem pamiętać!

Gdy oba o padającym już mroku zeszli ze stanowiska, skarbný i Mierzwa spojrzeli sobie w oczy i głowami potrzęsli.

— No, a co teraz będzie?—zamruczał Juchim.

— Co ma być!—odparł Mierzwa, udając wielce śmiałego — nie boję się niczego! Sądziłem, jak mi sądzić kazano!

— Cóż ja gorszego?—zawołał żyd—jam te pieniądze pobierał, któreście mi brać kazali!

— No, tak! tak—rzekł Mierzwa—ale nie chciałbym być w waszej skórze! Ja siedziałem na ławie z prawem w rękę, wy jak przyszło wycisnąć grzywiny i na mękiście brali.

— Czy to z niemi można było inaczej?—zawołał żyd—albo to ja grzywiny dla siebie ściagał? Hm. Ja w waszej skórze nie chciałbym być. Gdyby nie wasz sąd nie byłoby moich grzywien.

— Słuchaj Juchim — przerwał Mierzwa—ani ty mnie, ani ja ciebie, wy jak powinniśmy się zdradzać i oczu sobie wykalać.

— Na co my mamy zdradzać? po co mamy kłuć! — rzekł Juchim.

Mierzwa po chwili powtórzył, co już mówił nieraz.

— Oni się bezemnie nie obejdą! kto tak zna wszelki zakon jak ja!

— A z kąd oni wezmą grzywien, gdy ja im nie pokażę kędy one są? — dodał Juchim zadumany.

Pocieszali się, a jednak zadumali wielce niepokojni.

— Kogo ty masz? — spytał Mierzwa.

— Ja? nikogo! samego siebie!

I Juchim stuknął palcem w głowę.

— To mało, ja muszę kogoś szukać.

— Jak ja szukać zechcę, może też znaleźć! — rzekł żyd.

Przyjaciele stali jakby nieufni naprzeciw siebie jeden chcąc wybadać drugiego.

— My powinni iść razem, a nie na siebie zrzucać winy! — dodał Mierzwa.

— Który z nas zaszkodzi drugiemu—rzekł żyd—albo to niema czem mu oddać!

Mówili jeszcze urywanemi słowy, gdy do wrót silnie dobijać się zaczęto.

Był to Stach, który choć w orszaku księcia z innemi przybył, dla wielu oczów i świadków nie chciał na zamku nocować. Szukał sobie na uboczu miejsca, z któregoby mógł pana swego strzedz, niewidziany bronić go i osłaniać. Tymczasowo trzeba mu było kąta, w którymby stanął gospodą.

Dworek Juchima w sąsiedztwie zamku nastęrczył mu się i choć nie wiedział kto w nim mieszkał, obyczajem ówczesnym przybył prosić o przyjęcie, próbując czy mu się tu wcisnąć nie uda.

Wrota były zaparte, biegł już do nich odrapany sługa, gdy Juchim przelekły, obawiając się, aby go na niebezpieczeństwo głupotą nie naraził, z gniewem go odepchnął i sam do bramy pośpieszył.

Pomimo mroku mógł jeszcze dojrzeć kto się dobijał i osądzić czy wpuścić go było można, wypraszać się lub bodaj opłacić.

Przyłożył więc oko do wąskiego otworu i pilno przypatrywać się zaczął. Poznał Stacha. Był mu na rękę. Trwoga i nadzieja razem go objęły.

Stach dobijał się ciągle jak pan, wołając, aby otwierano. Juchim zapytał po cichu czego żądał?

— Czego? a to się rozumie, że gospody! — odparł przybyły. — Przyszliśmy z księciem, na zamku dla wszystkich miejsca niema. Otwierajcie a żywo! Niewiele mam ludzi i koni. Jest nas trzech, zapłacę za wszystko, dachu mi tylko i tajni potrzeba.

Gdy się to działo, Mierzwa niepewny kto przybywa, ukrył się, ale nasłuchiwał.

Wahał się jeszcze Juchim.

— To gospoda nędzna, licha—zawołał — niema gdzie postawić koni, dla miłości waszej wygody nie będzie.

— Ja jej nie potrzebuję—mówił Stach, nalegając — koniom byle dachu kawał, aby im na grzbiet nie ciekło. — Otwieraj.

Stach z Konar. T. III.

Po krótkim namyśle Juchim kazał wrota otworzyć, a Stach z Żegciem i służbą natychmiast w dziedziniec wbiegli. Wrota z obawy, aby się kto więcej nie przypytał, co rychlej zaparto.

— Będziecie mnie od drugich bronili — rzekł Juchim przystępując i kłaniając się. — Hej! hej! my z miłością waszą nie od dziś znajomi, to się dobrze złożyło!

Stach poznawszy skarbnego ramionami ruszył.

— A no — rzekł — jeśli myślisz, że ja ci grzywny przywiozłem, omylisz się srodze.

— Al! al! ja żadnych nie potrzebuję — rękami strzepując odezwał się Juchim. — Co za grzywny! One pojechały z tym co go tu niema!

I wskazał w stronę, w którą się Mieszek oddalił.

Stachowi z powodu grzywien i żyda gospoda się nie zbyt miłą wydała, lecz gdy raz tu wpadł, a pod noc sobie innego kąta szukać nie mógł, musiał przyjąć co los naraił.

Trochę zakłopotany Juchim go do izby prowadził.

— Mówilem miłości waszej, że u mnie wygody mieć nie będziecie. Na posłanie chyba siano i ko-bierezyk lichy, dla koni niema nic. Jadło! al! jakie u mnie jadło! nędzne — ja człowiek ubogi.

— Ubogi? wy? — rozśmiał się Stach wchodząc za nim.

Uśmiech szyderski do żywego tknął Juchima, który wprost z obojętności chłodnej przeszedł do największego roznamiętnienia. Posądzenie go o zamożność było dlań najstraszniejszą groźbą.

Podniósł obie ręce wychudłe wskazując na istotnie nędzną izdebkę do której weszli.

— Wasza miłość nie chcecie wierzyć ubóstwu mojemu! Albo mnie Mieszek i Kietlicz nie dał ze skóry jak innych — zawołał. — Al! gorzej niż innych! Na wyjeźdnem ostatni im grosz oddać było potrzeba! Ja z głodu mogę umierać! Kto mnie dziś pożywi, kto się ulituje?

Stach z lekka go uderzył po ramieniu.

— Bądźcie dobrej myśli — odezwał się — pan nasz nowy, którego wam przywiedliśmy, sprawiedliwy jest, bogobojny, litościwy, z nim i wam lepiej będzie i wszystkim. A i ci co z tym panem jada, nie dra-pieżne sępy są, ale ptactwo spokojne.

Juchim skłonił głowę z poszanowaniem.

— Służyłście księciu Mieszkowi — dodał Stach.

— Ja? — przerwał Juchim — a kto mu nie musiał ze strachu służyć? każdy człowiek życie ratuje.

Tak się rozpoczęła rozmowa, poczem Juchim mimo ubóstwa, na które skarżył się, postarał o godne gościa przyjęcie. Sam poszedł po chleb biały, wino i jakieś słodycze, które na miedzianej tacce w saraceńskie wzory rysowanej przyniósł Stachowi.

Ten więcej potrzebował spoczynku niż pokrzepienia, miał też do myślenia wiele. Uzbierało mu się na duszy i dobra i złego dostatkim.

Najgorętsze życia jego pragnienia były dopięte, Kaźmierz wszedł na stolicę. Lecz na tem się nie kończyło. Tu dopiero oczekiwać go miały największe niebezpieczeństwa, zdrady ludzi, podstępny, knowania, walka z Mieszkim i rodzeństwem jego; chciwi polowu przyjaciele, chciwe panowania nad panem nie wiasty.

Od tego wszystkiego chciał go bronić. Czuł dobrze, że teraz stanęli dopiero na placu boju, gdzie największego potrzeba było czuwania i pilności. On, jak sobie z dawna ślubował, stać musiał na straży nie ukazując się, być wszędzie widocznym, nie oddalać się na chwilę, czuwać, szpiegować. To była życia jego pokuta.

Jak temu podolał? sam nie wiedział, Bogu się oddając, który na czyste patrzył serce i na niebezpieczną drogę aniołów stróżów miał zesłać.

Westchnął, zostawszy sam, o pomoc do niebios.

Troska już jedna kamieniem na sercu mu leżała.

Nie mając innego celu w życiu, nad wywdzięczenie się panu swojemu, śledził wszystko pilno co go otaczało. Nie uszło oka jego i ucha, że Dorota zastawiła sidła na słabego pana. Od pierwszego spotkania z nią na Skalach, Stach powziął do niej wstręt i obawiał się zalotnicy. Dojrzał już jak w Sandomirzu zabiegała, aby sobie do księcia utorować drogę. Wiedział, że Wichfried był u niej, że ją wieczorem na zamek prowadził, i że tam długą chwilę przebyła.

Trwożyło go to wiele.

— Zła niewiasta — mówił w duchu — zalotnica przebrzydła życie mu zatruje, troski i srom nań ściąganie, opanuje nazbyt dobrego pana!

Wszystko co słyszał o wdowie, co widział sam, przejmowało go wstrętem. Znając z młodości Kaźmierza, wiedział, że urokowi niewieściemu oprzeć się nie umiał, i że im napastliwszą tem była dlań niebezpieczniejszą.

I o tem posłyszał Stach, że jej kazano za Kaźmierzem pojechać do Krakowa. Pierwszą więc robotą, jaką sobie zadał, było, księcia od niej uwolnić ale jak to uczynić? nie wiedział jeszcze.

Gdy mu siano i kobierczyk przyniesiono, a Żegieć zniósł juki i pościelać przyszedł, Juchim stał jeszcze na uboczu, czekając czy czego niezapotrzebuje. Na myśl przyszło Stachowi wszystko wiedzącego żyda zapytać o wdowę, którą z jej szaleństw w Krakowie znano. Sądził, że się dowiedzieć może od niego, gdzie Dorota w Krakowie zamieszkać mogła, bo był pewnym, że na zamek nie będzie śmiała się wcisnąć. Począł trochę z przelaju, o panów z Tęczyna zagadując go, którzy z Mieszkim trzymali.

— Trzymali oni z nim — odpowiedział Juchim — ale pod koniec i oni już, gdy ich wołał, jechać do niego nie chcieli. Moźni są, przecież z panem i całą ziemią do wojny nie staną.

— A co się z siostrą ich stało? — dodał Stach.

Juchim ze wstrętem ramionami ruszył.

— Któż ją wiel — bąknął.

— Pono zamknąć ją chcieli?

— No — rzekł Juchim — aby ona teraz tylko ich nie pozamykała! Wszystkim wiadomo, że stary wojewoda, choć żonę ma, choć go za to biskup łaje, bardzo się w niej rozmiłowuje... A ona by córką jego mogła być!

Juchim splunął nieznacznie.

— Onaby tu w Krakowie dom swój mieć powinna? — spytał Stach.

— Jakżeby nie miała, ma, jeżeli bracia nie zabrali. Dwór był bardzo paradny! Będzie w nim bardzo wesoło! — rzekł żyd szydersko.

A gdy Stach pytał więcej, zakończył stary.

— Wielkiego rodu pani, ale to jest niewiasta o jakiej król Salomon nasz, który wiele od nich wycierpiał, powiedział, że gorszego nad nie na świecie nie ma nie!! Niech Bóg od niej broni każdego pocziwego czleka.

II.

Nad ledwie uśpioną stolicą, wstał ranek letni, złocisty, pogodny, jasny, ciepły, jakby uroczystości nieba błogosławiły. Miasto, które ucztowało noc całą, teraz odpoczywało.

Ledwie czeladź pilniejsza poruszała się gdzieś niedzie ziewając i wyciągając się, konie podróżą popodbijane ciągnąc i pędząc do wody.

Wczorajszego przyjęcia wszędzie jeszcze widne były ślady. W ulicach tam i sam stały ławy, po-

wynoszone wieczorem dla chłodu, stoły pooblewane miodem i piwem. Na ławach pod domami, na przyżbach, ci co się do środka dostać nie mogli, albo nie chcieli, leżeli pookrywani ladajako, chrapiąc na twardych deskach jakby na najmiększym posłaniu. Nie wszędzie drzwi pozamykano i pozasuowano okna. Wozy, które się pod szopami nie zmieściły, stały w rynku i na ulicach, a konie do nich poprzywiązywane resztek siana w głębi szukały.

Spało miasto, tylko po kościołach o swej godzinie dzwonki się już odzywały po jednemu, cicho, jakby nie wszystkich budzić chciały.

Na zamku tłumno było. I tam jeszcze po wczorajszym wieczorze nieład panował; tylko ziemianie troskliwi, aby ich kto nie ubiegł, ostawili wały ludem do koła, gęsto pourządzali strażę, a we wrotach oddział cały wnijsć pilnował. Podwórza na obóz wyglądały, tak w nich pełno było koni, wozów, różnego ludu i broni. Bezludnie, ale gęsto porozkładali się ci co tu przywiedli Kaźmierza do koła budowli, pod wałami, u szop i wszędzie.

Choć cisza panowała na zamku dużo ludu ruszało się już i krzątało. Starszyzna w obawie jakiego podstępu i zdrady, chodziła opatrując wszędzie kąty i zaglądając ludziom w oczy.

Chociaż miłość dla księcia Kaźmierza okazała się wczoraj tak powszechną, tak wielką, iż nigdy może żaden z książąt tryumfalniej nie wjeżdżał na stolicę, witany z taką radością i uniesieniem, zawsze się Mieszka i jego stronników obawiano.

Wojewoda ze swojemi ludźmi częścią na zamku stał, częścią pod nim. Biskupiego dworu rycerskiego znaczny oddział z półkównicami się tu znajdował.

Pilnować się musiano nie tylko od Mieszka, ale od samego Kaźmierza, z którym sprawa nie była dokonaną. Wzięto go wprawdzie i na stolicę wprowadzono, ale opierającego się i zarzekającego. Widział,

że zdobywać jej nie potrzebował, bo mu się wszystkich serca same rzucały pod nogi, bramy same otwierały, ale biskup czuł, że dobrowolnie ciężaru, jaki mu na ramiona wkładano, nie przyjmie, że na skienienie brata ustąpić gotów, a nawet dopomódz do odzyskania władzy. Był panującym z musu nie dobrej woli, posłusznym losowi, nieprzekonanym jednak, aby powinnością jego było panować i by miał do panowania prawo. Musiano więc stać przy nim na straży i zmusić go, by cugle wziął w ręce.

Zadanie to głównie przypadało biskupowi. Wistocie nie Kaźmierz panował tu, ale Gedko z ziemianami krakowskimi. Kaźmierz był jakby w niewoli u nich, z której nie powinni go byli wypuścić.

Z kilku słów, z całego obejścia się wnosili, iż najłżejszego starczyłoby pozoru w tej chwili, aby ustąpił do Sandomirza, którego żałował.

Naradzano się po cichu, jak go tu strzymać, jak przekonać i umocnić. Nadewszystko z oka go spuszczać, ani sobie samemu zostawić nie było można. Ułatwiałoby zadanie to, że biskup miał za sobą i księżnę Helenę i wszystkich przyjaciół Kaźmierza: Jaksię, Góworka, Wichfrieda. Najbliżsi serca jego chcieli go widzieć na stolicy i gotowi byli pomagać, aby się na niej utrzymał. Wszyscy w tym pobożnym spisku byli z biskupem.

Jeden Kaźmierz opierał się swojemu przeznaczeniu. Ze łzami wyjechał na ten zamek, płakał, modłał się w kościele, powtarzał to, że się przywłaszczone brzydził władzą i że się tu nie za pana, ale za czasowego uważa tylko dzierżawcę.

Musiano czuwać nad nim.

Od wczorajszego wieczora jawnem było, że się tu za gościa uważał. Pustka, w której wszędzie jeszcze ślady żywe po Mieszku zostały, łzy mu z oczów i westchnienia wyciskała. Wichfried dopominał się, aby rozporządził pomieszczeniem, wybrał komnaty, naznaczył te, które miał zająć. Kaźmierz odpowiedział

mu niecierpliwie, że gdziekolwiek obozować może, a siedzieć się nie myśli.

Wieczorem, gdy odszedł na spoczynek, słowa się z niego dopytać nie było można. W nocy ci co spali w izbach sąsiednich, słyszeli go modlącego się głośno i wzdychającego ciężko.

Nim książę wstał, Jaksa, który się tem niepokoił, pobiegł na radę do biskupa. Tu już, mimo godziny rannej, ludzie byli na nogach, a sam Gedko za stołem siedząc, listy rozpisywać kazał, wzywając biskupów na radę.

Ziemiańskie stali, czekając na rozkazy pasterza, gdyż ztąd płynęło wszystko. Kaźmierz nie chciał się rozporządzać, ani za pana uważał. Był to rodzaj bezkrólewia, wśród którego duchowieństwo z ziemianami władzę dzielić musieli.

Ze dworu biskupiego pisma się rozchodziły na całą ziemię. Naprzód Arcybiskupa Gnieźnieńskiego zawiadomić musiano, aby go mieć z sobą. Nie było to wątpliwem.

Do dworca biskupiego przybywali jedni, wysyłano ztąd drugich, czynność i ruch były wielkie. Gdy Jaksa nadszedł, mimo, że Gedko mocno był listami zajęty, zobaczywszy go, wstał zaraz ku niemu.

— Ojcie — odezwał się Jaksa — co myślicie dalej? Zdawało się nam, żeśmy już dopięli celu, a najcięższe pono dopiero teraz przychodzi. Książę nie swój, pomieszany, przybity, wyrwać się nam gotów.

Całą noc, jak mi komornicy mówili, przetrwał na modlitwie i niepokoju. Sumienie gryzie go. Do dnia już pobiegł do kościoła, poznać go trudno, tak mu się twarz mieni trwogą i frasunkiem. Dziś też rano kazał sprzęty i zasoby wysłać, które po Mieszku zostały, a komornikowi wyprawionemu z niemi, poufne dał zlecenie, by uspokoił brata, iż władzy przywłaszczać sobie nie myśli i pracować będzie dla poje-

dnania. Zdaje się, że i sprzęt wyprawił tylko, aby poselstwo to wysłać.

Biskup westchnął i zmarszczył się nieco.

— Radzić na to musimy — odpowiedział — nie z nagle, ale powoli i stopniowo. Sprzeciwiać mu się wręcz na nic nie zdało, czas wiele dokona, my też nie zaśpiemy. Książę lubi mądrych i uczonych ludzi, rad biesiaduje z niemi, musimy mu dać takich, coby go uspokajali w sumieniu i nauczali o obowiązkach. Znajdziemy ich, a i sami nie zostaniemy bezczynni. Główna rzecz spełniona, reszty Pan Bóg dopomóż dokonać.

Piękną jest rzeczą ta miłość braterska i praw starszeństwa poszanowanie — dodał — lecz tu dla miłości większej nas wszystkich, dla losu ziemi tej, dla sprawy religii świętej, książę się poświęcić musi.

Zwolna ukołyszemy to sumienie pocziwe a nie-spokojne.

Mówiąc to, biskup zdawał się Jakse chcieć pocieszyć, sam z bezpieczeństwem patrząc w przyszłość.

Jaksa po ludzku biorący rzeczy, rozrywkę, zajęcie, ludzi i spraw użyć radził, aby księcia wciągnąć i niejako zmusić do panowania, nie dając mu spocząć. Użył nawet porównania tego, iż gdy łowiec ptaka unosić chce, spać mu ani tchnąć nie daje, wrzawą go upajając.

— To wasza rzecz — odparł, bystro poglądając Gedko. — Czuwajcie tylko nad tem, aby rozrywki go dziwne były a nie płoche, bo najlepszej rzeczy złemi środkami czynić się nie godzi.

Naradzali się więc, choć biskup nie zdawał się trwogi Jaksy podzielać i rachował, że Kaźmierz uledek musi. Tem też i jego uspokoił.

Mowa była jeszcze o tem, że dopóki książę milczącym jest i w sobie zamkniętym, zawsze się obawiać on należy, a lepiej zmusić go do jawnego wypowiedzenia myśli, ażeby ją pokonać argumentami,

którymby oprzeć się nie mógł. Biskup rachował na duchownych, na ojca Luejusza, scholastyka Lamber-ta, nawet na młodego ulubieńca Wincentego, któ-rych wszystkich na zamek wysyłać miano.

Jaksa i z tem się wydał na końcu, że posadzał księcia o zamiar ucieczki z Krakowa, tak, że straż koło niego stawić było potrzeba.

Biskup zlecił to jemu i przyjaciółom, tymcza-sem inni pasterze przybyć mieli, aby dopomódz Ged-ce do działania na opornego. Rozmowa z Jaksą trwała dość długo, a owocem jej było, że czuwać postanowiono, biskup wlał w niego otuchę, jaką sam był ożywiony, iż wszystko da się zwolna po myśli ułożyć.

Wyszedł ze dworca Jaksa z danem mu hasłem i zarządził tak, iż dnia tego ani na chwilę prawie Kaźmierza samym nie zostawiono. Coraz nowe przy-bywały ziemian gromadki przynosząc mu hołdy, dzięk-czynienia i skargi boleściwe na Mieszka. Z przykro-ścią i zdumieniem słuchać musiał Kaźmierz żalób tych na brata i ludzi, któremi się posługiwał.

Zaprzeczał czasem i uniewinniać się starał, lecz dowody były zbyt jawne, i składanie winy na Kie-tlicza, oczyścić Mieszka nie mogło.

Żale te, utyskiwania, opowiadania o rządach i sądach, czyniły na księciu wrażenie tem boleśniej-sze, iż się co chwila bardziej przekonywał, jak wpro-wadzenie napowrót Mieszka, trudnem było, niemal niepodobnem. Jedni obawiali się zemsty, drudzy uraz i krzywd nie mogli przebaczyć, wszyscy błogo-sławili Boga, iż ich wyzwolił z tej kaźni.

Tak spłynął ten pierwszy dzień, bez wytechnie-nia prawie dla Kaźmierza, a gdy późnym wieczorem wymknął się do pustej komnaty swej dla spoczynku po tym gwarze i piasku, Wichfried, który mu towa-rzyszył, znalazł go tak godnym politowania, że rad-by był czemkolwiek bądź weselszą myśl, rozrywkę poddać jakąś.

Zdało mu się, iż przypomnienie pięknej wdowy potrafi rozbić te mroki. Wichfried wiedział już o jej przybyciu i nie wahał się z lekkomyślnością, do któ-rej książę był z jego strony nawykły, oznajmić mu po cichu, z uśmiechem, iż Dorota rozkazów usłucha-ła i w Krakowie się już znajdowała, a dom jej nie-żbyt daleko położony, łatwo było odwiedzić, gdyby książę życzył sobie tego. Namawiał nawet na to, powiadając, że po dniu takiej pracy ciężkiej, nale-żała chwila lepszej myśli.

Kaźmierz odrzucił tę pokusę z jakimś wstrętem, mając zbyt wielki ciężar na sercu, a głowę czem in-nem zaprzątniętą, ale Wichfried znając go, nie ustąpił.

— Niemożliwa to — rzekł — aby się księciu Do-rotą nie podobała; grzechu przecie wielkiego nie ma posłuchać szczebiotania i popatrzyć w oczy.

Kaźmierz głową potrząsnął.

— Niewiasta i piękna i urokliwa — rzekł — tem też więcej obawiać się jej trzeba, bo napastliwa jest, nieopatrna i ludzie o niej prawią nadto.

— O! miłościwy panie — przerwał Wichfried — co ludzie prawią, to najczęściej potwarz, zazdrość i zła wola. Więcej w tem kłamu niż prawdy. Książę byś przynajmniej zmuszony był się rozechmurzyć, bo my tu w Krakowie pomrzemy od smutku.

— A pocóżecie mnie tu przywieźć? — odparł żywo Kaźmierz, chwytając go za słowo — nie prosił-żem się was, abyście mnie zostawili w spokoju?... Tak jest, i biskup i wojewoda i wy wszyscy uczyni-łiście co chcieli ze mną, ale mnie zrobiliście naj-nieszczęśliwszym z ludzi!

Nie mogę spojrzeć na zamku ściany, nie rumie-niąc się upokorzony, bom tu przywłaszczycielem nie-prawym. Cień Mieszka chodzi za mną — cień ojca wyrzuca mi nieposłuszeństwo!

Wichfried zbliżył się doń żywo i pochwycił za rękę.

— Wszakże książę — zawołał — nie nastawaleś

ani na władzę jego, ani na panowanie; byleś zmuszonym. Mieszko winien sam; ojcowie duchowni żądali tego, domagali się i rozwiązały sumienie, możesz więc być spokojnym i czuć się niewinnym!

Wszystko, co Wichfried mógł znaleźć w sobie dla uspokojenia go, pozostało bez skutku. Kaźmierz mileczący i pogrążony, nie dał znaku przyzwolenia.

Do wieczerzy Gedko umyślnie zesłał scholastyka Lamberta opata Benedyktynów z Tyńca Kaźmierza, Wincentego młodego i kilku duchownych.

Lepiej to pomogło niż wszelka pociecha, na jaką Wichfried się mógł zdobyć. Czoło się nieco rozchmurzyło, wzrok stał jaśniejszym. Duchowni przyszlizli już uprzedzeni, niosąc z sobą twarze wesole i myśli swobodne.

Nie potracano w rozpoczętej rozmowie o sprawy teraźniejsze, nie mówiono o tem co się stało, unikano rzeczy obecnych, ale składało się tak jakoś, iż z historii starożytnej ciągle przychodziły przekonujące przykłady, jako po wszystkie czasy tyranom władzę odbierano, nowych do panowania powołując książąt, a gdzie *vox populi, vox Dei* przemówił, podać się jego wyrokom koniecznością było.

Szczególniej młody Wincenty obfiity był w przytoczenia historii dawnych państw różnych, których mu niesłychana pamięć jego dostarczała. Słuchał Kaźmierz z zajęciem. Wśród opowiadań i inne przedmioty przychodziły na stół, odwracając myśl od teraźniejszości, książę zwolna ożywił się, zdał zapominać o sobie i cały zajął rozprawami, które się jedne z drugich rodziły.

Scholastyk przywodził Pismo Święte, Wincenty pisarzy świeckich, a opat Kaźmierz wesółym humorem ucztę zaprawiał.

— Błogosławiona ta chwila—mówił—gdy Bóg ześle narodowi pomazańca wedle serca swojego, naówczas ziemia kwitnie, lud się weseli, podnosząc klasztor i gród niebieski przedstawia państwo szczęśliwe!

— A wszystko to — dodał scholastyk — miłość i łaskawość tworzą, nie groza i surowość niezłagana, które tylko przeciw zbrodni orężem są koniecznym.

— Ziemi tej naszej — wtracił opat — jakże potrzeba miłościwej ręki, aby w niej zakwitła i ona jako sucha różyczka w ręku Józefowem.

Kaźmierz, gdy mowa wyraźniej do niego się zastosować dawała, spuszczał oczy. Frasunek powracał.

— Sprawiedliwego męża potrzeba nam — dodał scholastyk.

— Ale sprawiedliwość — przerwał książę — nie łączna jest, bo każdy jej gdzieindziej szuka, inaczej widzi, a oczy ludzkie mylą się często.

— Co i historie stare dowodzą — wtracił młody Wincenty. — Jedna z nich opowiada, jako za panowania Cezarowego*) prawo było postanowione, iż: ktoby niewiastę porwał gwałtem, w mocy jej będzie albo dlań żądać śmierci, lub zmusić do poślubienia bez wiana. Mówią tedy, że się raz przygodziło, iż mąż pewien, w jednym i tym samym dniu dwie niewiasty porwał i krzywdę im na cześć uczynił. Pochwycono go i przed sędziego stawiono, gdzie obie niewiasty przyszły z żalobą. Jedna nań śmierci, druga ślubu żądała. Cóż postanowił sędzia rozumny? Oto przyznał tej niewieście pierwszeństwo, która miłosierniejszą była.

Wszyscy słuchacze przyklasnęli powieści Wincentego, a Kaźmierz żywo zdał się nią zajmować. Co widząc Wincenty, wkrótce o żywocie ludzkim i losach człowieka drugie opowiadanie rozpoczął.

— „Był raz władzca, pragnący wielce poznać i zbadać ludzką naturę. Znajdował się podówczas w królestwie jego mędrzec niektóry, ludziom radami swemi wielce pomocny. Zastyszawszy o nim król,

*) Gesta romanorum.

posły wyprawił, aby natychmiast przybywał. I rzekł mu: — Mistrzu mój, chcę od ciebie mądrości i nauki zaczerpnąć. Powiedz mi naprzód: Czem jest człowiek? Mędrzec odpowiedział na to:

— Człowiek nędzarzem jest przez cały ciąg swego żywota. Patrzcie na początki jego, na czasy pośrednie i koniec; ujrzycie, iż wszystkie one pełne nędzy i dolegliwości.

Dla tego czytamy u Hioba: „Człowiek z niewiasty zrodzony, przepelnion jest nędzą wszelką.

„W początkach biedny jest i bezsilny, w średzinie życia utracony a na duszy bolejący, w końcu ziemia go pożera. Przeto, królu miłościwy, dumnym się być nie godzi“.

— Rzekł król—odpowiedz mi jeszcze na cztery pytania, a uczynię cię dostojnym i obsepnię bogactwami. Pierwsze pytanie: Co jest człowiek? drugie: komu on podobny? trzecie: gdzie on jest? czwarte: z kim?

Na pierwsze pytanie odparł mędrzec: niewolnikiem śmierci, gościem na ziemi, przechodniem wędrownym.

Do kogo podobien? powiem do lodu, który się od gorącości roztopia, w niwecz idzie i w ziemię wsiąka.

Trzecie pytanie: gdzie on jest? wśród wszelkiej wojny, przeciwko światu, szatanowi i ciału.

Czwarte: z kim? odpowiem: siedmiu ma towarzysów, co go trapią ciągle, a ci są: głód, pragnienie, gorąco, zimno, znużenie, choroba i śmierć.

Zabawiano tak księcia, który się wielce powieściami temi zajmował, ucząc ich chciwie, i gdy tak do późna gwarzyli udało się w końcu chmury rozpędzić i przywieść do tego, że na ustach uśmiech się zjawił.

Postrzegł jednak Wichfried, gdy sam na sam zostali, że po krótkiej chwili zaduma i troska wróciły. Na Niemca, jako najpoufalszego i najśmielszego, zdali wszyscy staranie o rozrywki, o utrzymanie w Kra-

kowie księcia, okazującego do pobytu w nim wstręt a za Sandomirzem tęsknotę.

Nazajutrz Wichfried rano łowy za Wisłą w lasach przygotował, a że ziemian ofiarowało się w pomoc wielu, najraźniejszych i najweselszych wybrano, ruszając w lasy ku Tyńcowi, gdzie opat za obfitość zwierza zaręczał.

W istocie powiodło się polowanie i książę pochwycony niem, otoczony śmiejącami się twarzami i sam też poczynił być dobrej myśli, ale w powrocie do Krakowa, gdy sami z Wichfriedem pozostali, niemiec już z trudnością dobyć mógł z niego słowo. Dojrawszy zdala Wawel, Kaźmierz wzdrygnął się i oczy spuściwszy milezał.

Wichfried naówczas ważył się znowu przypomnieć mu wdowę.

— Miłościwy książę—odezwał się—towarzysze nasi zdala pozostali za nami, my ich o wiele wyprzedzamy, na zamku u nas strasznie jeszcze pusto, ja tu gospodę znam, w której nas przyjmą radzi!

Książę nie nie odpowiedział, jechał dalej. Tak się sami do miasta dostali, a Wichfried pokierował wprost do dworu Doroty. Wprawdzie się ich tu nie spodziewano, ale z obawy braci, wdowa się oddalić nie mogła, pewien więc był, że ją zastaną.

Tak było w istocie, od przybycia bowiem do Krakowa, Dorota się ciągle księcia spodziewała, wiedząc, że zatęskni za nią, nie ruszała się nigdzie, w oknach i na wyglądach próżnych całe dnie spędzając. Ujrawszy dwu jeźdźców zbliżających się do dworu, poznała w nich zaraz, a raczej domyśliła się Kaźmierz z jego towarzyszem i wybiegła uradowana na ich przyjęcie. Zsiadli w podwórzu z koni, gdy Dorota skłaniając się do kolan Kaźmierz, z wielką natarczywością zapraszała do ubogiej chaty, jak ją nazywała.

W istocie przepychu tu nie było, gdyż oddawna

we dworze nikt nie mieszkał, lecz na służbie ze Skali sprowadzonej i na wygodach nie zbywało.

Kaźmierz jak gdyby nie wiedział dokąd przybył, zobaczywszy ją, ukląkł się nieco i do Wichfrieda zwrócił się z niemą wymówką, lecz oprzeć się nie mógł zaproszeniu i wszedł do środka.

Mileżącego księcia niemiec zastępował, opowiadając, że z łowów wracali, a książę pamiętny przyrzeczonej opieki, zboczył na chwilę, aby się dowiedzieć, czy jakiego przeciwieństwa od braci nie miała Dorota. Kaźmierz się nie odzywał jeszcze, a wdowa ze śmiałością wielką poczęła i żale swe wywodzić i z zwyciężnością dla dobrego pana się oświadczać.

— Al! gdyby nie wy miłościwy panie — mówiła — nie mówię już, że mnie czekałaby niewola gorsza śmierci, ale i innych dostojniejszych życie byłoby na włosku. Bracia moi teraz się już w Krakowie pokazać nie będą śmieli, ale kto wie co być może, gdy ze strachu ochłoną?

— Chociaż ja się tu za pana nie mam i brata mego zastępuję tylko — odezwał się książę — pocznę jako opiekun, przywołam braci waszych do siebie, wysłucham ich i was, aby uczynić zgodę.

— Zgodę! — zakrzyknęła wdowa — między nami a mną! Prędzej się świat skończy niż ona nastąpi, a co od nich posłyszycie o mnie, miłościwy książę, to mnie w oczach waszych zabijaj! Nie chcę, aby uszy wasze kalali potwarzami... niech się dzieje co Bóg da.

— Cóż więc dla was uczynić mogę, abym wam pokój zapewnił? — spytał Kaźmierz.

— Pozwólcie mi zostać pod opieką swoją — odezwała się, wdzierając Dorota — ja o to tylko proszę. Rzućcie czasem na mnie okiem łaskawem, więcej nie pragnę.

Książę chcąc wedle sumienia postąpić i broniąc się przeciw napastliwej niewieście, która go niepokoiła, dołożył z powagą.

— Nie lepiejżeby było, gdybyście wybór uczyniwszy, męża wzięli coby was w niestannej miał straż? odebrałoby to braciom niechętnym wszelkie do opiekowania się wami prawo?

Wdowa spojrzała na Kaźmierza i smutne przybrała oblicze.

— Nie, miłościwy książę — odparła, głową potrząsając — męża nie chcę, ani innego opiekuna nad was.

Wichfried w czasie rozmowy, naumyślnie trzymał się zdala, książę chłodnym się być starał, a wdowa tem silniej wszelkimi sposoby chciała przełamać te lody, przymilając natrętnie. Przy pierwszym posłuchaniu poznała Kaźmierza i czuła siłę swoją. Książę już się do odjazdu zabierał, a ofiarowanego mu napoju, w którym może czarów się lękał, przyjął się wzdragał, gdy Dorota widząc, że się jej ofiara wysliznąć może, zastąpiła mu drogę, pod pozorem sprawy swej, rozwodząc się nad nieszczęściem, nad prześladowaniem, nad dola wdowią. Mówiąc o tem, przybliżała się, ścisłała za kolana, chwytając ręce, uśmiechała z za mniemanych łez, spoglądała wyzywająco.

Niewieście te zabiegi w końcu dopięły celu, Kaźmierz o pierwszym swem postanowieniu zbywania jej chłodno, zapomniawszy, kolpak, który w ręku trzymał, rzucił, siadł i począł swobodniejszą rozmowę.

— Bracia muszą się gniewać na was, piękna Doroto — rzekł do niej — kiedy wieczorami takich jak ja i Wichfried gości sam na sam przyjmujecie! Ludzie mówią na starego wojewodę, że i ten lgnie do was, a drudzy i o wielu innych!

— Miłościwy książę — odparła wdowa — co na to rzec? Zazdrośni, którym drzwi zamykam, wymyślają na mnie. Wojewoda! — musiałam go prosić, aby mnie bronił, ale kto mi go wyrzuci, powinienby mu w zęby zajrzeć. — Innych nie znam. — Choćbym kiedy zalotną była a płochą, to nie dziś już.

Spojrzała tak na księcia, iż się zarumieniła — oczy mu błysnęły. Cichsza i poufalsza zawiązała się rozmowa, tem swobodniejsza, że Wichfried wyszedł do przedsieni, niby koni patrzeć i zupełnie samych ich zostawił. Po dosyć długiej chwili dopiero Kaźmierz wstał, a Dorota ciągle śmieszkami i szeptami go przeprowadzając, wyszła aż na podwórze. Ciemno już było w uliczkach, gdy Wichfried nie mówiąc nic, bocznymi ścieżkami do zamku go odprowadził.

Przez całą drogę nie rzekli słowa, zsiadając dopiero książę odezwał się do Wichfrieda.

— Nie dziękuję ci, choć gwoli rozrywce zawiadłeś mnie tam, bo zamiast niej, boję się, aby mi nowych pęt nie narzuceno!

Przy wieczrzy dnia tego weselej już było, a Wincenty znowu dobrawszy parę pięknych historyj, księcia starał się zabawić niemi.

Tak upływały dnie na zamku. W dworze biskupim daleko się czynniej zajmowano przyszłością. Postanowiono tu, nie księciu nie mówiąc, księżną Helenę z synkiem sprowadzić do Krakowa, aby już po zoru żadnego powrotu do Sandomierza nie było. Z drugiej strony zabiegliwy a niezmordowany Stach od rana do wieczora chodził, śledził, starając się odwrócić coby groziło, a księcia mocno na stolicy osadzić.

Człowiek był na pozór bez znaczenia i siły, ale przezorności i zabiegliwości niezmierniej. Począł od tego, że po noclegu u Juchima, na dłuższą go wzięwszy rozmowę, zyskał, jak mu się zdawało, w nim sprzymierzeńca. Skarbny potrzebował i bezkarności za przeszłość i na przyszłość zapewnienia. Choć z ostrożnością wielką i wahaniem Juchim rozmówił się otwarciej ze Stachem. Był nawet po swojemu szczerym w tej chwili, ale u niego zmieniały się nposobienia stosując do czasu.

Stachowi zdało się potrzebą zyskać w nim pomocnika.

— Chcecie być cali — rzekł mu — bądźcie wierni

Kaźmierzowi, oddajcie mu się szczerze, pomagajcie nam co z nim jesteśmy, aby go od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronić, radźcie, czyńcie — wyjdziecie na tem lepiej niż na powrót Mieszka czekając, który nie powróci nigdy. Ja dla was starać się będę.

Juchim był zrazu milczący i oględny, bąkał i na słowa wyciągał więcej niż sam się wywnętrzał, powoli jednak mówić zaczął.

— Ja? co ja wam pomódz mogę, albo radzić? — rzekł — nie moja to rzecz. Umieć tylko pieniądze liczyć, zamykać i pilno strzedz ich, wam kto inny — by był przydatnym, co głowę ma obrotną i język, a oczy bystre.

— Któż taki? — zapytał Stach.

— Nie bójcie się, ani brzydźcie nim — rzekł żyd — ten co was sądził. Mierzwał. To człowiek dla księcia!

Stach dobrze go sobie, choć ze wstrętem przypomniał, ale dziś gotów był użyć kogokolwiek, byle Kaźmierzowi zyskać pomocników.

Posłano po Mierzwę. Przewrotny tchórz na zawołanie się stawiał. Wszedł uginając się do kolan, bijąc w piersi, zwracając oczy, słodki nad wyraz i łagodny. Począł od tego, że Kaźmierza zawsze cenił, i kochał, a Mieszkowi ubogi człek z musu służył.

— Jak sądzicie, wy co go znacie? — spytał Stach — Mieszek nie będzie li się kusił o odzyskanie Krakowa?

Mierzwa pomyślał.

— Czemu nie? — odparł — owszem, uczyni to pewno, jeżeli tylko będzie mógł — ale można się starać, aby tego nie dopuścić.

Tajemniczo rzucił to słowo znaczące. On i Juchim spojrzeli po sobie.

— Jakim sposobem? — wtrącił Stach.

Mierzwa już z pierwszej pokory, wiedząc, że potrzebnym być może, przeszedł do tonu handlarza, który towar sprzedaje.

— Hm!—rzekł—trzeba na to przebiegłości, trzeba zabiegów. Sposoby są różne, ale kto rady daje, musi o sobie pamiętać.

Spojrzał w oczy pytającemu.

— Ręka rękę myje—dodał z półśmiechem.

— Bądźcie pewni — zrozumiawszy go, odparł Stach, że znajdziecie silne ręce za dobrą radę. Ja—niewiele mogę — ale dam wam opiekę tych, co dziś mogą wszystko.

Mierzwa śmiejącami się oczkami podziękował mu i głowę skłonił.

— Człek jest biedny — rzekł z pobożnym westchnieniem — żyć każdy potrzebuje, a jak o sobie sam nie pamięta...

— Mówcie tylko—przerwał Stach—a możecie mi zawierzyć, że darmo nie popsujecie gęby.

Podsędzia z tajemniczą postawą zbliżył się do Stacha i szeptać począł.

— Mieszek poszedł, ustąpił, bo musiał ale wprost pociągnął do Gniezna i Poznania zbierać tam swoich i Pomorzany. Z Kietliczem się tu naradzali, aby słać do ks. Sobiesława do Czech i do zięciów na Niemce. Ano — ztamtąd pomoc albo nierychła, lub żadna.

Tu przestał mówić nieco Mierzwa i znowu przybrał inną postawę i minę — głos nawet jego spoważniał i namaścił się proroctwem natchnieniem.

— Wszystko to się rozbije i pójdzie w niwecz — rzekł—gdy się jednego zażyje sposobu. Starszy syn Mieszka Otto, dla was drogie narządził! Zniemawidził on macocha naprzód, potem ojca dla srogości jego, jako pierworodny do Poznania rości i ma prawa—pełnoletni jest, ambitny.—Uszedł już ojcu i wypowiedział posłuszeństwo. Zyskać go trzeba. Niech książę Kaźmierz puści mą Peznań od siebie, Mieszkowi pod nogami ziemi zabraknie.

Dokończywszy Mierzwa się uśmiechnął zwycięzko i obejrzał do koła.

— Jakto? syn, poszedłby na ojca?—spytał Stach zdumiony.

— Mierzwa szydersko usta skrzywił.

— Ja go znam—rzekł—pójdzie! Ojciec go nie cierpi, bo macocha mu serce doń popsula. Otto go ma za wroga.

Juchim pokiwałszy głową, jakby się dziwił rozumowi przyjaciela, szepnął:

— Kiedy on mówi, tak być musi! on ich zna wszystkich!

Rada była niepocziwa, zdradziecka, przewrotna, Stach zadumał się mocno, zdała mu się niegodziwa.

— Możeż to być?—powtórzył — i przystałoż księciu takim sposobem się ubezpieczać?

Nie odpowiedział Mierzwa, tarł tylko brodę silnie i małemi oczkami biegał dokoła, wracając ciągle do Stacha.

— Jestem biedny człek obciążony rodziną—dodał wyczekawszy.—Co mam czynić? Gdybym wiedział, że sobie łaskę zyszczę i chleba kawałek, gotowem podjąć się pośrednictwa! Zatrzymał się nieco i dodał:

— Ja to zrobić mogę!

— Ale—rzekł znowu wstrzymawszy chwilę—potrzeba na to dobrego słowa i dobrych pieniędzy.

Stach dumął jeszcze, gdy Juchim rzekł po cichu:

— No, co? a gdyby na początek w skarbie pieniędzy nie było? Znajdę ludzi co pożyczą, byle im mennicę dać w dzierżawę. My księciu dobrze radzim i dobrze usłużyć chcemy.

Wahał się jeszcze Stach, gdy Mierzwa dołożył.

— Tego nikt nie zrobi tylko ja. Poślecie innego, sprawę popsowa — albo ja, albo nikt. Ottona znam, wiem gdzie go szukać.

— Czekaścież na mnie, przyniosę wam odpowiedź, a bądźcie pewni, że szczerze służąc, zyszczecie więcej, niż knując zdradę!—rzekł Stach w końcu.

Żyd i Mierzwa zakrzyknęli głośno przeciwko samemu o zdradę posądzeniu, oba już tak kochali Kaźmierza, że życie zań dać byli gotowi.

Z południa, zostawiając konie w gospodzie, Stach wyszedł z niej i pomyślawszy nieco, udał się wprost na dwór biskupi. Tu się teraz wszystko skupiało.

Przystęp nie bardzo był łatwy; oblegano Gedkę, ale Stach powiedział kapelanowi, iż szło o bardzo ważną sprawę, która się księcia tyczyła prosząc, aby go niezwłocznie wpuszczono, a szyję stawiając za to, że darmo nie zabierze czasu.

Po chwili otwarto mu drzwi do komory, do której i biskup wszedł zaraz, a zobaczywszy niepoczesnego i nieznanego czelaka, zrazu się zachmurzył.

Stach dostrzegł tego, pocałował go w rękę i odezwał się:

— Niech wasza przewielebność nie zważa, żem człek mały i nieznacznym, mali się też czasem na coś przydać mogą, gdy o wielkie chodzi sprawy.

— Mów, a krótko. Czego chcesz? — odparł biskup surowo.

Stach pokrótce, ale dobitnie opowiedział, jakim sposobem zabiegi Mieszka można było zwichnąć. Powtórzył co od Mierzwy słyszał.

Gedko słuchał z natężoną uwagą, nie kryjąc wstrętu, jaki to w nim budziło. Popatrzył na człowieka i zapytał go dopiero kto był? dlaczego tak gorąco jał się sprawy?

Stach ukląkł przed nim i ręce złożył.

— Przyjmijcie, ojeze, spowiedź moją — odpowiedział. — Wam tylko wyjawić mogę, kto jestem. Jam ten grzesznik śmierci godzin, com pana naszego Kaźmierza niegdy w zapamiętałości uderzył, ten, któremu on przebaczywszy, darował życie. Od tej chwili żyję tylko, abym go bronił, abym mu służył, abym mu dał tę krew, której oszczędził. Wam się powierzam ojeze.

Zdziwiony mocno biskup stał chwilę niemy, rękę

zwolna położył na głowie klęczącego i pobłogosławił go.

— Mogę więc wam zawierzyć i posłużyć się wami — rzekł po namyśle. — Czyń, co sądzisz, że można i godzi się, czyń i milez; mnie z tego będziesz zdawał sprawę.

Kapłanem jestem — dodał — nie godzi mi się rąk maczać w znowę taką, gdzie się zdrada knuje, choć gdy idzie o wybawienie państwa z więzów i niewoli, Bóg wiele przebacza.

Lecz jesteś pewien tych ludzi?

— Nie byłbym ich pewien — odparł Stach uradowany — gdybym sam nie miał czuwać nad nimi. Nie spuszczać ich z oka i w rękę dzierzyć będę.

Nie chciał więcej już biskup wiedzieć o niczym, dopytując tylko o przeszłość Stacha, o to, co czynił, gdzie był, jak się zachował po ocaleniu życia, badał go jak na spowiedzi, próbując człowieka. Na wszystko to odpowiadał on ze szczerością i skrucą, która serce kapłana ujęła. Przyrzekł mu powierzona zachować tajemnicę, nawzajem żądając, aby ją w stosunkach z nim zachował. Nakoniec dał mu błogosławieństwo i rzekł wychodzącemu:

— Wedle sumienia czyń, a tego co uczynisz nie głoś. Bóg z tobą!

Stach wyszedł uszczęśliwiony. Wprost by był pośpieszył do swej gospody, gdyby po drodze nie spotkał go Jaśko Bogorja, wracający od miodu i do brze podchmielony. Ten gwałtem go pochwycił.

Wyrwał mu się niecierpliwy Stach, ale z rąk napastliwych wyzwolić się było trudno. Jaśko potrzebował towarzysza i słuchacza. Ciągnął go znowu do wdowy.

— Piękna Dorota już tu mieszka — rzekł. — Gospoda miła, gospodyni piękna, drzwi otwarte zawsze, gdy takich jak wezora niema gości.

Rozśmiał się, okiem pomrugując.

— He? — spytał Stach.

— Wichfried — szepnął Jaśko — zawiózł jej wczoraj księcia, a kto tam raz wpadnie, nie dobędzie się łatwo. Dawno ona na niego łapkę stawiała!

Stach ręce zalał.

— Plotki są! — zawołał.

— Jako żywo, prawda — rzekł Bogorja. — Z polowania tam jechali wprost i siedzieli długo. Wichfried w progu wartę odprawiał.

Żgnęło to jak mieczem w serce Stacha, bał się złej niewiasty i nienawidził ją. Nie pokazał jednak po sobie nic, oprócz zdumienia.

Teraz już stanowczo wyrwał się Bogorji, ku któremu zdala inni towarzysze, równie jak on weszli, ciagnęli i pobiegł do swej gospody.

Został tu oczekujących Juchima i Mierzwę, którego blada twarz drgała z obawy i niecierpliwości, aby mu się robota niecuła, jaką się chciał zasłużyć, nie wymknęła. Obstąpili go oba, z oczów chcąc wyczytać, co przynosił.

— Cóż mnie czeka? — zapytał podsędzia.

— Wybierajcie się natychmiast z posługą, do której oświadczyliście się z gotowością — rzekł Stach. — Uda się li to, będziesz sownie wynagrodzony. Musisz mi jednak wprzód poprzysiądz, że sprawa ta między nami tajemnicą zostanie. Możecie oświadczyć Ottonowi, aby słał poselstwo lub sam przybywał, a będzie miał Poznań, byle wiarę poprzysiągł i dotrzymał...

Mierzwie twarz się uśmiechnęła.

— Jakaż pewność dla mnie? — zapytał.

— Moje słowo — rzekł Stach — więcej nie mogę dać nic. Dobrze li ono wam, zgoda, nie? więcej nie dam, bo nie mogę.

Juchim z Mierzwą popatrzyli na siebie i na mówiącego. Stach miał tak rycerską, pewną siebie postawę, iż nawet w ludziach nieufnych wiarę obudzał.

Zamilkli oba — słowo jego starczyło im. Juchim ofiarował się pożyczyc pieniędzy potrzebnych, waru-

jąc sobie wydzierżawienie mennicy, o które Stach mu się starać przyrzekał. Mierzwa niezwłocznie miał się w drogę wybierać i już odchodził, gdy Stachowi myśl jeszcze przyszła, wyprowadzić go razem do panów z Tęczyna, aby od Doroty wyzwolić Kaźmierza.

Znano ich jako zwolenników Mieszka, nie kwapili się więc do nowego księcia i nie pokazywali wcale. Stach chciał ich pozyskać dla niego razem i przez nich Kaźmierza od niewiasty złej odstręczyć.

— Powiedz im — rzekł do Mierzwy — niechaj śmiało przybywają pokłonić się księciu naszemu. Pan wielkiego serca na nikim mścić się nie będzie. Niech przyjdą, a sprawę swą z siostrą położą przed nim, powiedzą, jaką była życie całe, że zakała im i srom czyniła, niech nie kryją nic, ani szczędzą nikogo. Książę sprawiedliwym jest i poszanuje w nich boleść słuszną, a niewiastę płochą, którą mu się opiekować każą, precz odeгна.

Poselstwo to, na którym u bogatych ziemian coś zyskać było można, Mierzwie przypadło do serca; podjął się go ochocho bardzo, zwłaszcza, że zjechać do Tęczyna niewiele mu z drogi było.

Tak w krótkim czasie uczyniwszy, jak mu się zdawało, wiele, że się był przyrzekł Bogorji, szukać go poszedł przed wieczorem do dworku Leszczycy.

W ulicach ciągle jeszcze ludno i gwarno było, weselej niż przed laty. Śpiewami i gędbą rozlegało się miasto, ludzie sunęli gromadami, pobrawszy się pod ręce, zawodząc pieśni. Kraków, do owego milczącego i ponurego, jakim go znano za Mieszka, nie był dziś podobny. Szedł Stach zwolna, ciesząc się tą radością powszechną, gdy syknienie posłyszał, a przed sobą ujrzał nieznanego młodzieniaszka na koniu, za którym jechało sług kilku.

Zdziwiło go dane hasło, bo wpatrując się pilno w tego, który mu znaki dawał, aby się zbliżył, rozpoznać nie mógł. Podeszedł jednak ku niemu, wlepiając

ciekawe oczy, twarzy tej pięknej przypomnieć nie umiejąc.

Młodzian konia trochę na stronę ściągawszy, Stacha prowadził za sobą.

— Nie poznaliście mnie?—odezwał się głos, który więcej niewiastę niż mężczyznę wydawał. To mówiąc, młodzian się smutnie uśmiechał.

— Znamże ja was? wy mnie? — spytał Stach.

— Przypomniacie sobie.

— Nie! — rzekł zapytany — nie mogę.

— Widzieliście mnie w Ścioborzycach, choć nie w męskiej odzieży; jam brata nie mając, często zmuszona być mężczyzną.

Zdziwiony patrzył Stach na nią. Była to owa piękna Jagna, która spoglądając na niego boleśnie, zbierała się na śmiech smutny.

— Naprawdę — rzekł — trudnoby się domysleć było, że wy w ten tłum, gwar i wrzawę, puścicie się samopas... ledwie z czeladzią.

Dziewczę się zarumieniło mocno.

— Dla ojca to musiałam uczynić—odparła przedko—tak, dla ojca. Ojciec miłuje wielce księcia Kaźmierza, u nas różne chodziły wieści. Na strasznych nie zbywało. Nie mieliśmy kogo posłać, coby wiedział, jak pytać i rozpatrzyć się, pojechałam sama. Mówcie mi, bo wy to dobrze wiecie: pewien li Kaźmierz stolicy i panowania? Nie grozi mu tu nic? Rad li temu, co się stało? Nie trwoży się, nie opiera? Wszystko mi mówcie.

Zarzucony pytaniami temi Stach, miledzał.

— Za wiele bo naraz wiedzieć odemnie chcecie! — zawołał.

— Wszystko to potrzebuję wiedzieć!

— Ależ nie w ulicyby o tem prawić — odparł zapytany — w gospodzie gdzieś moglibyśmy się rozmówić.

— A! ja gospody żadnej nie mam, a podobno i znaleźć jej tu teraz trudno — odezwała się Jagna

śmiało.—Wiecie kto jestem, więc rozumiecie, że zajechać lada gdzie nie mogę, albo mi się tu i całkiem stać nie godzi.

Stach więc zbliżył się do konia, na którym dziewczę siedziało, i począł go, idąc uliczką, prowadzić na ustronniejsze miejsce.

— Spocząć że wam trzeba! — odezwał się.

— O! wyjechawszy ztąd, w polu odpoczne! — rozśmiała się Jagna.

— Nie obawiajcie się?

Dziewczę śmiechem jeszcze odpowiedziało.

— Na moim koniu trudno by mnie kto dognał — rzekła. — Z łuku ja pewnie nie gorzej strzelam, jak wy. A wreszcie od czego mój stary, wierny Hreczyn, który mi towarzyszył!

Kazała mu mówić potem, dopominając się chciwie o wszystko, co się Kaźmierza tyczyło. Stach musiał być posłusznym. Pochylona ku niemu, chwytając każde jego słowo, ale odgadnąć było trudno, czy to, co słyszała, radowało ją, czy smuciło. Czasami oddychała ciężko, marszczyło się czoło, usta ścinały, to znowu twarz rozjaśniała. Zarzucała go pytaniami. Trwało to dosyć długo, noc już zapadała. Jagna wreszcie konia, który stał z głową zwieszoną, cugłami ściągnęła, ręką zlekka uderzając Stacha po ramieniu.

— Niech Bóg płaci! — zawołała. — Wy go kochacie i chłop z was dobry.

To mówiąc, spojrziała w tył na Hreczyna, który wejrzenie zrozumiał, raz jeszcze powtórzyła: Bóg zapłać!—i klusem wyciągniętym puściła się za miasto.

Stach długo spoglądając za nią, stał jak wkuty, dziwną mu się wydała, ale tak miłą, jak żadna... I zadumał się, zadumał, potem ręką rzucił i szedł do dworku Leszczycy.

III.

Każmierz w Krakowie zawsze się jeszcze za gościa uważał; mówił o tem przy każdej zręczności codziennie, zagadywał kilkakroć o wyjeździe do Sandomirza. Lękając się tego biskup, jakieśmy mówili, przygotowywał mu niespodziankę, która go tu przykuć miała—przybycie księżnej Heleny z synkiem.

Gdy Kaźmierz wspomniał o powrocie do Sandomirza, Krakowianie kłaniali mu się do kolan i pół poważnie, pół żartobliwie odpowiadali:—Nie puścimy! Biskup Gedko wołał, iż na drodze stanie a zaprze mu ją sobą. O przyjeździe księżnej już postanowionym, mowy jednak nie było, chciano bowiem, aby ona przybyła tu, jakby z własnej woli, z tęsknicy i obowiązku.

Goworkowi książę z Krakowa odjechać pozwolił, polecając mu pieczę nad zamkiem i ziemią całą. Gdy wyjechał a pytał, coby przysłać z Sandomirza, Kaźmierz nie zażądał nic, choć mu tu na wielu rzeczach, do których był przywykł, zbywało.

Jednego dnia, gdy się na łowy wybierał, z których teraz powracając, prawie zawsze dawał się wieczorami zaciągnąć do wdowy, oznajmiono mu, iż dwaj bracia przybyli do niego.

Wichfried, który o nich wiadomość przynosił, nie taił ani radości z tego, że przybywali oddać panu swemu hold należny, ni pewnej obawy, aby na wdowę nie nastawali.

Bracia z Tęczyna, ludzie wielkich dóbr, ród Toporezyków, jeden z najstarszych w Krakowskiem i najważniejszych—wybrali się na dwór pański z okazalnością, jaka im przystała.

Ociągali się z tem długo, spodziewając Mieszka powrotu, ale gdy czas uchodził, niebezpieczeństwo

wzrastało, a w końcu Mierzwa przybył z zapewnieniem, że śmiało jechać mogą—stawili się na zamek.

Kaźmierz jak był dla wszystkich łaskaw i dobrotliwy, ku nim też wyszedł z twarzą pogodną. Młodszego z nich znał niegdyś, bo ten z Henrykiem jeździł na wojnę i łowy. Stali dwaj rycerze we zbrojach pięknych, przy mieczach i pasach, odziani, jak do pana należało, ale z twarzami posępniemi. Po pierwszym poklonie, starszy Dobrogost począł:

— Przyszliśmy miłości waszej czołem uderzyć jako panu, którego ziemia nasza sobie wybrała; będziemy wam służyli wiernie, tak jako nie zaprzeczamy, żeśmy bratu waszemu służyli.

Kaźmierz się uśmiechnął.

— Jam tu — rzekł — jeszcze nie ksiązęciem na stolicy, ale jako rozjemcą. Mam nadzieję, że się z Mieszkim przejednają, bo zgoda potrzebna.

Na to milezeli, a Sędziwój młodszy dodał po chwili:

— Myśmy też do miłości waszej ze skargą i żalobą przyszli na rodziną naszą siostrę Dorotę Różykową, która nam srom czyni. Opieki braterskiej znać nie chce, posłuszeństwo wszelkie głowie domu wypowiedziała, a wiedzie się i na wstyd niewieści i na wszelkie Boskie i ludzkie prawa nie patrząc.

Książę słuchał zarumieniony.

— Długoby o tem prawić — dodał Dobrogost — boć to się nie od dziś poczęło. Ojciec nieboszczyk od pieluch ją pieścił, nie chciała potem znać nikogo, oprócz swej własnej woli. Za łada chłopca mizernego wydać się myślała naprzód, który zginął. Męża zamęczyła. Z wojewodą Szczepanem w miłości się wdała jawne, za które go biskup wyklinać chciał. Siłaby opowiadać, czego uszy pańskie słuchać nie mogą. Srom i hańba dla nas, a upamiętania nie zna.

Po namyśle, książę się odezwał:

— Prawda li to wszystko co o niej mówicie? bo ludzie są źli, a niewiasta bezbronna.

— Cała ziemia patrzyła i widziała, co poczyniała Dorota, świadków dosyć jest — rzekł Dobrogost. — Z niewiastą — odparł Kaźmierz — wojna wam nie przystała, a na siostrze rodzonej gwałt popełniony sromu tylko przysporzy. Dajcie jej czas do upamiętania, wybierzcie dla niej męża statecznego, poślubcie ją komu, odpowiedzialność z was spadnie.

Sędziwój rzekł z pogardliwym uśmiechem, że dla Doroty męża nie znajdzie nigdzie, bo choć urodziwą jest i nie bez wiana, osławioną też i płochą.

— Jedno tylko pozostaje miłościwy panie — rzekł śmiało Dobrogost — zamknąć ją za kratę i pośadzić, aby pokutowała, inaczej już szaleć nie przestanie.

— Na to ja, jeżeli mnie pytać będziecie, nie pozwolę — zawołał Kaźmierz. — Należy się słabej niewieście czas, miłosierdzie, pobłażanie. Uczynicie to, proszę was, abyście nie poczynali nie gwałtownie, tego po was żądam i wymagam, a ja starać się będę, aby przez poważnych ludzi i niewiasty skłonić ją do małżeństwa. Tak się wszystko zakończy i zapomni.

Bracia spoglądali milcząc po sobie.

— Na siedzącą tu pod bokiem waszym — rzekł Dobrogost — nie porwiemy się, kiedy taka wola pańska; lecz żeby z tego miało co być prócz nowego dla nas wstydu, zawczasu wiemy, że nie. Wy, miłościwy panie, nie możecie wiedzieć, ani byście wierzyć chcieli, jak złą i przewrotną ona jest, choć ze krwi siostra nasza. Poprawy po niej się nie spodziewać; poślubi ją kto, zdradzi go, jak innych zdradzała.

Nie dał im dłużej mówić książę.

— Rozżaleni przeciw niej jesteście — odezwał się — słuchacie złych ludzi, gniew nie dobry doradzca, proszę więc, dajcie jej czas, a nam też, abyśmy los dla niej lepszy obmyśleć mogli.

Bracia z Tęczyna zachmurzeni milczeli; chciał potem Dobrogost mówić coś jeszcze, książę mu po-

wtórzył swoje, że gwałtu czynić nie da, a sam w opiekę ją bierze.

A, że rozmowa ta przykrą mu się stawała i rad był ją copędzej zakończyć, przerwał zagajając o sprawach ziemi krakowskiej, o zgodzie, pokoju i przejednaniu, którego się spodziewał.

Bracia oba słuchali w milczeniu, poczem z dumą, bez wielkiej uniżoności go pożegnawszy oddalili się, nie ponawiając już zapewnienia wierności swojej.

Kaźmierz jak z przykrością słuchał, tak wielce łaskawie się pożegnał; ale gdy napowrót do komnaty swej wszedł, zadumał się mocno nad tem, co słyszał od nich.

Wichfried wnet pośpieszył za nim, nie dając z temi myślami samemu pozostać.

— Miłościwy książę — począł — braci tych znają tu wszyscy, zazdrośni są i mienia siostry chciwi, przeto ją szkalują. Prawdy w tem co mówią, mało lub nie. Prześladowali ją od dziecka, sami na nią czernidla wymyślali i puszczali, aby mieć pozór do zagarnięcia tego, co ojciec jej zostawił. Niewiasta piękna, nie może być, aby się w niej nie rozmiłowywali ludzie, rada pewnie temu, jak każda inna, ale złego tam nie tyle, co na nią rzucają.

— Bodajbym ja był jej nie znał! — przerwał mu książę z goryczą. — Sam to sobie za grzech mam, że i ja przystałem do niej do zbytku. Kajam się z tego przed sobą, winienem, ale i ty nie bez grzechu, Wichfriedzie, boś mnie do niej ciągnął.

Pogroził mu.

— El grzech ci nas obu nie straszny — rozśmiał się Niemiec.

— W pęta się dać zakuć łatwo — westchnął Kaźmierz — a uwolnić z nich, jak z kajdan, trudno bez zgruchotania kości.

Rzekł i zamilkł, a Wichfried rozmowy nie przedłużał.

Tegoż wieczora, gdy się najmniej spodziewano, przybył Jaksa z miasta, oznajmiając księcia, iż ludzie z Mogiły jadący opowiadali o księżnie Helenie, która z synem i dworem do Krakowa ciągnęła.

Wiadomość ta mocno poruszyła Kaźmierza, nie tylko zdziwienie okazał, ale frasunek i niecierpliwość z powodu, że rozkazów jego nie czekając, księżna sama tak pośpiesznie się i nierozważnie z Sandomirza wybrała.

Nie było już sposobu zaradzić na to, a gdy inni na spotkanie księżnej jechać się wybierali, musiał też i Kaźmierz na konia siąść, i posępny jechał przeciw żonie.

Goworek na kilkanaście staj wyprzedzający ją, opowiedział księciu, iż z tęsknoty i niepokoju o męża, dłużej wytrwać nie mogła, a za to raczej dziękować niż gniewać się przystało. Przywitał Kaźmierz żonę, jak zawsze ze czcią wielką, synaczką, którego kochał bardzo, na konia do siebie wziął i tak cały orszak zatrzymał się na Wawel, gdzie go biskup Gedko też witał.

Z księżną razem, wszystko, co do jej ruskiego i polskiego dworu należało, przyciągnęło: niewiasty na wozach, skrzynie malowane i złoczone, sprzęty, konie, aż do zabawek dziecięcych, czeladź, stróż, tak, że zamek Sandomirski prawie pustką musiał pozostać.

Na Wawelu też zaraz życie inne się wzięło; książę postrzegł z przerażeniem, że gościem tu już dłużej nie mógł być, a panem być musiał. Komnaty dotąd nie zajęte, wnet wszystkie czyścić, umiatać, objąć, zaścielać i zastawiać poczęli ludzie; księżna Helena po matce Leszkowej zajęła izby. Nie wiele wesela jednak z tą panią przybyło, która z usposobienia smętną była, troszczącą się do zbytku i lekką.

Kaźmierzowi najmilszym był chłopak jego, którego na kolana mógł wziąć, wyściskać i sercu dać pociechę.

Wieczorem dnia tego Wichfried pobiegł do wdowy,

aby jej o posłuchaniu braci zdać sprawę, a siebie też przypomnieć, bo choć księcia do niej prowadził, sam też o łaski pilno się starał. Niewiasta była takiego czaru i mocy niepoczeiwej, że się do niej nikt zbliżyć nie mógł i być obojętnym, gdy się nań napośiadła. Z dwojga jedno: rozpadali się za nią jedni, nienawidzili drudzy.

Wichfried zastał ją samą, poruszoną gniewem wielkim, z włosami rozpuszczonemi, mało co przyodżianą. Szalejącą tak, że mu wchodzącemu słowa rzec nie dała, przypadła doń ręce łamiąc.

— Zmówili się wszyscy na mnie nieszczęśliwą — poczęła wyrzekać gwałtownie. — Wiem już wszystko, nieprzyjaciele moi księżną tu sprowadzili, aby on za próg się nie mógł oddalić. Albo jej to źle było w Sandomirzu? Po co ona tu? Nabechtano braci, aby przybyli ze skargami i potwarzą... Chcą mnie zgubić!

Wichfried, dawszy się jej wygniewać, począł dopiero opowiadać, jaką Kaźmierz braciom dał odprawę, że im zabronił, aby się na nią porywać śmieli.

— Co do księżnej pani — dodał — potrzeba jej tu było, aby Kaźmierz nam do Sandomirza nie uciekł. Z nią tak samo, jak bez niej, bo władzy nad mężem niema, a jako jej nie kochał, tak i kochać nie będzie.

Trochę się tedy uspokoiła, pytając Wichfrieda, czy był przytomny, gdy ją przed księciem bracia zbezcześcili.

— Byłem przy panu — odparł Niemiec.

— Cóż potem? nie powziął do mnie wstrętu? — badała ciekawie.

Śmiał się Wichfried.

— Wstrętu do was mieć trudno, a że strach ma, abyście go nie spętali, o tem dawniej i teraz mówi.

— O! nie dam mu się wysliznąć, nie! — krzyknęła Dorota — uczynię wszystko, abym go pozyskała na zawsze. Życie dam gdy trzeba, bo bez niego mi chyba umierać!

Moim musi być!—dodała gwałtownie, oczy sobie zasłaniając.

Wprędce jednak zmieniła usposobienie, widząc, że Niemiec posmutniał, wzięła się do niego, okazując przyjaźń wielką i zaręczając, że najmiłszym jej jest po księciu. Łacno go znów ujęła i dała mu zapomnieć o wszystkim.

Nie prędko postrzegłszy, że wybiegła do niego nieodziana, jak zwykle, zawstydzony się, wyszła, przykazując, by czekał na nią. Wysłała mu wino i jedzenie, a wkrótce wróciła już strojna, wesola, zalotna, nie szepcząc ani słów, ani wejrzeń, ani przymilań; co przy pomocy wina, upoiło Niemca tak dobrze, iż jej na wierną przyjaźń i posługę, palce złożywszy, poprzysięgał. Sam już nie wiedział, co się z nim działo. Domagał się pocałunku, od którego gdy mocniej jeszcze rozgorzał, wdowa go ze śmiechem za drzwi wypchnęła. Niewolnikiem jej już był.

Gdy wdowa rozmyślała o środkach, jakimiby księcia mogła uwikłać, bodaj czarów i napojów używając do tego, o które się starać miała—Stach równie gorliwie pracował, by się pozbyć niebezpiecznej zwodnicy. Zaledwie bracia z Tęczyna ze dworu zjechali, pobiegł dostać języka o nich.

Sam jednak przystępu do nich nie mając, Jaśka Bogorję na to nasadził.

Rodzin wiele spokrewnionych z Toporezykami gościło w Krakowie, które się z niemi spotkały gdy na zamek jechali i powracali z posłuchania. Znano ich jako prawie tu jedynych sprzyjających Mieszkowi, obawiano się, aby mu do jakich kuowań nie pomagali, uradowało się więc ziemiaństwo, widząc ich z pokorą na Wawel jadących; ale gdy z niego nad wracali, a w mieście się zatrzymali, gdzie ich krewni i powinowaci obstąpili, postrzeżono, iż chmurne twarze przyniesli.

Ten i ów rad był ich wyrozumieć, co o Kaźmie-

rze trzymali, nie wydawali się z tem, żaląc tylko gorzko, iż siostry na ich wolę zdać nie chciał.

— Mieszko srogim był — dodał Dobrogost — ale wiedział gdzie i jak srogości zażyć, nie przebaczyłby i niewieście, ład i postrach byłby wprowadził, a tego nam potrzeba.

Nie mówili więcej, ale widać było, iż urazę mieli do księcia i do niego się nie skłonili. Ziemia-
nom nie dając się wciągnąć w ucztowanie żadne, na dwór biskupi nie zjechawszy, krótko zatrzymawszy się w mieście, poszeptali z tymi, których jako Mieszkowych znano i na konie posiadali z powrotem do Tęczyna. Stach dowiedziawszy się o tem, pomyślał, że ich z oczów spuszczać nie było można, bo pewni nie byli. Na dworze też wybadać usiłował, jak księżę przyjął to, co mu o siostrze mówili bracia, i wypytał, że Wichfried nie dał pono wdowie krzywdy w sercu pańskim uczynić, ujmując się za nią. — Szło mu o powagę pańską, której miłości te ujmę czyniły, ale więcej już na teraz radzić nie umiał.

Sam on w tej chwili, o księżcia serce się troszcząc, popadł pono w to, od czego chciał go ochronić. Piękna Jagna już po Ściborzycach na myśli mu stała ciągle, teraz powtórne z nią widzenie i rozmowa, jeszcze go bardziej do niej pociągnęły.

Chodziła za nim jak widmo, niepokojąc oczyma, które widział ciągle przed sobą.

— Licha nadało — mówił do siebie — abym ja teraz, gdy młodość moja za mną już, gdy mi życia nie staje na wszystko, co do roboty mam, jeszcze sobie serce psował dla jednej dziewczuchy, która na mnie i patrzeć nie chce!

Plunąć na marę!

Chciał plunąć, ale zapomnieć mary tej nie mógł. Dziewczę dumne, śmiałe, piękne, stało mu na myśli. Wiedział, że próżnoby się tam kusił, gdzie lepszym od niego odprawę dano; lecz sercu i namiętności rozkazać trudno, a nie łatwiejsza rzecz w dojrzalszym wieku

pokonać je, jak w młodym. Młodzieniaszkowi jedna niewiasta drugą z piersi wygania, w starszym tkwi co raz wpadło, a wyrwać bez bólu nie można.

Stach się tem pocieszał, że Jagny nie ujrzy rychło, a jak to już nieraz bywało, czas i ważniejsze sprawy pamięć o niej przysypia.

O Mierzwie, który zaraz z Krakowa, precz pojechał, słyhu jeszcze nie było.

Biskup, który z Gniezna i Poznania o zabiegach Mieszka miał wiadomości, troskał się niemało przyszłością, ziemian i rycerstwa nie rozpuszczał, na miasto i zamek obawiając się jakiej napaści. Wiedziano, iż się wygnany nie łatwo da zmódz, że Kietlicza z sobą prowadził, który się kręcił po dawnej dzielnicy wielkopolskiej, że na Pomorze słano i jeżdżono, tam sobie sprzymierzeńców jednając.

Tajono to wszystko przed Kaźmierzem, który zdawał się czekać tylko na jakiegokolwiek krok brata, aby z nim wejść w porozumienie i ustąpić ze stolicy.

Tak stały rzeczy, gdy późnem już jakoś latem, po długiej ciszy i pozornym spokoju, przerywanym tylko doniesieniami o jakichś przygotowaniach do zagarnięcia Gniezna i Poznania (któremu Kaźmierz wcale się opierać nie myślał) jednego rana biskup Gedko z twarzą bardzo wesołą na zamek przybył.

Kaźmierz, którego zabawiano, a dotąd nieumiano do spokoju i wesołości usposobić, wyszedł doń stroskany i blady, jak zwykle.

Gedko naprzód wydać musiał rozkazy, gdyż zaledwie weszli do wielkiej posłuchalnej sali, tuż za nimi wtoczyło się do niej urzędników i ziemian dużo, stary Mazur Żyra, pokrewny biskupa, Jaksa, Goworek, Lis i co było przedniejszych na zamku obecnych.

Biskup rozpromieniony, widać było, iż niósł dobrą nowinę.

Po przywitaniu i błogosławieństwie, zwrócił się zaraz do księcia.

— Czas wielki, miłościwy panie, abyś się ty tu panem poczuł i uznał...

Otworzył usta Kaźmierz — Gedko mówić mu nie dał.

— Szanują wszyscy — mówił — serca wszego do brotliwego, braterskiego i synowskiego obawy, ale czas, czas nad krajem mieć zlitowanie, a panować!

Żałujecie Mieszka, który najmniejszej nie wart jest litości? nie upokarza się, nie prosi, ale knowa i zmowy czyni; Pomorzan, Czechów, Niemców na nas chce prowadzić, dowody na to mamy. Bóg łaskaw nie dopuści, a oto własny syn jego, tyranją ojca przywiedziony do ostatka, przeciwko niemu powstał. Najlepszy dowód, że takim ojcem jest, jakim był nam panem.

Oto starszy syn Mieszków, opanował Poznań i Gniezno. Ziemianie tam tak nie chcą ojca, jak go tu nie chcieli, jak go nigdzie nie cierpią. Otto chce sam przybyć tu i uznać cię za swego zwierzchniego pana!

Ziemianie wydali okrzyk radośny, Kaźmierz stał jakby zawstydzony, blady, pomieszany, patrząc w ziemię.

— Miłościwy książę, synu mój — zawołał Gedko z gorącością i przejęciem, z namaszczeniem kapłańskim — a bądźże nam panem! a weźmijże tę władzę, którą ci sam Bóg w ręce daje! Sumienie twe rozgrzeszam!

Chwilę trwało milczenie, po którym zwolna Kaźmierz czoło wyjaśnione podniósł do góry, zwrócił się zarazem do biskupa i ziemian, powolnym głosem przemawiając:

— Stań się wola Twoja, Panie!

Chcieliście wy, ojcowie duchowni a pasterze, żądali ziemianie, Bóg wolę swą oświadcza przez wypadki, nie żądałem panowania, aliiści go odtrącić nie mogą. Tak jest, panować chcę i będę, lecz — tu zwrócił się do ziemian z blagającym wyrazem — dajcie mi wy, i ty,

ojcze duchowny, i wszyscy, rzadzić wedle serca mojego i samienia, dajcie mi czynić dobro i zasiać ziarno sprawiedliwości. Nie chcę zdobywać krajów, ani ziem przywłaszczać, ale mnożyć chwałę Bożą i krzewić królestwo Jego na ziemi.

Lekki szmer mu przerwał. Kaźmierz jakby natężony, silniejszym się wola własną niż kiedy okazując, z postawą majestatyczną, ciągnął dalej podniesionym głosem, z mocą, jakiej w nim nie znano. Czuł się silnym, jakby z niebios czerpał potęgę.

— Z tym tylko warunkiem panować mogę, abym sprawiedliwym mógł być... dla wszystkich. Kościołowi posłuszeństwo i cześć, ziemianom ich prawa i dostojęństwo, ale biednemu ludowi bezpieczeństwo żywota i mienia chcę mieć zapewnione.

Tak — gwałty, rozboje, grabieże, czynią u nas życie nieznośnem; niema tego nigdzie indziej po świecie, co u nas. Kmieć nie jest pewien tego co ma, ani osoby swej, książęcy i ziemian śludzy pędzą go z pola do przewodu, spasają mu zboże, rozwalają stogi, nękają bezbronnego.

Temu położę koniec.

Położę koniec samowoli, napadaniu na majątki duchownych, po śmierci tych, co je trzymali, wszystkim zwyczajom złym tego państwa, które się w niem wkorzeniły.

Wy, ojcze duchowny, wy ziemianie moi, dopomóżcie! Ja, jako książę, zrzekę się za siebie i następców praw starych ucisku nad ludem — niech się zrzekną i inni, niech zapanuje u nas chrześcijańskie miłości prawot braterstwo Ewangelii!

Chcecie, abym panował, dajcie mi to uczynić, albo — niech rozkazuje inny.

Biskup powstał, podnosząc ręce do góry i wołając wielkim głosem:

— Witaj nam, gospodynie, panuj! niech się dzieje pobożna wola twoja. Amen! Amen!

Wnet i drudzy wołać poczęli za biskupem —

Amen, wywołując księcia i królem chcąc go głosić. Radość i uniesienie panowało nadzwyczajne.

Kaźmierz stał drżący jeszcze od tego, co z piersi jego wyszło, jak cięciwa łuku, gdy strzałę cisnęła — patrzył dokoła, radował się i oczy łzami mu zachodziły.

Od tej chwili dopiero istotnie panować poczynął — zmieniony był — czuli to wszyscy.

Nikt nie śmiał na razie szemrać przeciw stanowczo objawionej woli pańskiej, choć nie wszystkim ona zbyt była miłą.

Rozpierzchli się zaraz z zamku wszyscy niosąc na miasto wiadomość o tem, co książę zapowiedział. Biskup na następny dzień zaraz przybycie Ottona oznajmił.

Tegoż wieczora Stach był dopuszczony do Gedki, szło wszystko po myśli; chciał mieć dalsze skazówki i rozkazy. Biskup, który wiedział, iż sprawę Ottonową jemu zawdzięczał, mileząc go w głowę pocałował.

— Bóg niech ci błogosławi — rzekł — uczyniłeś wiele nie szukając z tego sławy, ani nagrody. Mówię ci, uczyniłeś wiele, ale jeśli sądzisz, żeś wszystko uczynił, mylisz się. Kto Mieszka zna, ten wie, że go nie zmoże nawet cios z synowskiej ręki, ni żaden inny. Zamileczy on, przypadnie, a póki żyw my go z oka spuścić, ni usypiać spokojnie nie możemy.

— Słusznaby była rzecz — odezwał się Stach — aby przy nim mieć kogoś zawsze, coby czuwał i ostrzegał. Ten sam Mierzwa, który wielkopolan i Ottona poruszył i zagrzał, ulubiony dawniej Kietliczowi do niegoby mógł wrócić i pozostać na czatach.

Biskup się zamyślił.

— Zdrajcami się posługiwać — rzekł — którzy w końcu i nas zdradzić mogą, twarda to i smutna konieczność — ale, gdy czystego czleka ku temu użyć nie można. Co czynić? Wprawdzie posłużył nam ów niegodziwiec, a no gdy korzyść większą indziej mieć będzie na widoku, patrząc, że i nas sprzeda!

— Strzedz go będziemy — rzekł Stach. — Wiecie, ojciec mój, że ja na to życie poświęciłem, abym winę moją zmazał, a dług spłacił, gdzie więc nikt nie pojedzie, ja muszę.

Po tej rozmowie wieczornej wrócił Stach na swą gospodę do Juchima, z tem, aby Mierzwę nakłonić, by się na dwór Mieszka udał, a z oka go nie spuszczał.

Mierzwa myślał się z tem drożyć, choć w istocie bardzo mu to było na rękę. Całe jego postępowanie było jednym fałszem pasmem. Wprawdzie wyprawiony przez Stacha siedział ukryty gdzieś w kącie, ale jako żywo, ani Ottona widział, ani z wielkopolaną się kumał. Przebiegły człek wiedział zawczasu co się święciło, i to co się stać miało skradł na swój rachunek. Zapłacono mu dobrze za to czego robić ani mógł, ani myślał.

Gdy Stach zażądał od niego, aby do Mieszka jechał na służbę, udał skłopotanego, choć większe szczęście spotkać go nie mogło.

— Al! — rzekł — gdy mnie tam o zdradę posadzą, a schwycą poszlaki — wisieć będę!

— Na to rozum i przebiegłość macie — odparł Stach — abyście się poszlakować nie dali.

Jeszcze się trochę podrożywszy, powzdychawszy, brody natarłszy wreszcie odezwał się Mierzwa.

— Pod te czasy człek biedny co robić ma? Musi się żywić gdzie mu ziarno posypiał byle z głodu nie zdechł! Tu i tak krzywo na mnie patrz! Muszę służyć, gdy każecie!

Juchim, który za pośrednictwem Stacha pozyskał dzierżawę mennicy, zdawał się także pozyskanym dla Kaźmierza, nie łudził się jednak ich oświadczeniami Stach, obiecując sobie pilne na nich mieć oko.

On sam, ażeby bliżej był dworu i pana, którego strażę się poświęcił, przez biskupa polecony Goworkowi, otrzymał skromną aa zamku posadę. Gedko ręczył za niezłomną wiarę i poczeiwość mniema-

nego Zaborę z Przegaju, zlecono mu więc pilność około skarbcza pańskiego, przydawszy w pomoc staremu podskarbiemu Rajcowi, przybyłemu z Sandomirza. Człek już bardzo podżyły, osłabły, powolny, rad był z młodszego pomocnika, któremu, jako z ramienia biskupa przydanemu, mógł zaufać zupełnie. — Stosunki bliższe, bezpośrednie z księciem uniknione zostały, gdyż te rajce przyjmował na siebie; troska tylko, pilność, rachuba, zeszły na ręce nowego urzędnika. Nie było zaś to zajęcie, oprócz dni wyjątkowych, tak nieustanne, aby go do miejsca przykuwało dzień cały. Miał czas Stach między ludźmi się kręcić, słuchać, patrzeć, czuwać, czasem na parę dni uwolnić od kluczków, a to co mu na sercu leżało spełnić.

Kiedy niekiedy zetknąć się musiał z księciem, ale Kaźmierz ani go poznawać, ani się nań uważać nie zdawał. — Stach też umiał z oczów schodzić i stać niepokąznym.

Na dworze różnych dawnych znajomości Zaborę znalazło się po troszę, pozawiazywały nowe a potrzebne.

Na tem już stanowisku zastało Stacha przybycie do Krakowa Ottona syna Mieszkowego. Przyjęto go tu wdzięcznie, bo przynosił uznanie zwierzeźnictwa Kaźmierzowego i przyrzeczenie wierności a posłuszeństwa; chociaż syn ten co przeciwko ojcu własnemu, choć srogiemu powstawał, nikomu do serca nie przypadał.

Otto też, najstarszy syn Mieszka, był człkiem ponurym, milczącym, patrzył dziko, głowę trzymał jak wrosła w ramiona, a pomimo pokory i uniżoności, dla wszystkich stał się odrażającym.

Sam on czuł pewnie jak nań ludzie patrzeć i co o nim myśleć musieli, bo zdawał się sromać, nikomu śmiało w oczy zajrzeć nie umiejąc. Mowę miał zająkliwą i niewyraźną, obejście dumne razem, bojaźliwe i wahające.

Każdy szept i ciche słowo go straszło, jakby się lękał tego co o nim mówiono.—Razem wzięta jednak postać ta miała pewien wyraz siły dzikiej, le dwie ogląda pewną w szrankach wstrzymywanej.

Biskup sam przywiódł go na zamek, gdzie przed Kaźmierzem pokłakszy hołd mu złożył, a ten dobrotliwie go podniósł i ucałował. Nie spodział się pewnie Otto tego co tu miał usłyszeć, bo książę przyjąwszy go razem z ziemią w opiekę, i wyłączywszy z niej tylko Gniezno (za radą biskupa) — rzekł mu przy pierwszym spotkaniu.

— Sprawże to, miły Ottonie jak najrychlej abyś, otrzymawszy czegoś chciał, i co prawem starszeństwa na was by spadło — pojednał się z ojcem i uczynił z nim zgodę.

Otto chciał wybuchnąć z tłumaczeniem, iż zaw sze był przez rodzica krzywdzony, uciskany, a młodsze dzieci przed nim miały pierwszeństwo, lecz z podziwienia i niecierpliwości zająknawszy się, splątał i ledwie coś niezrozumiałego zamruczał.

— Bądź co bądź—rzekł Kaźmierz—synowi walczyć przeciw ojcu się nie godzi, przebłagać go i je dnać się z nim musicie.

Otto spodziewający się nieprzyjaciela ojca znaleźć w Kaźmierzu, zmieszał się widząc w nim uczucie braterskie i serce miłości pełne.

— Wola wszystkich ziemian i duchownych — mówił mu Kaźmierz—wyniesiony jestem na tę stolicę, której nie pragnąłem, przeto jednak ojcu twemu bratem być nie przestałem, życzę jemu i wam do brze i da Bóg dowiodę tego.

Biskup Gedko słuchając zmarszczył się trochę i nie rad był obietnicy, lecz nie rzekł nic, gdyż Kaźmierz, mimo posłuszeństwa duchownej władzy, gdy szło o to, co mu sumienie dyktowało, złamać się ani przekonać nie dawał.

Wszechmocny nawet, a nader zręczny biskup Gedko, ustępować mu w tem musiał.

Przez cały czas pobytu swojego w Krakowie, Otto chodził znękany i jak wylekły, kilka razy próbował mówić przeciw ojcu i zniechęcać do niego, ale Kaźmierz nie dopuścił.

Po uroczystem poprzysiężeniu wierności, pod pozorem, iż pilno grodów swych wielkopolskich strzedz musiał, natychmiast wybrał się Otto z powrotem, zostawując dla kościoła krakowskiego dary, które mi Kaźmierza i biskupa ująć pragnął.

Wkrótce po hołdzie Ottonowym, książę zmianę praw starych, jaką zapowiedział, zapragnął przenieść do skutku, a że się bez narady z biskupami nie wówczas stać nie mogło, zażądał zjazdu ich dla ogłoszenia nowego postanowienia.

Już sama zapowiedź tych ostrych zakonów sprawiedliwości, ziemianom dała do myślenia. Duchowieństwo na tem nie traciło nic, zyskiwało może, lecz lękało się, aby rękę podając do zmian dla możliwych władków niemilych, nie zraziło ich ku sobie. Szemrano na to ażeby jadącemu za rozkazami pańskimi wiązki siana i miarki owsa u wieśniaka wzięć darmo nie było wolno.

Ziemianie też często gęsto po śmierci proboszczów zajeżdżali majątki ich, żywili się śpiczrzami— a rzecze się tego nadużycia niemilem im było.

Gdy Kaźmierz zażądał zjazdu, biskup Gedko zwołać go obiecał — ale tłumaczył się, że czas nie był po temu.

— Ojcie mój—odparł Kaźmierz—jeżeli sądzicie, że ja na słowie skończę, a nie dokonam co zamierzylem—mylicie się. Raczej stolicę tę porzucę niż bym miał odstąpić od tego co rzekłem. Tem jednym usprawiedliwię się w obec sumienia mojego.

Biskup błogosławił i pochwalał, ale właśnie trąfiła się zrzeczność i pora dogodna zdobycia od Rusi Brześcia, Włodzimierza i Chelma. Kniaziowie ruscy wadzili się z sobą, Kijów był w wojnie z Czernichowem, a Brześć zająć koniecznością było. Rycer-

stwo i ziemianie woleli ciągnąć na Ruś niż na zjazd, który się im groźnym wydawał. Sądzone może, iż Kaźmierz w boju i po wojnie, w sprawy ruskie wwikłany, zapomni wielkich swych zapowiedzi.

Poszły więc, natychmiast po osadzeniu dwoma namiestnikami Pomorza, wici po kraju na wojnę. Ruszało się wszystko ochoczo, spokój się naprzykrzył, wyprawa łup obiecywała. Biskup Gedko tymczasem zjazd przysposabiać obiecywał i miał się naradzać z pasterzami.

Widział już, że Kaźmierz myśli swej nie zaniechał, że do zakonu jaki ogłosić miał, całem sercem przylgnał, bo nieustannie mówił o nim i powtarzał:

— Gdy to spełnię, niech Bóg odpuści sługę swego, jeżeli wola, więcej nie pragnę.

IV.

Znaczny przeciąg czasu upłynął od opisanych wypadków, lecz w położeniu osób nam znanych mało co się na pozór zmieniło.

Na zamku, przy skarbcu na górze, w izdebce, z której piękny widok na szeroką okolicę dokoła się rozkładał, mieszkał ten którego zwano Zaborem z Przegaju. Siedział tu tak cicho, tak zakryty, iż mało go widać, mniej jeszcze o nim słyhać było. U starego Rajca, który coraz cięższym się stawał, nieograniczone pozyskał sobie zaufanie. Najczęściej też sam już z kluczami chodził, przy sobie sobole, kuny, lisy i gronostaje przewietrzać i trzepać kazał, sukna i bławaty opatrywać, aby ich mol i wilgoć nie uszkodziły, srebra czyścić ze rdzy, która na nich

osiadała. Pod jego okiem spisywało się co droższego, a co pospolitszego na karbach znacząco.

Do pisania naówczas ludzi nie było wielu, a i ci ważniejszymi sprawami się zajmowali, w spichrzach więc i skarbcach odwiecznym zwyczajem, na drażkach drewnianych zarzynano znaki ile czego naliczono. Karby te podwójne były, aby dozorca i podskarbi miał każdy swoje i przyłożyć je mógł dla sprawdzenia do siebie.

Stała ich cała więź w izbie Stacha, który zresztą w sklepieniem swem szczupłym mieszkaniu, do którego wschodki kamienne wazkie i ciemne prowadziły, nie wytwornie był zagospodarowany. Stał w niem tarczan z ladą jaką pościółką i okryciem, stół na krzyżowych nogach, ławy w oknach we wgłębieniach grubego muru. Kilka pułek wpuszczonych w ściany służyły do pomieszczania rzeczy drobnych, a prócz dzbana do wody, kubka, ręczników i trochę broni, nie tam nie zwracało oka. Ciemna komórka obok resztę mienia zamykała. Stach mało kogo tu przyjmował, a sam też był jak gościem, bo albo w skarbcu porządek czynił, albo na dół zszedłszy do dworu, z ludźmi się rozgadawał, lub na miasto zbiegał często i tam mając do czynienia.

Było mu tu szczęśliwie i dobrze jak mało komu, bo zazdrości nie obudzał. Roboty miał dużo, kłopotu nie mało, płacę lichą, wygod nie wiele, a nie dobijał się o nie więcej, o łaski nieczyje u góry nie starał, w dole z wszystkimi żył dobrze.

Lubiono go powszechnie, choć niektórzy znajdowali, że mruk był nadto w sobie zamknięty i serca otworzonego nie miał.

Komu mógł robił dobrze, a do skarg powodu nie dawał, wiadano, że u biskupa był w łaskach szczególnych, i to mu poszanowanie jednało.

Podejrzliwsi posądzali go, że — on coś wie — i coś robi; że oprócz swych obowiązków jawnych

ma i inne na głowie, ale odgadnąć nikt nie umiał co to być mogło.

— Kat go wiel—powtarzano—mrukl

Czasem na dole w izbie komorników Stach i pośmiać się umiał z niemi, częściej jednak widziano go chodzącego z czołem pomarszczonem, wąsa kręcącego i jakby coś niedobrego dźwigał—stękającego ciężko.

Mało znaczny i mało znaczący człeczek ten w istocie wiele na sobie nosił, wiedział wszystko, do wielu spraw należał, a z tem się nie wydawał.

Szło mu dotąd po myśli oprócz jednego. Pracował nad tem, aby Kaźmierza od wdowy odstręczyć, albo ją ztąd wysadzić, a tego dokazać nie mógł.

Dorota mieszkała we dworze swym, który teraz wytwornie był przybrany, bo nie jedną opone i naczynie ze skarbu pańskiego tam dano, jednała sobie coraz więcej przyjaciół, a choć na nią wygadywano i do zamku o tem wieści trafiały, choć książe czasem długo od niej stronił, zawsze go umiała na nowo ku sobie pociągnąć.

Nie potrzebowała nawet Wichfrieda do tego, choć ten jej zawsze wiernie służył.

Kaźmierz niekiedy przelekły i zrażony, zarzekał się, że noga jego w tym dworze nie postanie, wytrzymywał czas jakiś, potem, jakby zatęskniwszy, zboczył z drogi, zajechał wieczorem, zasiedział się pod noc, nie zważając, że konie u wrót ludzie widzieli i dawał się wziąć znowu. Prawda, że go tam zabawić i przyjąć umiano.

Wdowa, choć pierwsza jej młodość już była przekwitła, wdzięki swe utrzymywała w świeżości, a popisać się z niemi zręcznie potrafiła: mówiła, śpiewała, poszła w płasy chętnie, rozochocała, upajała. A gdy sama nie mogła księcia rozbawić, miała w pomoc chorowody dziewcząt, które powyuczała pieśni, skoków, swawoli, i im często występować kazała.

Mówiono, że stara Czechna, znana miastu wiedźma krakowska, do której wszystkie baby chodziły po

radę w chorobach, w dolegliwościach wszelkich, w sprawach miłosnych i potrzebach tajemnych, wieczorem często się u wdowy zjawiała, przynosiła jej ziola jakieś, poddawała bańki różne, szeptała, radziła i znaczne dary od niej wyciągała.

Utrzymywali nawet niektórzy, iż niedorzeczna, miłość księcia dla tej niewiasty niczem innem teraz podsycana nie była, jak napojami czarownemi.

Dla Doroty książę zapominał był nawet o Ści-borzance.

Zrazu Jagna znosiła to jako konieczność położenia, w końcu ją zabolalo. Wytrwać nie mogła. Czatowała na polującego w lasach sąsiednich Kaźmierza, i pochwyciła go raz, gdy sam jeden z Wichfriedem odpoczywał.

Niemiec, który świadkiem był tego spotkania, opowiadał o niem zaufanym, że nigdy Kaźmierza tak poruszonym, upokorzonym i zrozpaczonym nie widział, jak wówczas. Widok Jagny przypomniawszy mu lata szczęśliwe, chwile rozkoszne, spędzone w zacisznym gaju, a gdy mu dziewczę z płaczem padło na szyję przytomność prawie utracił. Wkrótce jednak ów czar Doroty, który w sobie nosił przemógł, podzielał nań, począł mówić a błagać, iż powinni się byli rozstać na zawsze dla dobra obojga, że jemu nie przystało losu jej zawiązywać, gdy dać go nie mógł.

Jagna słuchała osłupiona.

Wichfried zdala już potem dosłyszał tylko rozmowę a raczej wyrzuty gorące, groźby krwawe, miotania się i krzyki rozpacz—a wreszcie uciechło wszystko. Kaźmierz mówił, dziewczę płakało, gniewnie, niecierpliwie błagało — napróżno. — Aż zerwała się Ści-borzanka jak zwierz raniony, z krzykiem biegnąc do swojego konia. Książę popędził za nią nawołując i prosząc, ale nie spojrzawszy nań już, siadła na karego i uciekła w las.

Wichfried nie łatwo potem mógł księcia roz-

paczającego ukolysać, chciał go zaraz do Ściborzyce posyłać, odłożył do drugiego dnia, a gdy Niemiec z poselstwem przybył, Jagna z nim mówić nie chciała.

Powrócił z niczem.

Wkrótce potem doszła wieść do Krakowa, że stary Ścibor zmarł, w dni parę Hreczyn przyjechał Stacha szukając, i ledwie go znalazł w mieście. Jagna żądała aby do niej przybywał. Uwolniwszy się na dni kilka, pojechał Stach do sieroty, i zdziwiony, że ona go mieć chciała i szczęśliwy jakąś nadzieją, której sam niedowierzał.

Po pogrzebie już było gdy przyjechał. Zastał Jagnę na wałach siedzącą, łokcie na kolanach, twarz na dłoniach—bladą, zmienioną, straszną, ledwie żywą.

Patrzała nań długo, długo nim sobie przypomniała.

Wstała potem, a Stach się uląkł, widząc ją tak wychudłą, osłabłą, że z niej cień tylko pozostał.

Prowadziła go do dworu za sobą, do tej samej izby, w której stary Ścibor legiwał i umarł.

Posłanie jeszcze leżało jak było.

— Samam się została — rzekła — tęsknica mnie dusi, żyć tak nie mogę!

Ojciec ciebie znał i—kochał.

Pomilczyła trochę.

— Chcesz ty mnie wziąć? — Podawała mu rękę schudzoną i zimną.

Stach, który zdawna w sercu ją miał, a teraz dla wielkiej litości, jaką wzbudzała, czuł się jeszcze więcej rozmiłowany, nie umiał odpowiedzieć. Myślał jak swój ślub pogodzić z inną dola. Przypnął się jej nie chciał kto był, co go wiązało.

— Al! nie może to być — rzekł — boby dla mnie szczęścia było za wiele. Ojciec wasz mnie znał, ale wy — nie znacie!

— Może i ja znam! — odezwowało się dziewczę. — Ot — weź mnie.

Powiedziała to zimno ale z uporem jakimś. — Weź mnie, chcesz, otom twoja.

— Musiałbym wówczas Kraków porzucić, sięść tu i gospodarzyć wam, a ja tego uczynić nie mogę.

— Ja to wiem — rzekła Jagna — ale ja chcę z wami być w Krakowie.

Stach aż się wstrząsł cały — ale stał niepewny, ona dodała:

— Żony wy ze mnie dobrej mieć nie będziecie, albo tak jak żadną. Jam się już nikomu na nie nie zdała. A i toście wiedzieć powinni, że wianka wam nie przyniosę, bom wdowa!

Chciał Stach pytać, znów mu nie dała mówić.

— Co tam macie wiedzieć kto był mężem moim! Ślubu ja z nim nie brałam, ksiądz po terazniejszemu nie błogosławił. Ot tak daliśmy sobie serca, i ręce — i żyli, i przeżyli wszystko.

Łkanie jej mowę przerywało, ból się sączył z każdego wyrazu.

— Teraz ja — tu siedzieć nie mogę — chcę do Krakowa z wami.

Stach nie mogąc się oprzeć — ujął ją za rękę i pocałował; dała mu ją, ale obojętnie, bez uczucia.

— Jam stara jam zwiędła — mówiła cicho. — Kochać mnie i żyć tam ze mną wy nie potrzebujecie. Ja też tego nie chcę, ale wy się nazywać będziecie mężem moim, ja waszą żoną. Zechcecie, to niech ksiądz pobłogosławi, a nie — to nie. I tak z sobą ludzie żyją dawszy słowo. Jak ja umrę, przekażę, zabierzcie sobie Ściborzyce i wszystkie mienie po mnie... Dobrze?

Stach nie umiał odpowiadać, żal mu serce ścisnął, po rękach ją całował, ona mu je wyrzywała.

— Ja wam, wy mnie przeszkadzać nie będziecie! Mnie samej dziewczę w mieście żyć nie godzi się — a ja tam muszę być — ja tam muszę być!

Nastąpiła zgoda milcząca, umowa osobiwa, wyprawiła go do Krakowa przodem, mówiąc, że doń przyjedzie. Jakiś czas czekał na nią Stach w swej

izdebce nad skarbcem, aż dnia jednego dała mu znać, że przybyła.

Miała już swój dwór niedaleko od miasta, koło niego kręciło się dosyć ludzi, koni i wozów ze sprzętami.

W pustej jeszcze izbie zastał Jagnę siedzącą, z twarzą od podróży rozpromienioną, dyszącą ze zmęczenia, a jak grób smutną. Stary Hreczyn niemy, zmęczony kręcił się około tego poczynającego gospodarstwa. Widać było dostatek w tem co wyładowywano, ale ona ani spojrzała na nie, jakby ją wcale nie obchodziło co miała.

Zobaczywszy nadchodzącego Stacha, zwróciła się ku niemu i przywitała go skinieniem głowy, podała sobie ręce. Jagna zawołała Heczyna.

— Patrz stary—rzekła, wskazując przybyłego—to jest—mąż mój, twój pan, należy mu posłuszeństwo.

To powiedziawszy zwróciła się znowu ku oknu. Stach się nie odzywał, nie śmiał przeczytać, a dziwne mu było to jakieś wesele przy jednym świadku, bezobrzędnie odbyte.

Jagna zadumana wskazała mu miejsce na ławie.

— Ty masz we dworze służbę—rzekła—ja to wiem, musisz ją pełnić. Siedź sobie gdzie zechcesz, przychodź gdy ci się podoba. Musu w tem niema. Znajdziesz u mnie dach i wszystko co ci trzeba, służbę i dostatek, i moją smutną twarz, na którą patrzeć nie miło. A no, nie potrzebujesz się nią truć, mnie aby jakakolwiek opieka.

Stach nie sprzeciwiał się w niczem, zdala mu się chorą i biedną, z którą obchodzić się musiał jak z dzieckiem. Po chwili kazała przynieść jadło i napój, zastawić stół dla niego, a sama poczęła usługiwać mu. Stach sięść musiał i pożywać. Gdy misy zabrano siedli na ławie znowu.

— Ty jesteś przy księciu? u skarbeca? nieprawda?—odezwiała się.—Widujesz pana, co się z nim dzieje?

— Mało ja go widzę—odparł Stach—chyba zdala, ale słyszę o nim i wiem jak jest.

— Ojciec go kochał—dodała, rumieniąc się trochę—ja także mu dobrze życzę.—Mów, co tam z nim?

Stach począł opowiadanie o Kaźmierzu, jako się troszczył swem panowaniem, nowe zakony chciał wprowadzić, ludziom ulżyć, sprawiedliwość mieć wszędzie; mówił o zabiegach Mieszka, o Ottonie, o biskupiej nad księciem straży, miłości ludzi dla niego i t. p.

Słuchała Jagna w milczeniu, spytała o żonę i dziecię? jak był dla niej i z niemi? Nie tał Stach tego o czem wiedzieli wszyscy, że żonę szanował książe, ale wielkiego serca do niej nie miał.

— A komuż serce dał?—zapytała i spojrzała mu w oczy bystro.

— Nie mogę ja wiedzieć o tem—odparł Stach—co się z sercem jego dzieje. Nie tajno nikomu, że książe dawniej miłośnicę miał, do której z Sandomirza często w lasy zbiegał i po dni kilka u niej przebywał. Tę podobno opuścił, a teraz mu źli ludzie gorszą jeszcze niewiastę naraili, która go czarami przy sobie trzyma. Palcami ją tu wytykają, bo wieczorami mało nie codzień u wdowy Doroty.

— O! tak—gorąco przerwała Jagna—nie czem innem tylko czarami, a napojem go sobie zyskała. Inaczej nie mogłoby to być, aby taki człowiek jak on, do takiej baby mógł się przywiązać!

Stach rad był, że się z nim godziła w tem i zabierał się mówić o Dorocie dłużej, gdy dziewczę mu przerwało.

— Ludzie co pana kochają, powinni o tem myśleć, aby go od niej oderwali. Życie mu wyssie ta zbytnica!

Rozmawiali tak długo, Stach do wieczora późnego przesiedział z nią, opowiadając o dworze i księciu; gdy ciemnieć zaczęło Jagna go do zamku odprawiała. Posłuszny jej poszedł do swojej izdebki.

Tak poczęło się osobliwe życie, które Stachowi, spokojnemu dotąd, niepokoju tylko i troski przyczyniało. Przywiązywał się codzień więcej do biednej dziewczyny, która dobrą dłoń będąc, chłodną zarazem i obojętną była. Najczęściej gdy przybywał poczyniała wypytwać o pana, i tak czas schodził na urywanej o cudzych sprawach rozmowie.

Gdy tylko czas miał, Stach nawykł ciągnąć do dworku tej mniemanej żony swej, która dłoń raczej siostrą, przyjacielem była niż małżonką. Nie zmieniło się nic od dnia pierwszego, gdy się on zbliżyć do niej próbował, zbywała go jeszcze większym chłodem, namarszczyła się, powtarzała mu, że stara była, do nikogo się już przywiązać nie mogła, bo nieboszczyka, z którym żyła szczęśliwą, dotąd w sercu nosiła. Stach choć go tu słuchali wszyscy i szanowali jak pana, praw swych nie używał, był jak obcym, nie rozkazywał nigdy, nie potrzebował nic, a gdy Hreczyn się napraszał z przywiezioną zbroją, odzieżą, sprzętami, zbywał go tem, że mu to się na nic nie zdało.

Jagna też wciąż obdarzać go chciała, Stach z trochę dumy i od niej przyjmować nie chciał.

— Wszak ci ja tu mężem nie jestem tylko dla oka—mówił—do niczego prawa mieć nie chcę, a za opiekę płacić sobie nie dam.

Uderzyło go w końcu to, że Jagna o niczem więcej prawie nie mówiła z nim, tylko o księciu lub o utrapionej wdowie. Jednego dnia spytał ją dla czego tak się tem zajmowała.

— Ei — odparła — każdy ma swoje tajemnice. Macie wy je dla mnie, boście mi o sobie nigdy wszystkiego nie powiedzieli, wolno i mnie coś przy sobie zachować. Niechaj to jak jest zostanie.

Stach nie nalegał.

Wdowa Dorota żyła zawsze po swojemu. Dom bywał pełny, ludzie się w nim mieniali, ona zaba-

wiała się niemi. Ściągali się tam jak na lep młodzi i starzy.

Odprowadzony wojewoda srodze za nią zatęskniwszy, powlókł się przebaczenia prosić, przywiózł podarki, odpędzono go zrazu, przyjęto potem, stary szalał, a biskup, który o wszystkim wiedział znowu groził klątwami. Znikł na czas Szczepan nastraszonny, ale nie wytrzymał, podkładał się o mroku, wdowa z niego szydziła, pomiatała nim, posługiwała się i podarki przyjmowała, a przed innemi drwiła z niego nielitośnie. Nieraz gdy książę nadjeżdżał kazano mu przez ciemne kąty się wymykać.

W mieście miłości książece pokrywało nieco to, iż tam siła bywało ludzi, tłumaczono Kaźmierza, iż rozrywki szukał, a nie złego nie myślał.

Nikt może tak pilno nie śledził i Doroty i księcia, tak dobrze nie wiedział o tem co się u wdowy działo jak Jagna, która nieopodal siedząc, na wszystko miała oko. Stach wszelkimi sposoby przez biskupa i innych ludzi Kaźmierza starał się wyrwać z tych rąk nieczystych, a wszystko rozbijało się o Wichfrieda, który wdowę u pana popierał, bronił, wodził do niej, pilnując, aby się jej płochość nie wydawała.

Wdowa mu też płaciła wielkimi łaskami i nie-miec był u niej jak w domu.

Gedko kilka razy na cztery oczy surowo napominał księcia o te zabawy nie zdrowe. Kaźmierz po każdym strofowaniu, które pokornie przyjmował, odwiedzin na czas jakiś poprzestawał, ale rychło powracał. Przestraszona Dorota używała wówczas wszelkich środków, Wichfried pomagał, zabiegała mu gdzieś drogę i ciągnęła do siebie.

Do księżnej Heleny trafił też ktoś i podszeptał jej o wdowie, stawiając niebezpieczeństwo jakie księciu od niej groziło, rozplakała się pani gorzko narzekając, ale ani mówić o tem mężowi, ani mu czynić wymówek nie śmiała, nie przyznając się, że wie o tem.

Zabawiając się krótko, Kaźmierz więcej mężczył miłostkami, których się wstydził: a przed Wichfriedem zeznawał, iż Doroty sercem nie miłował, tak jak swej pierwszej, że często w nim strach i obrzydzenie wzbudzała, przecie miała nad nim jakąś siłę szatańską, że choć się wzdrygał i opierał, nie mógł z nią zerwać. Jechał często ze złością i łzami, jakby go nieczysta moc, mimo woli gnała, a powróciwszy wstydał się tak, iż Wichfriedowi w oczy spojrzeć nie śmiał.

Wszystko to na dworze bliższym znane było, wiedział i Stach, rozповідаł Jagnie, a zdumiewał się, iż niekiedy to tak do serca brała, jakby albo nienawiść osobistą miała do wdowy, lub wielką miłość dla księcia.

Nie rozumiał spełna dla czego ją to tak obchodziło, iż zwykle wchodzącego w progu zarzucała pytaniami i radami go przeprowadzała, gdy odchodził, — ale badać nie śmiał, litując się nad nią, rad, że choć tem biedną zaprzatnie.

Znajdował ją przybywając często tak pogrążoną w jakimś smutku głębokim, iż nie słyszała, gdy wszedł, a stać i czekać musiał, aż się opatrzyła, że nie była sama i z krzykiem przestachu zbudziła ze snów swoich.

Życie to było ciężkie a dziwne, ale dla Stacha, który długo wprzód sam był na świecie, jeszcze lepsze od dawnego sieroctwa.

Miał się kim opiekować, o kogo troszczyć, gdzie pójść, mówiąc sobie, że biedna dziewczyna, której smutek śmierci ojca przypisywał, pozwoli może do niego serca nabierze. Spoutała się z nim codzień więcej — ale pozostali jak byli zdala od siebie i zbliżyć się, ani czułości okazać żadnej, nie dopuszczała Jagna. Brew się jej marszczyła i odpychała go surowo.

Za to we dworze więcej niż chciał panem być, służyli mu i narzucali się ludzie, izby dlań stały zawsze osobne, a gdy przyjmować miał znajomych,

dostarczano mu wszystkiego. Jagna sama pilnowała, aby na niczem nie zbywało.

Zrana Stach w skarbcu sprawiwszy obowiązek, na obiad tu przychodził, powracał potem na zamek, do wieczerzy przybywał znowu, siedział jak mógł najdłużej, zawsze na jednej rozmowie o księciu — i nocą na zamek szedł do swej izdebki.

Gdy się to działo w Krakowie, Mieszek w niewielkiem oddaleniu od niego, jakby na czatach prześiadywał u synowca Mieczysława w Raciborzu.

Tu nań oko Stach mieć musiał, bo nie tylko on sam i trzej synowie, ale Kietlicz się nieustannie kręcił, spiskując i nie spoczywając. Posyłano go raz wraz to do Niemiec, to do Czech, do cesarza, na Pomorze, do Prusaków, próbowano przeciągnąć i podburzyć siedzących na Szlaku Władysławowiczów, — a choć dotąd wszystkie zabiegi były bez skutku, zaspać ich się nie godziło.

Kaźmierz, ukochany w początku, już i zazdrośnych miał i niechętnych.

Miedzy ziemianami krakowskiemi, oprócz braci z Tęczyna, którzy mszcząc się za bezkarność siostry na księciu, na dworze się nie pokazywali — inni też, zastraszeni zapowiedzią surowych zakonów, trochę się od Kaźmierzka odwracali, a na stronę wygnanego Mieszka przechylali.

Mieszek z żelazną swą wolą odzyskania co utracił, nie pozbył się nadziei odzyskania Krakowa. Na pozór niezgrabny, ciężki, gburowatością i gwałtami tylko straszny Kietlicz, okazywał się teraz w rękę pana całę nowym człowiekiem.

Małomówny, skąpy w słowa doborne, nieznużony był i nie odpoczał na chwilę. Na zamku Raciborskim gdy się pokazał, to na krótko, pomruczał coś z księciem, konie zmienił, często i ludzi, nie pytając noc czy słońce, ruszał znowu w świat.

Dokąd? nie wiedział nikt; po co? tego się tylko domyślać było można. Weisnąć się umiał wszędzie

gdzie mu było potrzeba. Za młodu wychowany między Niemcami, znał doskonale język ich i obyczaje, był u nich jak w domu. Nie go nie kosztowało dobieść do Magdeburga i do Akwizgranu i do Kolonii, po małych dworach książęcych się włóczyć, do drzwi zamkniętych stukać, obiecywać i durzyć.

Sam rodem z Łużyce, z Czechami, na Pomorzu, mógł się z serbską rozmówić, bo naówczas języki słowian wszystkie jeszcze do siebie bardzo były podobne i różniły się więcej wymową niż słowy. Z Prusakami jako tako też ich językiem się porozumiewał. Na mężstwie zuchwałem mu nie zbywało, tak że z największego niebezpieczeństwa całym wychodził.

Na człowieka tego i pana jego niestannie okamieć było potrzeba. Niby to śledził go Mierzwa, ale poszlaki już miano, że dwu panom służył, a staremu gorliwiej niż nowemu.

Wszystko to z biskupem trzeba było obmyślać, a Stach jemu służył tylko, bo sam książę Kaźmierz albo nie wierzył w zмовы, lub okazywał na nie obojętność taką, jakby rad miał być, gdyby mu część kraju oderwano.

Czasem się okazywał pół żartem, iżby mu to na sumieniu ulżyło.

Było to prawie nie do wiary, a biskup Gedko nie pojmował spełna, jak się w tem sercu żądza panowania rozbudzić dotąd nie mogła. Nieraz mu napomykał o Mieszku, pierwszym państwa założycielu, o Chrobrym, o ojcu Krzywoustym, prawil o potrzebie jednoczenia tego, co się rozbiło a porozpadało, a Kaźmierz odpowiadał mu, że go nie rozległość ziem które dźierży obchodzi, ale szczęście ich, i że imby ich więcej miał, temby mu troski i ciężaru przybyło nad miarę.

Biskup milczał, a Kaźmierz wymownie, z serca poczynął o nowych zakonach, pragnąc je co rychlej wprowadzić; duchowieństwo i Gedko dla siebie ich pragnęło, bo samo je układać miało z księciem—ale

ziemianie się obawiali, wiedząc, że im ujmie swobody względem prostego ludu i kmieci.

Gedko mu o tem napomknął, że ziemianie stękali...

— Mogą li żądać—odparł Kaźmierz—aby im więcej dał swobody niż sobie? Te prawa dawne, pogańskie, które im odejmuję, odbieram też samemu sobie; moi służebni i ja ich się też rzec muszę.

Więcej jeszcze czynię, bo wzięwszy po ojcach moich władzę książęcą wielką, dla nich się w części i jej rzekam, przyzywając ich do rady, czyniąc uczestnikami panowania. Któż tu większą robi ofiarę: ja, czy oni?

Tak było w istocie. Biskup odeprzeć tego nie mógł, ale ziemian starał się zwolna przygotowywać, aby się nie zrazili i z niechęcią ku nowemu panu, a narzekaniami nie wybuchnęli.

Wieczorami u biskupa schodzili się albo na zamku duchowni, rozprawiając jako królestwo to mogło być jak najlepiej urządzone i postanowione.

Kaźmierz najgoręcej się tem zajmował. Młody Wincenty (Kadłubek), ulubieniec jego, przynosił z sobą zaczerpnięte z ksiąg starych przykłady, czytano i rozbierano, a książę się coraz bardziej zagrzewał do tego, aby po sobie państwu pamięć zostawić dobrą i każdego człowieka w nim prawo postanowić mocno, a samowolę ukrócić.

W tym czasie Władysławowicze na Szląsku siedzący między sobą się spierać poczęli o ziemię. Po zmarłym bezpotomnie Konradzie Głogowskim, Bolesław księstwo zajął; Mieczysław brat z Wrocławia go siłą wygnał i zajął tę część. Kaźmierza jako zwierzchniego pana wezwano do rozstrzygnięcia między braćmi. Ruszył więc do Wrocławia ze dworem wielkim książę sprawę rozsądził wedle sprawiedliwości; Mieczysław ustąpił z Wrocławia, a dla dziecka swego, które Kaźmierz do chrztu trzymał, dostał Oświęcim i Bytom.

Okazał tu znowu książę, iż mu nie szło o rozpościeranie granic, ani o ziemię, ale o miłość, pokój i zgodę.

Wspaniały dar uczyniony synowi Mieczysława, obudził szemranie; Gedko i Krakowianie nie byli z tego radzi; wspaniałość pana zwano nieopatrznością, rozrzutnością, zżymano się na nią. Książęta szlążcy, dosyć Kaźmierzowi niechętni, dobrocią tą nie zostali przejednani, zawsze pamiętając na prawo ojca, a jego zwąc przywłaszczycielem.

Powrócił Kaźmierz do Krakowa, w sumieniu spokojny, rad z tego co uczynił, ale od swoich pochwały czekał próżno. Gedko milczał, a zapytany rzekł proroczno, iż się Szlążacy niewdzięcznością wypłacą.

Ziemiańin Chmara, którego książę lubił dla wesołej myśli, na dworze jego więcej przebywający niż w domu, któremu Kaźmierz pozwalał mówić co chciał, powracającego przywitał, całując kraj szaty.

— Miłościwy panie — odezwał się żartobliwie — łaska to Boża, iż ze Szlążka nam choć ze gźlem i suknią wracacie; baliśmy się, by i te tam nie zostały.

— Wierzajcie mi — odparł Kaźmierz — iż milej jest dawać niż brać, i gźło widzieć na cudzych niż na swych ramionach.

— Kto ma ich na wymianę poddostatkiem — rzekł Chmara — ale wam, miłościwy książę, bodaj wkrótce żadne nie zostanie.

Na to Kaźmierz odparł, śmiejąc się:

— Nie drogo zapłaciłem, jeśli Oświecimm i Bytomiem serca kupił.

— Pewnie — rzekł Chmara — dodaćby jeszcze można parę włości, a no serca sprzedajne nigdy nie są pewne. Jeśli je kupić można, lada kto je... odkupi.

Westchnął książę i nie mówił już nic.

Chmara ten nie tylko Kaźmierzowi, ale i biskupowi czasem prawdy dosyć gorzkie prawił, nie szczędził nikogo; staruszek jednak miły, słowo najprzy-

krejsze tak osłodzić umiał, a czuć było, że ono z serca płynęło, iż nikogo nie pogniewał. Gdy go na dworze zabrakło, wszyscy za nim tęsknili. A był człek wcale nie uczony, choć rozumny, mądrych z ksiąg słuchał rad i często twardy orzech dawał im do zgryzienia. Dziwili się mu ci co czytali i uczyli się, iż pisać ani czytać nie umiejac, prostym rozumem sięgał tam, gdzie ich mozolnie nabyta nauka doprowadzić nie mogła.

Gdy po wieczery na zamku zasiadali u stołu scholastyk Lambert, opat Lucjusz, czasem który z benedyktynów tynieckich i młody Wincenty, przedmiot rozmów najczęściej teraz bywały prawa różne, stanowione dla państwa, o których książę rad się był dowiadywać.

Razu jednego po powrocie z Wrocławia, Wincenty przyniósł z Troja Pompejusza powieść o Liguriusie (sic *), który ziemi swej prawa nadał surowe bardzo a zbawienne, obowiązując do przysięgi ziemian swych, ażeby im póty byli posłuszni, dopóki by on nie wrócił. Poczem udał się na wyspę Kretę, na dobrowolne skazując się wygnanie — i tam umarł. Ziemiańskie, którym surowość zakonów dolegała, z grobu prochy jego dobywszy, przywieźli je nazad, aby się od przysięgi uwolnić.

Książę Kaźmierz ciekaw był się o prawach tych dowiedzieć, a Wincenty wyliczył ich dwanaście.

Pierwsze prawo stanowiło, ażeby lud panu posłusznym był i wiernym, a pan dla ludu stróżem pilnym i łaskawym; surowym tylko dla złych.

Drugie, ażeby ziemianie i możni życie wiedli skromne, gdyż rycerstwu przystała więcej wstrzeźliwość niż rozpusta.

Trzecie, iż nie pieniędzmi, ale zasługą zaszczyty się nabywać miały.

*) Gesta romanorum.

Złota i srebra na równi z innemi kruszczami wartość postanowiono.

Władzę w ziemiach swych podzielił tak, ażeby królowi służyło prawo wypowiedzania wojny, urzędnikom sprawienie sądów, senatowi praw straż, a ludowi wybór urzędników swych.

Majątki wszystkim podzielono na części równe, aby byli wyposażeni jednostajnie i by możniejszych ani ubogich nie było.

Pożywienie wspólne i publiczne miało być u jednego stołu, aby się nikt nie dopuszczał rozpusty.

Młodzieży na rok po jednej tylko sukni wyznaczono.

Ubogie chłopięta na wieś do roli posyłać miano, nie dając się im po miastach włóczyć, aby w pierwszych latach do pracy nawykli.

Dziewczęta dawane być miały bez wyposażenia. Żon dla pieniędzy brać zakazano.

Cześć oddawana być miała starszyźnie i zasłużonym, a nie możnym.

Gdy Wincenty o prawach tych rozповідаł, a niektórzy im przyklaskiwali, zdumiewając się, iż w pogańskim narodzie tak piękne mogły być zakony, Chmara głową potrząsał i śmiał się. Spytał go książę, coby mu się w tem śmiesznem zdawało?

— Widzi mi się — odparł Chmara — jakom człek prosty, iż pocziwiec ów Ligurius człowieka żywego mało znał, a drewnianych chyba kukieł prawo pisał. Nie dosyć bowiem równo podzielić mienie, trzebaby wszystkim dać jedną miarę głodu i pragnienia. Widziemy codzień, że jeden więcej zapracuje niż drugi — i jeden spożywa obficie, inny oszczędniej. Rodzi się silnym niektóry, słabym inny — równości między ludźmi być nie może.

I to mi się śmiesznem zda, że swych ziemian znając, pojechał umierać na Krete, fortelem ich podszedłszy, za co mu ci jeszcze lepszem oddali, popioły

przywołując, by u jednego stołu chudem jadłem się nie żywić.

— Mnie zaś to tylko nie do serca — dodał książę — iż panującemu odebrał najdroższe jego prawo wymierzania sprawiedliwości, zdając ją na urzędników.

Takiemi rozprawy najwięcej się Kaźmierz zabawiał lubił, w czem mu dogadzano, zawsze coś nowego przynosząc do stołu. Czasami jednak ludzi zabrakło, brała księcia tęsknica jakaś wielka i albo na łowy jechał, lub go Wichfried smutnym widząc, ciągnął do Doroty.

Strofował biskup Niemca, który go unikał, a swoje robił, stawał się nałóg ów coraz straszniejszym, bo płocha niewiasta górę nad nim brała i co chciała z nim czyniła.

Biskup nie mało się tem frasując, a widząc, że napomnienia nie skutkują, innej rady nie znalazł nad te, by braciom podszeptać, ażeby siostrę gwałtem z Krakowa wzięli. Gedkowi zdało się, iż choćby zrazu książę gniew miał w sercu, nie śmiałyby się za nią ujmować, a potem o niej zapomnieli.

Z tem więc postanowił Stacha wyprawić do Tęczyna, który się podjął jechać w poselstwie, nikomu z tem, nawet Jagnie się nie zwierając. Wybrał się jakby na łowy w okolicę.

Warowny był już naówczas zamek stary w Tęczynie, a że Dobrogost, który na nim siedział, wiedział, iż nieprzyjaciół ma dokoła, sam zaś z Mieszkim trzymał, straż zawsze utrzymywano pilną i ludzi pod dostatkiem.

Stach przybywszy, opowiadać się musiał, od kogo przybywał, powiedział więc biskupa Gedkę i niebawem go wpuszczono.

Dwór pański był i ludny, służba mnoga, przyjęcie książęce.

Wprowadzono posła do izby wielkiej, rycerskimi zbrojami obwieszanej, do której Dobrogost wszedł zaraz w sukni dla gościa wdzianej umyślnie. Z bisku-

pem nie byli dobrze, Stacha przyjął też zimno. Ponieważ komornik jeden ze służby u drzwi stał na zawołanie, zażądał posel rozmowy na osobności.

Gdy do komory bocznej weszli, powiedział z czym przybył.

Do Krakowa nocą wtargnąć z ludźmi zbrojnymi nie było trudno, na dworze wdowa nie miała z kim się opierać, bo zbrojnych rozpuściła, mogli więc bracia pochwycić ją i uprowadzić, gdzieby chcieli. Nie mówił Stach wcale o księciu, ani o powodach, jakie miał biskup, oprócz publicznego zgorszenia.

Dobrogost zimno to przyjąwszy, odpowiedział po namyśle, iż z bratem poradzić się musi. Chciał wiedzieć jednak, czy książę jest o tem zawiadomiony i czy się to za jego przyzwoleniem działo. Stach odparł, że nie o tem nie wie, i że mu nie zlecono więcej.

Przystojnie uczęstowany, ale odprawiony chłodno, Stach wrócił, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi.

Czekano na nią w Krakowie dni kilka, ale się nikt nie zjawił.

Tymczasem Dobrogost z Sędziwojem układali się o porwanie siostry, zapewnieni będąc, że im to ujdzie bezkarnie. Mieli biskupa za sobą, a ten był wówczas wszechmogącym.

Jednego wieczora Wichfried księcia zawiózł do dworu Doroty, tak jak zwykle zasiedzieli się późno w noc przy kielichach i śpiewach.

Okiennice wszystkie były pozamykane, wrota podwórca zaparte; zapomniano o spóźnionej porze, wdowa zabawiała księcia żywymi opowiadaniem przygód miłosnych, gdy nagle hałas i łomot dokoła słyszeć się dały. Pod oknami ludzie biegali śpiesznie, porywano za okiennice, czeladź domowa krzyczała gwałtu. Służba stojąca w przedsieni wparta do izby, biegła, szukając oszczepów do obrony. Jacyś ludzie napadli na dwór.

Książę z Wichfriedem do mieczów się porwali.

Sami będąc, ułękli się najścia, nie wiedząc jeszcze z kim do czynienia mieli. Wichfriedowi na myśl przyszedł Mieszek; jako mężny rycerz, sobą zasłaniając księcia, stanął w jego obronie.

Wtem Dobrogost z Sędziwojem, zbrojni do izby wtargnęli, a ujrzawszy księcia, stanęli osłupieni.

Ludziom, którzy się cisnęli za niemi, znak dali, aby nie szli dalej.

Strwożona Dorota padła na kolana, chwyciła za suknię księcia, błagając o ratunek.

Każmierz Wichfrieda usunawszy, wystąpił sam, wyrzucając braciom nieposłuszeństwo i zdradę.

Zręczny Niemiec wystąpił z tem, że książę zawczasu zawiadomiony o zamiarze najścia na dwór, umyślnie się tu znalazł, by nie dopuścić gwałtu. W ten sposób odjąć chciał im pozór do obmowy Kaźmierza.

Obaj bracia stali długo niemi i zdrętwieli. Ułękli się, aby ich nie posądzono o zamiar gwałtu nad panem; nie śmieli już siostry brać, wstyd i gniew, że zawiedzeni zostali, odjął im przytomność.

Książę głosem groźnym, pod karą główną, precz im ustąpić natychmiast rozkazał, a nie rościć więcej żadnych praw do opieki nad siostrą, gdyż panujący pierwszym jest wdów i sierot opiekunem. Oświadczył, że im zuchwały krok przebaczy, jeżeli oni sami zachowają o nim mileżenie.

Dobrogost i Sędziwój nie umiając się i nie chcąc tłumaczyć, bez pokłonu nawet odeszli i ludzi swych zebrawszy, obawiając się pogoni i sądu, przeklinając biskupa, którego posądzali o zasadzkę — odjechali gniewni do Tęczyna.

Gdy się tak wszystko szczęśliwie dla wdowy skończyło, a Kaźmierz na zamek miał powracać, wdowa jeszcze strwożona na progu legła, nie puszczając go i nie chcąc sama pozostać. Wichfried więc, rad nie rad, musiał ją zabrać na zamek pota-

jemnie, dopóki by się dla niej inne bezpieczne nie znalazło schronienie.

W obszernych zabudowaniach na Wawelu, można było ukryć do czasu Dorotę, lecz zuchwała niewiasta znalazłszy się bliżej księcia, wcale ztąd ustępować nie chciała. Musiał więc Wichfried dla osłonięcia jej, mianować się mężem, a że naówczas śluby kościelne powszechnie jeszcze nie były, dość było nazwiska, aby bliżej nikt nie wglądał.

Nazajutrz po wypadku, którego utaić nie było podobna, wieść o nim, choć sługom mileżeć kazano, rozeszła się po mieście. Jagna się też dowiedziała o niej, a Stach z zamku przyszedł drżący gniewem i oburzeniem.

Można sobie wystawić rozpacz jego, gdy to, co miało być ratunkiem, stało się większem niebezpieczeństwem. Dorota na zamku, pod bokiem, obok księżnej: Dorota, którą wszyscy znali, choć jako żona Wichfrieda, była groźbą dla przyszłości. Pobiegł natychmiast Stach do biskupa żale rozwodząc, a ten wysłuchawszy powieści, strwożył się równie. Więcej jednak Wichfrieda niż księcia obwiniął.

Tegoż dnia Gedko na zamek się udał. Zbliżał się zapowiedziany już zjazd ów w Łęczycy, dokąd duchowieństwo i ziemianie zebrać się mieli dla ogłoszenia praw nowych. Radzono ciągle, przyszło i teraz do rozpraw poważnych.

Biskup znalazł zręczność Wichfrieda wziąć na stronę i gwałtownie napadł na niego, iż zgorszenia i niesławy jest narzędziem, zagrażając mu karą kościelną. Nawykł był do poszanowania tej władzy, jaką dzierżył i nie wątpił, że Niemiec się ukorzy. Stało się jednak inaczej. Wichfried odparł zuchwale, że o niczem nie wie, nikomu sumieniem swem rządzić, a siebie sądzić nie dopuści, że wie co czyni i za to gotów odpowiadać.

Nim Gedko miał czas go za harde słowa skarcić, Niemiec pokłonił się i nie czekając więcej, oddalił

Biskup musiał na tem poprzestać, nie chcąc wywolywać na dworze zgorszenia, ale czekał na Kaźmierza i gdy się wszyscy oddalili, rzekł mu:

— Miłościwy książę, boli mnie serce, gdy dobrego pana z obowiązku upamiętywać muszę. Złym ludziom dajecie moc nad sobą; nieszczęsna ta niewiasta, któraście porzucić mi przyrzekli, bliżej was jest niż była. Co pomoże stanowić najlepsze prawa ludzkie, gdy się Bożych nie zachowuje? Miłościwy książę, zaklinam was, hamujcie waszą gorącą krew Piastowską, a nie kalajcie pięknej duszy waszej!

— Ojciec mój — odparł poruszony Kaźmierz — wierzajcie mi, iż walczę z sobą, aby się słabości mej pozbyć, alem ułomny i grzeszny.

Westchnął biskup—książę pochylił się i w rękę go pocałował.

Natychmiast zwrócił rozmowę na zjazd łęczycki, a Gedko litując się jego upokorzenia, widząc skrucę—odszedł, nie wznawiając już napomnień.

Nazajutrz wdowy już na zamku nie było—ale dokąd ją nocą przeprowadzono, nie wiedział nikt. Stach wysłał na zwiady, biegał sam, pytał sługi, nigdzie tropu znaleźć nie mógł. Myślał jednak, że niewiasta jak ona, długo w ukryciu pozostać nie może.

V.

Nadszedł wreszcie ów dzień uroczysty, zdawna oczekiwany i upragniony; naznaczony został w Łęczycy zjazd duchowieństwa ziem wszystkich i ziemian; a starszyny dla obwołania i poprzysiężenia praw nowych.

Było to jakoby prastary wiec, zjazd, jakiego od wieków nie pamiętano.

Rycerstwo i ziemianie stanąć na nim mieli obok duchowieństwa z prawem Rady przy księciu.

Pochlebiali to ich dumie, ujmowało wszechmocy panu, dawało siłę jakiej nie mieli, ale wiedzieli, że przyjdzie okupić cześć tę, zrzekając się samowoli nad ludem. Cieszyli się kmiecie i osadnicy, mając nadzieję, że gdyby nawet inny pan nastał, zakon przetrwa i spełniać się będzie. Radowało się natomiast duchowieństwo, najpierwsze mając zająć miejsce na zjeździe, opiekunów prawa nowego, stróżów jego, a zapewniając majątnościom swym bezpieczeństwo.

Najbardziej jednak cieszył się książę Kaźmierz, który tem prawem panowanie swe chciał uświetnić, sumieniu ulżyć, cześć sprawiedliwości, jaką w duszy nosił, czynem stwierdzić.

Dawno już, bo od pierwszej niemal chwili, gdy go na Krakowie osadzono, marzył o tym zakonie sprawiedliwości.

Narzekań na Mieszka i Kietlicza, którzy tak srogo uciskali wszystkie stany, wkładały nań obowiązek zaprowadzenia prawodawstwa nowego.

Największą ofiarę rzeczywiście czynił, on, bo się z praw swych wyzuwał, nie w zamian nie biorąc.

Arceybiskup gnieźnieński i biskup poznański, którzy z innemi pasterzami na czele zjazdu zasiadać mieli, zapewniali go tylko, iż nie jedno potwierdzenie uchwał łęczyckich wyrobią w Rzymie, ale i prawa następstwa na stolicę, złamanego przez wyniesienie Kaźmierzowe.

Najwyższy biskup rzymski, rozdający berła i korony, sam miał uczynić Kaźmierza panem, gdy on dotąd uważał się za przywłaszczyciela.

Radosny to wiec dzień był, gdy książę ze świątynnym orszakiem, któremu mnogie poczty ziemian towarzyszyły, po wysłuchaniu nabożeństwa w kościele

św. Wacława i odebrania błogosławieństwa, do Łęczyce wyruszył.

Ze wszystkich krajów podległych Kaźmierzowi rycerstwo, ziemianie, żupanowie, władcy najmożniejsi płynęli gościńcami, wiodąc z sobą gromady czeladzi, występując ze wspaniałością największą. Mieli tu wystąpić po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, jako jedno wielkie ciało i siła dotąd nieuznana, chociaż od Szczodrego czasów potęgą jej rosła ciągle, zwiększając się z dniem każdym.

Wiec ten zwołany przez Kaźmierza, czuli to wszyscy, otwierał jakby nowych czasów wrota. Dla jednego tylko duchowieństwa, które już wszelkie możliwe prawa miało i używało ich w pełni, był on mniej znaczącym zabezpieczeniem od samowolnej grabieży. Na zjeździe pasterze majestatem swym niemal przyćmić mieli najwyższego pana. Wiedzieli oni, jak Kaźmierz im był uległy, w ich rękach zresztą było potwierdzenie Rzymu, którego słuchać musieli cesarze i królowie, zwani przez Rudobrodego pogardliwie: królikami prowincyi jego państwa.

Duchowieństwo wybrało Łęczycę, jako zwykle miejsce zjazdów swoich, tak, że wiec ów mógł się jego synodem nazywać.

Kaźmierz oprócz ziemian, chciał mieć uczestnikami i świadkami zjazdu, książąt, którzy zwierchności jego ulegali, pragnąc, aby i oni prawo przyjęli. Przybyć więc miał Bolesław Wrocławski, Otto, który trzymał Poznańskie, Mieszek Szląski, Leszek Mazowiecki, syn Kędzierzawego i inni. Pomorscy namiestnicy, ziemianie nie tylko Krakowa, ale z najdalejszych krańców, które stanowiły dawną całość i do jedności się poczuwały—zjechać też mieli.

Jesień była niepóźna jeszcze, ciepła i dosyć pogodna, gdy Kaźmierz z licznym dworem, wojewodami, żupanami, urzędnikami mnogimi, po królewsku niemal w podróż się wybrał. Towarzyszyło mu duchowieństwo liczne i rycerstwo przydворne i czeladzi zastępy

całe i długie wozów szeregi. Dobrze wprzód, nim on sam wyruszył z Krakowa dwór wyjść musiał, aby po drodze, przez okolice w większej części mało zaludnione, piaszczyste, leśne, gotować obozowiska, pasze, namioty, mosty i dla mnogiego ludu a koni, pożywienie. Wypadała droga, oznaczona do Łęczycy; tak, iż mało i niewiele znaczących osad dotykała, idąc niezamieszkałymi stronami. Książę chciał może uniknąć grabieży, którą prawem chciał ukrócić, a w tłumnej podróży zapobiedz jej było trudno.

Każmierz, choć kilka dni trwało utrudzające ciągnięcie, był dobrej myśli, bo się zbliżał do dawno upragnionego celu. Czuł się po raz pierwszy istotnym panem na tej ziemi, której przynosił różczkę oliwną. Nigdy go weselszym, piękniejszym, majestatyczniejszym nie widzieli druhowie jego; uśmiech ust, pogoda nie schodziła z czoła.

Jechali razem z Gedką, który równie wspaniale, jak książę występował; Kaźmierz mu wszędzie pierwszy krok dawał, posłuszeństwo swe i podległość kościołowi chcąc przez to okazać. Dla biskupa, któremu ani wiek, ani powaga nie dozwalały zbyt śpiesznie podróży odbywać, musiał i książę zwalniać kroku.

Często pół dnia ciągnął ten pochód, jak procesja kościelna, ze śpiewami pobożnymi, które kapelani rozpoczynali, a wszyscy im wtórowali z odkrytymi jadąc głowami. W żadnej z osad po drodze wszystkich ludzi pomieścić nie było podobna, rozbijano więc obozy, rozpalano ognie, namiot książęcy rozpościerano, a nazajutrz rano najeczęściej biskup sam przy ołtarzu z darni pod gołym niebem mszę świętą odprawiał.

Zbliżyli się nareszcie ku Bzurze, ogromnym błotom i łąkom szerokim, które łęczycki zameczek na kępie pobudowany otaczały. Zdala już widać tu było wszystkie suchsze łęgi zajęte obozami, gościńce mrówiące się ludem niepoliczonym.

Dla księcia mieszkanie zgotowane było na zamku

drewnianym, dla biskupa Gedki wraz ze Zbislawem gnieźnieńskim arcybiskupem i przedniejszych duchownymi przy starym tumie, o ćwierć mili od Łęczycy, także wśród nizin i błot stojącym, ale w zaroślach zielonych i cienistych drzew.

Gdy Kaźmierz zbliżył się do Łęczycy, na gościńcie wązkiej wysypał się tłum wychodzący go powitać. Arcybiskup gnieźnieński, poważny starzec, Zyrosław wrocławski, Cherubin poznański, Lupus płocki, Onolf kujawski, Gaudenty lubelski, Konrad pomorski. Wszyscy oni razem z prałatami i duchowieństwem mniejszem składali grono sędziwe, poważne, najsilniejszą władzę w tych ziemiach dzierżące w rękę. Za nimi dopiero widać było jadącego Bolka wrocławskiego, Mieszkę, młodego Leszka mazowieckiego i Ottona, który wziął Wielkopolskę. Zbrojni, w szyszaki strojne godłami poubierani, książęta wydawali się niemal dworem tych starców, co im z krzyżami na piersiach przodowali, chociaż przepychem swojego otoczenia mu nie ustępowali.

Szlączy książęta Władysławowicze, wychowani w Niemczech, do obyczaju niemieckiego zawczasu nawykli, nosili się rycersko i świetnie; wszyscy byli dorodnego wzrostu, szeroko ramienni, postawy pańskiej. Bolko szczególnie, który stroić się lubił, lśnił od złota i świecących blach swej zbroi.

Mieszek mu niewiele ustępował. Wziąć ich było można obu za wysłańców cesarskiego dworu lub książątka czy grafy niemieckie, bo w nich nie już północnych panów nie przypominało; poczyty ich i dwory wyglądały też z cudzoziemska.

Obok nich, blade, wątłe, schorzały wyrostek, z twarzą zbiedzoną, z oczyma przygasłymi, jechał Leszek syn Kędzierzawego, który nigdy żwawej nie znał młodości, bo go od kolebki dręczyła choroba jakaś, na którą leku nie było, a obok niego wojewoda, dodany mu za opiekuna. Na Leszku zbroi mało co było, bo ciężkiego żelaza udźwignąć nie mógł.

Na twarzy jego smutnej, choć dziecinnie uśmiechniętej, śmierć zawczasu położyła swe piętno, a choć się jeszcze spodziewano, że się może dorastając pokrzepi, inni już na spadek po nim patrzyli.

Z nim jadący Otto, syn Mieszka, któregośmy już widzieli, krępy, pleczysty, niezgrabny, z głową na grubym karku osadzoną, niedźwiedziowato, jak zwierz dziki poglądał dokoła.

W orszaku za niemi postępującym pełno było i twarzy osobliwych i strojów przeróżnych, dawnych nowych, przynoszonych z ziem pobranych, ruskich, greckich, niemieckich, francuzkich, włoskich, duńskich i normandzkich. Każdy na uroczystość wielką brał co miał najkosztowniejszego, błyskało więc złoto i szkarłat!

Na Krakowianach, których często nawiedzali kupcy z Włoch i Niemiec, przyprowadzający sukna, bławaty, klejnoty, broń, widać było barwę zachoduńią, na Pomorzanach stare zabytki przepychu dzikiego, na tych, co z Rusią graniczyli, grecką kopię i orężę wschodnie. Ci, co z Henrykiem na krzyżową wyprawę chodzili, nosili i teraz krzyże na chorągwiach i zbrojach, a broń ich na Saracenach była zdobytą.

W towarzystwie biskupów, przy dźwięku dzwołów, wjechał Kaźmierz przez most na kępę, na której stał zameczek łęczycki, lichy naówczas i niepozorny, ale dla nawykłych do obozowania ladajakiego, dostateczny. Tu już dwór, który pana poprzedził, oczekiwał nań i ucztą była zgotowaną w części na izbach zamkowych, częścią na podwórcach, prostemi stołami i ławy z desek skleconemi zastawionych.

Następnego dnia po nabożeństwie, naznaczonem było zebranie się wszystkich na kępę dla ogłoszenia praw, o których ziemianie mówili z poddaniem się woli księcia, ale niezbyt wesoło. Nikt się już przeciwieć nie myślał, gdy duchowni rzekli, że tak być powinno.

Stach, który z innemi przybył tu ze skarbcem

podróżnym, tegoż wieczora ocierając się o ziemian, nasłuchać się mógł rozmów dziwnych. Nie wszyscy rozumieli czego chciał Kaźmierz, ale o tem wiedzieli, iż przeklętym być miał ktoby kmieciowi zabrał samowolnie konie, pochwycił siano, spisał zboże, kazał się żywić i przewodzić.

Od Chrobrego czasów z pokolenia w pokolenie szedł ten zwyczaj dawny, a książęta, dwory i ich posłańcy jeździli kosztem tych, których chaty i pola znajdowały się przy drodze. Często sobie wybierano gościńce, gdzie się lepiej pożywić było można, wielu się od posługi ciężkiej okupić musiało. Wygodnem to było. Teraz i książę dla siebie wyrzekł się tej grabieży i ziemianie pod klątwą musieli jej zaniechać.

Tylko czasu wojny, gdy szły posły z wiciami a o obronę kraju chodziło, prawo stare do życia wracało.

Ziemianie stękali i sarkali.

— Teraz — mówił jeden ze Sreniawów — człek będzie musiał za sobą tabor prowadzić, owsy, obroki, chleby, siano... bo kmieć albo sprzedać nie zechce, albo jak za ojca zaprosi. Niech się potem nie dziwi, że służba isć musi durno a wolno.

— Kmiecia przez to licho nie brało — dodał Lis — że przewód dał i karmił, przecie oni i tak głowy dobrze podnoszą, słuchać już nie chcą, a co będzie dalej, gdy w pierze więcej porosną?

— Wszystkiemu winni księża biskupi — mówili inni. — Im o własną skórę chodziło, aby gdy który z duchownych zemrze, nie mógł się sąsiad z bezpańskiego mienia pożywić. Inni plebani po staremu dzieci mają siłą, a już im teraz dziedziczyć probostw nie dopuszczają, więc by choć stodoły wypróżnić chcieli. Zkądże oni mają te ziemie i brogi, jeśli nie od nas? słuszne było, aby na bezkrólewiu my ule podbierali. Mają oni i tak dużo, a na wojnę nie idą, ani dzieci ich.

— Chcieliby zagarnąć wszystko — mruczał inny. Żeby mogli dla siebie to prawo przeprowadzić a i książęciu ziemian też oberżnąć!

— A no, cicho! cicho — przestrzegali drudzy z boku — bo kłać będą jak posłyszają.

Zamilkli,

— Książę bo sam na tem najwięcej pono straci — ozwał się po chwili Cholewa. — Górę wezmą nad nim więcej niż kiedy bywało. A co robić!!

Skarżono się tak i stękano, ale po cichu. Inni się znowu za kmieciami ujmowali, znajdując, że prawo słuszne było. Wszyscy jednak ile ich tam się znajdowało, woleli prawo surowe, niż żelazną rękę Mieszka i Kietliczowe zagony po kraju, łapanie winnych i niewinnych, których ze skóry odzierano i dla marnych grzywien męczono.

Nazajutrz gdy po nabożeństwie rannem weszło onych ośmiu pasterzy, w mitrach lśniących na głowach, z laskami złocistymi w rękach, w szatach od złota, pereł i purpury, z krzyżami na piersiach, z pierścieniami na rękach — i zasiedli kołem jak senat i sąd w izbie wielkiej, arcybiskup Zbislaw tuż na równi z księciem, inni po bokach, a tuż ustawili się za niemi książęta we zbrojach irycerskich pasach, a dalej ziemianie w szubach, w jedwabiach, sukniach szytych i bramowanych złotem — widok był jakiego ta ziemia dawno nie oglądała, majestatyczny, uroczysty, wielki.

Ci co szemrali wczoraj, teraz umilkli przerażeni przed posłannikami Bożemi, którzy mieli prawo wiązać i rozwiązywać. Nie śmiał już nikt pomyśleć inaczej niż ci ojcowie duchowni, przy których była mądrość Boża, słowo Chrystusowe, błogosławieństwo i klątwa to jest życie i śmierć.

Każmierz, który najczęściej skromnie się odziewał, na ten dzień niemal po królewsku wystąpił, przybrany w najpiękniejszą zbroję ze złotem, w pas kamieniami barwnymi dzierzgany, w czapkę książęcą o złotych obręczach, w płaszcz z purpury. I pięknym

był jak nigdy, a lice jego szczęściem wielkiem i łaskawością promieniało.

Gdy się ukazał w tym majestacie okrzyknęli go wszyscy — serca chwytali samem obliczem swem. Zdało się starcom, że cień Krzywousty omlodzony i wypiękniony w niebiesiech, zjawił się przed niemi.

Wśród ciszy wielkiej, wstał sędziwy Zbislaw, i po modlitwie prawo uchwalone głosić zaczął.

— Ktokolwiek kmieciom zboże lub mienie gwałtem czy w jakimkolwiek sposób zabierze lub zabrać każe — niech będzie wyklęty!

Wszyscy biskupi powtórzyli za nim.

— Niech będzie wyklęty!

— Ktokolwiek do dawania przewodu zmuszał lub zmuszać kazał, niech będzie wyklęty. — Czasu wojny tylko jest wolny.

I znowu powtórzyli klątwę pasterze.

— Ktokolwiek po zmarłym biskupie dobra zagarnie lub zagarniać każe, choćby książęciem był, panem możnym, urzędnikiem, bez różnicy stanu — niech będzie wyklęty.

— Niech będzie wyklęty!

— I ten kto zabrane dobra kościelne przyjmie, zabranych nie odda w całości, za zwrot nie poręczy, jako współnik świętokradztwa — niech będzie wyklętym!

Dolożył arcybiskup, iż sam książę, dając przykład z siebie, prawom się tym poddawał, wszyscy też pod klątwą posłuszni im być powinni.

Każmierz podniósł palce złożone jak do przysięgi na znak przyzwolenia i inni wszyscy szmerem posłusznym zawtórowali.

Nastąpiła dziękczynna modlitwa. Arcybiskup uroczyste pobłogosławił zebranych, poczem biskupi wszyscy z duchowieństwem swem wyszli, aby złożyć szaty obrzędowe, książę zszedł ze stopni i razem z książętami co go otaczali, pomiędzy ziemian zstąpił, witając jednych, uśmiechając się drugim, wszystkim

okazując łaskawość wielką, oblicze prawdziwie ojcowskie.

Stoły już czekały na zamku pozastawiane, poczęli się więc po chwili kupić i garnąć wszyscy jak kto chciał, Krakowianie z sobą, Mazury, Poznańscy, Sandomierzanie i Lubelsey, wedle gromad i ziem do których należeli. Podkomorzowie książęcy przy stołach gospodarzyli. Sam Kaźmierz z duchowieństwem i książęty zajął miejsce osobne, ku któremu kto mógł spoglądał, bo wszystkich ich nie każdy znał i nie łatwo mógł zobaczyć. Pokazywano ich sobie—oto nasz!

Wśród zasępiionych, namarszczonych, pokrzywionych różnie twarzy, Kaźmierzowa królowała pięknnością i weselem. Sam on innych zachęcał do spełniania kubków, a rozmowy ohoce wszeczynał, mieniąc ten dzień najpiękniejszym życia swojego.

A że duchownemi był otoczony i rozmowy na tor poważny weszły, rad u stołu się zasiadzał, o potrzebach ziem tych i przyszłości ich rozmawiając z niemi. Mówiono o zakonach nowych, o klasztorach wznoszących się na chwałę Bożą, benedyktyńskich norbertanów i cystersów, o pobożności i pracowitości ich, potrzebie nawracania ludu, o sprawach Niemiec i świata, o cesarzu i ziemi świętej, wyprawach do niej, jako na pogan sąsiednich w Prusach i Polesiu.

Upłynęło czasu wiele i ani się spostrzegł książę, gdy sam dotrzymując wszystkim, co się około niego mieniali ciągle, wstawali i przychodzili coraz nowi, do nocy tak przetrwał.

Nie czuł wcale z mordowania. Wichfried aż szepnąć musiał mu iżby na spoczynek po dniu tak znojnym udać się czas było, na co Kaźmierz uśmiechając się odpowiedział, iż szczęśliwym się czuje nie znużonym.

Wstał jednak i dał mu się zaprowadzić do przygotowanej komory, chociaż ziemianie podochoćeni długo jeszcze za stołami przesiadali.

Jak wszyscy ówczesni królowie i książęta, Kaźmierz rycerzem będąc i łowcem, pieszczonym nie był, wielkich więc wygod nie potrzebował. Twarde posłanie, prosty posiłek starczyły. Izba sypialna, jakby w obozie, łoże miała ladajakie, a jedyną jej wspałością były złociste naczynia z wieczornym napojem, zbroje i stroje, jakich książę potrzebował.

Spało się na skórach, często na mało pokrytej słomie i sianie.

Kaźmierz ledwie z pomocą komorników swych rozdział się ze szat kosztownych i stał w jednym kaftanie, do snu się zabierając, gdy do drzwi zakrobano.

Wyszedł jeden ze sług zobaczyć i oznajmił, że Bolko wrocławski z księciem mówić pragnął sam na sam.

Kaźmierz, który nie zbyt dawno ich z bratem pojednał, a zgodę uczynioną, pragnął utrzymać, sądząc, że dla tej sprawy Bolko mu się wprasza, natychmiast go puścić kazał, idąc przeciw niemu z otwartemi rękoma.

Bolko, któregośmy przy wjeździe widzieli, pięknej i dzielnej postawy mężczyzna, rycerz odważny, nie miał wcale łagodnej natury Kaźmierza, ani do brotliwości piastowskiej. Ostro mu patrzyły oczy, twarz z ustami nieco nabrzękłemi, nieco rozlana, okazywała człeka co życia rad był na wsze strony używać wiele i nie szczędzić. Nie zbywało lieu na wyrazie pewnej przebiegłości prostaczej i dumie źle pokrytej, a pokrywać się usiłującej. Kipiało w nim zawsze niewygasające wspomnienie praw, których ojciec jego był pozbawionym, choć Kaźmierz uczynił wszystko co mógł, aby pamięć krzywdy nie przez siebie wyrządzonej zatrzeć.

Wiedział on, że osadzeni na Szlasku książęta serca do niego wielkiego nie mieli. Tem więcej też pozyskać ich pragnął. Z uśmiechem witać go począł. Bolko szedł jakby zakłopotany i niepewny siebie.

skłonił się nieco, obejrzał do kola, a że stali nieopodal drzwi, skinął wiodąc ku oknu.

Wszystko to zagadkowym było i tajemniczem.

Kaźmierz poszedł za nim ciekawy, ale spokojny, bo dnia tego radość wszystko mu osładzała.

— Z prośbą ja do was przychodzę—rzekł, wahać się Bolko—za złe mi jej nie bierzcie. Posłem jestem.

— Czyimże?—spytał książę.

Bolko spojrział badając i znowu się wahał.

— Nie gniewajcie się tylko na mnie, żem przyjął pośrednictwo od niemilego wam może.

— Mów, od kogo, proszę i co mi niesiesz.

Bolko czoło pocierał.

— Do serca waszego braterskiego, z prośbą, z pokorą Mieszek przychodził—rzekł wreszcie cicho.

Patrzył w oczy jaki skutek uczyni to słowo, Kaźmierz się wesoło uśmiechnął.

— Miłe mi jest owszem poselstwo wasze—rzekł—bo nie dla mnie pożądansem być nie może, nadto bym Mieszkowi los jego osłodził.

— Mieszek jest bardzo nieszczęśliwy—mówił poseł ośmielając się.—Pauem był, dziś jest bezdomnym wygnańcem. Nie o niego jednego idzie, ale o trzech też synów młodszych. Co oni poczną? gdzie pójdą? jaki los ich czeka? Mieszek starzeje, wiek go uciska, a gorzej troska o dzieci. Przypomnijcie sobie, że przy nimeście się wychowywali, że on niegdyś był wam bratem najlepszym, że gdyście ani kawałka ziemi nie mieli, po Henryku Sandomirz wam oddał.

— Pomnę to—odparł Kaźmierz—ale jakem mu księstwa nie wziął z woli własnej, tak mu go zwrócić nie mogę mimo woli tych co mi je dali.

— Mieszek też o oddaniu mu Krakowa nie myśli, ani go żąda—ciągnął Bolko.—Wiek już i siły jego nie potemu, aby ciężar ten chciał brać na ramiona i z ziemiany burzliwemi, z duchownemi, samowolnemi

miał walczyć! Rad jest, że wy rządzą, gdy lepiej niż on umiecie im królować. Życzy wam szczęścia!

Tu Bolko twarz nastroił taką, jakby w to szczęście trudno mu uwierzyć było, a potem dodał:

— Bogdajbyście byli szczęśliwsi od niego u panów ziemian. Złamali oni przysięgę ojcemu mojemu—wzięli was, a dziś już i na was szemrzą. Któż wie co będzie? Nie ręczyć i za to, że gdy wy się im naprzykrzycie, zechcą albo do Mieszka powracać, lub jeszcze innego wybierać.

— Al! Bóg z niemil!—odrzekł Kaźmierz spokojnie—powrócę do Sandomirza!

Bolko popatrzał nań zdumiony tą obojętnością.

— Dla was—począł znowu—bezpieczniej byłoby i spokojniej, pojednać się z Mieszkiem i mieć go przyjacielem niż wrogiem.

— Ja tego pragnę, jak Bóg Bogiem!—zawołał Kaźmierz—choćby największym kosztem.

Bolko niby wątpiąc o szczerości tego wyznania, popatrzał nań, a Kaźmierz powtórzył:

— Wierzaj mi, pragnę tego. Czegoż chce Mieszek?

— Nie więcej nad to, co mu się święcie i sprawiedliwie należy wedle ojcowskiego naznaczenia. Daj mu napowrót Poznańskie, które własny syn wydarł, daj mu je całe, z Ottonem się on przejedna. Daj mu je przez wdzięczność, przez rozum, przez serce twe.

Kaźmierz ręce podniósłszy, objął Bolka za szyję.

— Bądź mi pozdrowion wdzięcznie, pośle zgody i pokoju!—zawołał.—Oddam mu je! o ile w mej mocy to jest, zgadzam się, niech bierze.

— A któż tu panem jeśli nie ty!—zapytał Bolko.

Kaźmierz głową potrząsnął.

— Miły mój—odparł—bez rady duchownych i panów, ja nie mogę nic. To ci tajemem być nie

powinno. Wezwać ich muszę, radzić się będę, sam powiem, że tego pragnę.

— Oni ci się nie będą śmieli sprzeciwiać — rzekł Bolko.

— Daj Boże! — odparł Kaźmierz. — Nie chcę nie poczynąć bez was, abys mi świadkiem był, że szczerze idę. Jutro rano z arcybiskupem i Gedką mówić będziemy, a przez nich z wielkopolany.

Uściskał go raz jeszcze.

— Bóg niech będzie świadkiem prawdy i szczerości słów moich — dodał. — Zrzekę się poznańskiego chętnie, bo widzę to sprawiedliwem, a sprawiedliwym chcę być.

Bolko, który się widać nie spodziewał z taką łatwością uzyskać tego z czem przyszedł, gotując się błagać i przekonywać — nie miał już więcej co mówić. Stał niedowierzający, niespokojny.

Kaźmierz dostrzegłszy tego, odezwał się jeszcze:

— Dzień to zaprawdę szczęśliwy dla mnie, gdy i duszne życie moje ziszcza i robi mi nadzieję, że w bratu druha odzyszczę.

Bolko do ramienia mu się pochylił, uściskali się — szedł do drzwi.

Tak się rozstali, a Kaźmierz przywoławszy zaraz komornika, kazał mu zbudzić się rano, u arcybiskupa i Gedki zamawiając ranną rozmowę.

Jak dzień wszystko się na zamku poruszać zaczęło. Biskupi i prałaci, niektórzy w Tumie, inni w kościele Łęczyckim za miastem, drudzy na zamku w kaplicy msze odprawiali. Kaźmierz jednej z nich wysłuchawszy, pragnął co prędzej z Gedką się rozmówić, gdy właśnie go oznajmiono. — Weszli do komory osobnej.

— Bóg mi pobłogosławił — począł Kaźmierz i wczorajsze poselstwo Bolkowe biskupowi opowiedział żywo.

Biskup słuchał bardzo uważny, ale zasępiając się. Pierwszem słowem jego było.

— Mieszek szczerem nie jest. Chce Poznania aby z rycerstwem jego na Kraków potem uderzyć — Ojcie! — przerwał Kaźmierz — nie posądzajmy go!

I to mówiąc w ramię pocałował biskupa.

— To moje pragnienie jedyne. Niech się ono ziści! zgody i pokoju chcę!

Biskup widząc jak gorąco się ujmował, zamilkł.

— Zwołamy ziemian poznańskich, dziś czy jutro — rzekł — już to dziś w obyczaj poszło, że bez woli ich, pana im narzucać się nie godzi.

Książę się zdumiał i cofnął.

— Tak jest — odparł Gedko. — Dziedzictwo to czy nie, po ojcu czy po bracie, ziemianie rozstrzygają, kto im miły i kogo słuchać mają. Arcybiskup też Zbislaw ma prawo wypowiedzieć zdanie swoje.

— A ja? — przerwał Kaźmierz — cóż ja?

— Miłościwy książę — odezwał się biskup. — Wy ze wszystkich macie powagę największą, ale z ziemian naszymi, którzy są dosyć samowolni a burzliwi, siłą coś chcieć dokonać — trudno. Zamiast zgody i pokoju mieć będziecie swar i rozruch.

— Ale oni powinni przystać na to! — przerwał książę.

— Nie wiem — rzekł Gedko. — Pragnę dla was oszczędzić trudu i zachodu, zatem pozwólcie nam z arcybiskupem próbować. Puścimy wieść o tem, że Mieszek ma na Roznów powrócić. Zobaczymy co rzeka.

Zadumany trochę frasobliwie, Kaźmierz przystał na to.

— Dajcie mi to zgotować powoli! — powtórzył Gedko i wyszedł.

Zadumany głęboko książę pozostał sam z sobą.

— Nie jestem już panem! — powtarzał w duchu — nie mogę nie bez biskupów i ziemian! Jestli to lepiej czy gorzej?

Miłość pokoju i sprawiedliwości pocieszała go,

że tak być lepiej musiało, a dla sumienia bezpieczniej. Ale pamięć zarazem przywodziła dawne czasy, dziadów i ojców, które inne były. Naówczas oni jedni rozkazywali, i potęgę mieli wielką!

— Ale ja w duszy mej spokojny!—dodał pocieszając się.

Zdawszy na Gedkę staranie, Kaźmierz dnia tego, nikomu więcej się z myśli swej nie zwierzał. Czas upłynął na rozmowach i popisach rycerskich. Ziemianie, z których wielu mieli prośby i żałoby, wszyscy jeszcze w Łęczycy pozostali.

Miał też Kaźmierz, chorego Leszka, którego kochał jak własne dziecko i z nim się jak z dzieckiem zabawiał. Starania około niego potrzeba było, bo słabe chłopię znieść nie mogło tego żywota, jaki wówczas wszyscy wiedli. Oprócz Kaźmierza co go kochał, inni co się na spadek oglądali, widząc, że długo żyć nie mógł, otaczali go wielką okazując miłość. Dla nikogo czulszą nie była rodzina jak dla niego, zalecał mu się każdy ujmując dla siebie. Zabawiano go, przynoszono podarki ten i ów mu się do Płocka obiecywał, a Leszek wszystko przyjmował z nśmiechem dość obojętnym. Wśród tych rozrostłych na olbrzymów rycerzy, z których każdy ogromną zbroję żelazną jak piórko dźwigał na ramionach, ciężki szyszak brał na głowę, na koniu mógł dzień cały harcować, on się wydawał jak istota z innego zablakana świata.

Stary Żyra do boku mu dodany, chodził za nim jak niania go pilnując, w rozmowach nawet często albo mu poddając słowa, lub sam zań odpowiadając. Biednego Leszka nie się tu nie zdało obchodzić—znużony pokładał się na ławach, dla wszystkich starszych równie uprzejmy i zarówno obojętny. Jednego Kaźmierza zdawał się kochać więcej.

Książę się nim też szczególnie opiekował. Pamiętał, że umierający brat oddał mu go w opiekę, rad był słabe to dziecko wypiastować na męża. Ale

kilku już uczonych maichów benedyktyńskich posyłano mu, dawano leki różne, a dziecko ciągle słabło, i choć rosło, wzrost zdawał się je czynić coraz wątleszym.

U stołów Bolko się przysiadł do księcia, badając go pilno oczyma o skutek rozmowy.

— Czekam na odpowiedź biskupów — szepnął mu Kaźmierz.

Bolko okazał trochę zakłopotania, ale—zmilczał.

Dotąd, choć ziemianie po kątach cicho szemrali, nie było znaków, aby to ich bardzo bolało co się dokonało. W obozie i na zamku wesołość panowała i ochota wielka, że wszystkich ziem rycerstwo się bratało, opowiadało sobie co się gdzie działo, śmiechy się różne rozlegały, a po za kępą zamkową, o ile błotnista okolica dozwalała, szalano po troszę, zwłaszcza młodzież, wyścigając się, biegając o zakłady, próbując koni zręczności i siły. Pod wieczór jednak Kaźmierz i drudzy spostrzegli, że się coś w tej zgodnej dotąd ciżbie zwichrzyło.

Ludzie się poczęli powoływać, zbierać w kupki osobne, ściągając po kątach. Tu i owdzie słychać było dających sobie hasła wielkopolan. Domyślił się Kaźmierz, że słowo już puszczone między nich. Lecz, że wieczór nadchodził, czasu zostawało mało, nie widziano więcej nad to, że rycerstwo od Poznania i Gniezna osobno się wyłączyli i bardzo żwawo gwarzyli.

Ze wszystkich ziem co się tu gromadziły, krakowska najbardziej się odznaczała butą i samowolą—ztań szło zawsze hasło do upominania się swobód i roszczenia praw.

Tu powtarzano głośno, że ziemianie panów sobie wybierać, a bodaj przebierać w nich mogą.—Odpowiedź dana Mieszkowi jeszcze dumę tę i samowolę podniosła. Obok krakowian w jednej prawie wierze stali starzy piastowscy wielkopolanie, którzy też tego chcieli co i inni i o też się upominali.

— Jako oni tak i my—mówili—bądźmy to przecie tak dobrzy jak oni, jeśli nie lepsi. Z naszego ula wyszły matki! Jeżeli oni sami wybierać mogą, nam przystało też samo co im.

Dotąd było to próżne gadanie, ale tego wieczora zabierało się na coś więcej.

Gdy się wielkopolanie poczęli zwoływać i naradzać, inni postrzegłszy to, zaniepokoiili się. Krakowianie już biadali—co tam było? Odpowiadano im.

— Nasza sprawa dwoma.

— Kiedy wasza to i nasza.

— Jako żywot o naszą skórę idzie.

Dowiedzieć się nie można było co się stało, ale wielkopolan jak wymiotł na zamku nie stało. Starszyzna ich ku Tumowi ciągnęła i po drodze, widać było, jak stawali i o coś się bardzo spierali. Inni ciekawi byli nad miarę—co tam jest? Nikt nie wiedział.

Pocieszano się tem, iż domowa jakaś sprawa była, o którą z arcybiskupem mówić chcieli i pewno dokończyć ją między sobą jak zaczęli.

Pod noc późną, zasiedzieli się wszyscy za stolami u dzbanów, ochoczo i z dobrą myślą. Już o nocenej godzinie, wielkopolanie, których nagle nie stało, małemi gromadkami od Tumy wracać zaczęli. Przychodzili milczący, siadali za stół, na twarzach widać było, że się czemś gryźli—pytano ich, głowami trzęśli.

Ten i ów krzyknął wabiąc drugich.—Posłuchajcie jutro!—Inni przebąkiwali.—Nasza rzecz, a no kto się za nas teraz nie ujmie, za tego my czasu sposobnego nie staniemy.

Zaczęła powracać starszyzna, umęczona, zła, kwaśna. Nie szli na zamek, gdzie dla nich miejsce było, posiadali w podwórzach za stolami, podpierali łokciami, pili i szumowali. Krakowianie widzieli, że coś grubego się warzyło, ale który z nich badać zaczął, dostał ostrą odprawę.—Pilnujcie swego nosa!

Pomiędzy sobą, gdzie się ich więcej zeszło, gwarzyli wielkopolanie namiętnie, podnosili pięści, spierali się, odgrażali. Uderzało to wszystkich, że władcy możniejsi od księcia nie szli, a co który na zamek spojrział, nadymał się groźnie. Wyrwały się wyrazy:

— Zobaczmy! Co to my dzieci? co drugim, musi być i nam. Im z nosa spadło, a nas będą częstować!—Albośmy to głupi! nie damy się! i t. p.

W takim usposobieniu dotrwali do nocy i powoli się do namiotów, szałasów i wozów swych porozłazili. Stach, który znał różnych a wielu, próbował ciągnąć za język, nie dali mu się. Zaczynał zawsze od księcia i pochwał jego, zimnemi twarzami przyjmowanych. Wczoraj jeszcze dużo było takich, co go wielce kochali, dziś nikt się nie odezwał dobrego słowa.

— Cóżecie to tak markotni?—zapytał podpilego już starego, o którym wiedział, że po piwie języka nie strzyma.

Ten mu się pochylił do ucha, głębię ręką zasłaniając.

— Niewiecie nic? A toć nam tego dusielca Mieszka chcą dać do Poznania za pana. W Krakowie zły był, a nam ma być w sam raz. Cóż to my za jedni? Znoski? Książę wasz myśli, że my mu z sobą damy robić co jego wola i łaska? A no? Zobaczemy! Jak się uprze—to i jego precz wyżeniemy z Krakowa, a innego poszukamy. Czy to ich mało jest? Niechaj wie, że jak go ziemianie zrobili, tak odrobić potrafią!

X.

Nazajutrz rano poznać już było nie można owej zgodnej wczora ziemian gromady. Jak stado owiec, gdy wilk w nie wpadnie, wszystko się rozpiechło i popłoszyło.

Wyglądało rozbito i groźnie. Tu i owdzie na całe gardło pokrzykiwano, wrzawa i rozdrażnienie coraz rosły. Na pojedynczym człowieku cale inaczej każde słowo i wieść skutkuje. Powoli je myśl przyjmuje, a serce się niem rozgrzewa; w gromadzie, gdzie ten i ów podżega, żywiej do góry wszystko się niesie i bucha. To co by hamować miało, w otwartem polu, z tłumu rychlej wywoła przekorę. Niechże ludzie słowu przyklasną, albo mu się rozśmieją, jakby je wiatr popędził leci i w czuprynach siada.

Jeden drugiego radby prześcignął, powie kto jeden, wnet dziesięć woła drugi, aby się wyprzedzić nie dał, rzecze zły, okrzykną najgorszy. Gromada, gdy kocha to strasznie, gdy nienawidzi, to zabójczo, gdy odpycha, to na drugi koniec świata, gdy przyciąga, udusić gotowa.

I tu się tak stało. Ledwie im szepnięto o Mieszkę z wczora, że im go chcą dać, jeden zawołał, aby go tam wzięli z kąd wyszedł, drugi klnął, ostatni zabijać rad był.

Ci co by inaczej mówić chcieli, nie śmieli odwaga odpadła, a zwolna i ich też rozgrzało. Poszło to jak ogień po suchych wrzosach jesienią — zrana już grzało wszystko. Arcybiskup starsuszek, który się wybierał za myślą książęcą przemawiać, znalazł już swych ludzi tak przygotowanych, że go słuchać nie chcieli.

Tajemnicy nazajutrz już nie czynili wielkopole i poczęli krakowian buntować.

— Cóż nam dziś, to wam jutro!

— Poczęło się od podwód i przewodu, które nam odjęto — wołali — od księżowskich śpichrzów, do których nam już pod kłatwą zajrzeć nie wolno, choćby bezpańskie były, a tu już — patrzcie, i pana narzucają!

— Co to my Mieszka nie znamy — powiadali drudzy — samiście bo nam przecie ukazali, jakim on jest, gdybyście go przez wyżegli. A teraz dla nas ma być dobry?

— Słuchajcie — prawili zapaleńsi krakowianom — jeżeli się Kaźmierz uprze swoją wolę mieć, my też ją mieć będziemy. Razem z wami wyżenie my go, a młodego Leszka weźmiecie do Krakowa, ten robi co zechcemy.

— Do panów biskupów! — krzyczano.

Krakowianom się to dosyć podobało, żeby bodaj nowego pana szukać, a okazać, co to ziemianie mogą.

— My z wami! — poczęli krzyżeć. — Do biskupów!

Wrzawa się już nie lada wzięła w podwórce. Stach, który od wczora chodził niespokojny, postrzegł, że nie żartem się zanoszą na zawieruchę. Puścił się jako swój do swoich, żeby zbadać jak rzeczy stały.

Zamek prawie opustoszał. Nie rozjeżdżali się ziemianie, ale w nich wrzało — jedni stawiali na gościeńcu, drudzy po łakach, inni jechali do Tumu. Zamęt coraz był większy.

Od Mieszka się zaczęło, a teraz już dla Kaźmierza groźnem się stało.

Okrzykiwano go wczoraj, teraz zabierano się kłać, iskry tylko było potrzeba, aby ziemian, utratą praw zdraśniętych, do reszty zburzyć. Stach, lepiej znający niektórych z krakowian, próbował wstrzymywać i upamiętywać. Ale — gdzie tam! Sprawa była wspólna, umysły się zapalały, ani już było mówić z niemi.

Jedni biegli do Gedki, drudzy do arcybiskupa Zbysława, inni gromadzili się do kupy i już radzili kogo sobie nowego mają wybierać. Biskup Gedko od rana był na zamku, od pierwszej chwili postrzegł na co się zanosilo, ale miał nadzieję powagą swą hamować.

Starszyzna wielkopolska naprzód nie do niego, ale się posunęła do arcybiskupa. Staruszek im odpowiedział, że o niczem nie wie i odprawił ich do Gedki. Zrazu iść do niego nie chcieli, potem kilkunastu się ich wybrało, poszli.

Biskup postrzegłszy ich przybywających, wiedział już co z sobą nieśli. Dość było popatrzeć na nich, by postrzedz, iż tak w piersiach wezbrało, że ledwie donieść mogli, buchały im słowa jak kipiątek z garnka. Weisnęli się wyprzedzając i popychając, twarze rozgorzałe, oczy zaiskrzone, włosy porozrzucane, usta drgające. Gedko, który zawsze panem był siebie, w chwilach stanowczych umiał się oblec powagą, która onieśmielała. Nie okazał wcale, iż się gniewów domyśla, przybrał twarz pogodną, błogosławił, uśmiechał się.

W tem razem trzech głos zabrać chciało.

Wskazał wybrawszy jednego, starego Rolę, aby przemawiał za innych.

— Pomaleńku, po jednemu, moje dzieci.

Trochę ich to orzeźwiło. Rola posunął się naprzód, lecz gdy już mówić zaczynał, głos mu tak drżał ze wzruszenia, iż go zrozumieć nie było można.

— Pomaleńku! — powtórzył biskup.

Rola odetchnął, klasnął, zaczął:

— Przyszliśmy tu jak dzieci do ojca, po sprawiedliwość i miłosierdzie, których już na świecie nie ma.

— A no i prawda! — zawołali inni za nim — nie ma.

— O co wam idzie?

— Książę nam samowolnie chce narzucić pana,

tego, którego wy, ojcze, wymietliście precz z Krakowa, bo ze skóry darł ludzi z Kietliczem. A myż nie Boże stworzenia? nasza skóra nie nie warta? Za co my cierpieć mamy i jeszcze się wstydać? My go nie chcemy!

— Nie chcemy! nie chcemy!... — zakrzyknęli wszyscy.

Gedko słuchał podparty na rękę.

— Ja — odrzekł powolnie — ażeby to stanowczo postanowione być miało, nie wiem. A no, gdyby tak było?

— Nie chcemy! — zawołali Wielkopolanie.

— Posłuchajcież no — rzekł biskup.

Uciszyło się.

— Gdyby tak było — dodał — dzieci moje, wcale inna rzecz Mieszek w Poznaniu, a Mieszek w Krakowie.

Zakrzyczano. Biskup mówił dalej:

— Tak, tak, dzieci moje, bo Mieszek w Krakowie był panem zwierzchnim i czynił co chciał, a na skargę pójść nie było do kogo. Ten sam Mieszek u was, nie może czynić tylko to, co mu Kaźmierz pozwoli. Gdy mu każe Kietlicza precz odpędzić, musi go odegnać. Widzicie, że sprawa zupełnie różna. Wiedziecie, że ja Mieszkowi nie sprzyjam, bom pomógł go z Krakowa wysadzić, tego się nie zapieram. U was on panem nie będzie, ale włodarzem.

— Ho! ho! — poczał drugi — Skóra, jeden z najgorętszych. My to odrazu wiedzieliśmy, że miłość wasza potrafić nam prostym ludziom tak rzecz postawić, jak zechcecie. Na to ojcowie duchowni uczą się po za granicą, aby nam nieukom umieli oczy zapruszać. My, prawda, w księgach nie czytamy, językiem tak nie umiemy obracać jak księża, ale u nas co krzywo to krzywo, a co prosto to prosto — i koniec!

Gedko dostojnik wielki, pan możny, obraził się mową zuchwałą.

— Śmiecież wy mnie, pasterzowi wyrzucać, ja-

kobym ja was fałszem chciał karmić? A wiesz ty, co popełniasz, zuchwale targając się na mnie?

Uderzył się w piersi i cały jakby purpurą oblał.

Skóra popatrzał nań, ale że biskup nie jego był, niebardzo się strwożył.

— To już co człowiek myśli, mówić nie wolno? — zapytał.

Drndzy obstając za nim, szemrali też. Biskup choć się hamował, uczuł potrzebę okazać gniew i oburzenie. Nie pobrażał nigdy oporowi władzy swej i nieposłuszeństwu.

Wyprostował się i począł głosem uroczystym:

— Chcielibyście wy, sami tu już, bez książąt i bez nas gospodarzyć! Sami sobie panów dawać, prawa stanowić, dogadzać wymysłem? Ojcowie duchowni wam już za nic? A no wspomnijcie, że jakieśmy wam dali skosztować swobody, tak jej i przykrócić potrafimy.

Odetchnął Gedko i spoczął nieco, oglądając się po ziemianach, którzy wzrokiem między sobą naradzali się.

— Chcecież, aby Mieszek bezdomny — dodał biskup — nam i wam, siedząc na granicy, wiecznie pokoju nie dawał, warcholił i spiskował? Przecie go gdzieś osadzić potrzeba.

— A no — zawołał Skóra hardo — mieście go sobie gdzie wola i łaska, byle nie u nas!

— Nie u nas! — potwierdzili inni.

— My go nie chcemy!

— Uprze się pan Kaźmierz — dodał Skóra — my i Krakowian od niego odciągniemy, a to go spotka, co Mieszka!

Biskup uderzył nogą o ziemię.

— Śmiecie grozić, jemu i mnie! — krzyknął.

— Waszej miłości nie stanie się nic — odparł

Skóra — a książę Kaźmierz tak pójdzie z Krakowa, jako i Mieszek.

— Myślicie, że bezemnie i bez nas uczynić to

możecie? — gwałtownie począł Gedko. Wybyście sami nie mogli bez nas — nie! nie! Mylicie się zuchwali a krnąbrni, nie wy, ale my biskupi najwyższą władzą Biskupa Rzymskiego panujemy światu, my rzucamy i sadzimy!

Skóra, na którego towarzysze patrzali przełękli, co na to rzecze, zamruczał tylko:

— Próbowali my z biskupami, poprobujemy bez nich. Nasza natura taka, miłościwy ojcze, pozwól kurze na grzędzie, polezie ci wszędzie... Tak nas Bóg stworzył.

Nieprzystojny ten żart, który Gedkę do gniewu pobudził, ziemian stojących za Skórą, rozśmieszył, co poważnego biskupa bardziej jeszcze rozjątrzyło. Wiadział, że poszanowania dłań nie miano.

Groźno podniósł głos i palce do góry.

— Strzeżcie się zuchwali, abyście nie ściągali piorunów na siebie i nie zostali wyłączeni z kościoła, strzeżcie się!

Skóra stał, jakby go to nie nie obeszło.

— Tu o żaden kościół nie idzie — odparł — my biskupa w kościele słuchamy i słuchać będziemy, dzieściny dajemy, w ręce całujemy; ale tu sprawa inna. Tu o ziemię naszą idzie, a my sobie kołków na głowach ciosać nie damy. Nie!

Gromada ośmielona znowu, poczęła potakiwać silnie. Gedko w gniewie rzucił się i na drzwi im wskazał.

— Idźcie do swojego Pasterza, wy zuchwale pyszałki, idźcie! ja z mojami Krakowianami sobie poradzę.

Skóra potoczył wzrokiem po swoich, dał znak, pokłonił się.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

I wyszli.

Zuchwalstwem tem i uporem dotknięty mocno Gedko, długo potem przyjsć do siebie nie mógł. Sprawa przybierała rozmiary groźne, ziemianie kra-

kowscy poczynali jawnie brać Wielkopolan stronę. Kto się inaczej odezwał, zakrzykiwano go, że rabem i parobkiem książęcym był, a nie ziemianinem. Wielkopolanie całą ławą, dowiedziawszy się, że arcybiskup był w tłumie, jedni pieszko, drudzy konno się wybrali do niego.

Arcybiskup Zbislaw, choć na zjeździe tym i w sprawach krakowskich na oko wielkiego nie brał udziału, choć niknął przy Gedce, nie mniej był czynnym od niego. On to sprawił, że Ottonowi dając Poznańskie, Kaźmierz Gniezno dla siebie wyłączył. Całe inaczej działał arcybiskup, niż Gedko. Ten szedł jawnie i głośno; stary arcybiskup, nie lubiący walki, nie wierzący może w jej skuteczność, powoli, łagodnie działał i nieznacznie, choć niemniej dzielnie. Najczęściej drugim dawał hasło, a sam zostawał na stronie.

Umysł to był niepospolity, rozum wielki, ale skromnem milezieniem okryty.

Przez drogę do tumu, ówieré mili, ziemianie, czas mieli ostygnać, a niektórzy bardziej jeszcze się rozgrzać. Skóra radził nie ustępować i przy swem stać kamieniem.

— Jak my się im raz damy — mówił — to po nas! Albo my tu gospodarze, albo książę i książęta. Duchownych my z sobą mieć chcemy, ale nad sobą — nie!

Wszyscy mu potakiwali. Część jedna Wielkopolan, ludzi przezornych, dawszy się większej liczbie swoich wybrać do tumu, sama pozostała w Łęczycy, aby Krakowianom nie dać ostygnać. Chciano ich mieć koniecznie z sobą, aby Kaźmierzowi zagrozić.

Zostali najgorętsi i dawszy sobie znaki, poszli między ziemian krakowskich, mazurów, sandomirzan, lublinian, pozyskując ich dla swej sprawy! Tu im szło szczęściem różnem.

Krakowian, którzy zawsze byli dosyć butni, a nie mieli czasu się do Kaźmierza tak bardzo przywiązać, i siłą swą pokazać chcieli, łatwiej sobie od razu zje-

dnali i utrzymali z sobą. Sandomirzanie, przywiązani do dawnego pana, słuchać ich nawet nie chcieli.

Główna waga była na Krakowianach.

— Coto wy — nawoływali Poznańczycy — mnichy jesteście, czy klerycy, czy żaki, żeby wam biskupi i księża rządzili? Co wam Gedko powie, czy go zaraz słuchać macie? Nie spodobał mu się Mieszek, wygnaliście go precz, a podoba mu się go sadzić na nasze karki, to wy mu będziecie pomagali?

Pamiętajcie, że biskupi nie wieczni, a z nami przymierze trzymać lepiej niż z niemi.

Podweseleni i siłą swą rozmarzeni Krakowianie dosyć się na to godzili.

Jeden, Mikołaj Lis, brat Pełki, dziekana krakowskiego, pan znaczny, umysłu przebiegłego, rozumu wielkiego, który niegdy na naukach we Włoszech z bratem bywał i tam się po różnych szkołach ćwiczył — na hałasy te głową potrząsał. Pomagał mu Chmara, drwiąc z zapalonych.

Mikołaj mówił:

— Gdy dla łada czego panów zaczniemy mieniać raz wraz, jak płochę dzieci, pośmiewisko z siebie uczynimy. Okaze się, że Mieszek, co nas żelazną ręką trzymał, praw był, bo dobrą wolą nie nie robi z nami. Sprawa to nie nasza, a Wielkopolan, co my mamy a dla nich zrywać z panem doym, łaskawym, który nam ojcem jest?

A Chmara wtrącił:

— Nie macie słuszności, panie Mikołaju; trzeba coraz to z innego pieca chleba próbować. Wyrzucmy Kaźmierza, że dobry, weźmijmy sobie Leszka, który ledwo dysze, ten będzie lepszy, bo nie pożyje długo i znówu nowe sito na kolek. A tu się ludzie prztem pożywią, nowy pan, nie jednemu kabat nowy! Mikołaj, jakby nie słyszał tych żartów, surowo przemawiał:

— Nie słuchajcie warchołów płochych, dobrze żeśmy pod dachem, nie leżmy dobrowolnie na słotę.

— Prawisz tak — przerwał mu Dobrogost z Tęczyna — bo i ty i brat twój, co przy biskupie jest, oba biskupowi służycie, jego piosnkę śpiewacie.

— Nie — odparł Lis dumnie — ja nie służę nikomu, tylko własnej sprawie. Gubić się naszej nie damy, i ja i drudzy, co są ze mną.

— A wielki was jest? — zawołano z ciżby — policzcie się.

Mikołaj, obejrzawszy się, w istocie mógł się przekonać, że był tak jak sam jeden, bo choć Stach niedaleko gardłował też za Kaźmierzem, i temu wytykano, że księciu i biskupowi służy. Stach zrywał się gniewnie, ale na próżno. Mała garstka tych, co Kaźmierza bronili, pod strachem daleko znacznie-szego tłumu tych, co rozgrzani przeciw niemu wołali — coraz się uszczuplała. Zamiast nawracać, przemawiania Mikołaja i Stacha jątrzyły i do wybuchów pobudzały.

Przychodziło do tego, że się już naprawdę naradzano, kogo na miejscu Kaźmierzowem posadzą.

Nieliczni obrońcy księcia, strwożeni, rozproszyli się, nie wiedząc już co począć. Chmara jeden zszedłszy się ze Stachem na uboczu, śmiał się.

— Niech bo się wykrzyczą — mówił — pójdzie im to na zdrowie. Z hałasu tego, jako żywo, nie nie będzie. Gdzie który guza oberwie, dzbanek jakiś stłuką, a żeby się mieli na księcia, albo na biskupa porywać, e! do tego daleko!

— Zbyt ufnym być nie można — odparł Stach — coś radzić trzeba.

— A najlepiej nie — rzekł Chmara. — Jak się im nikt przeciwiać nie będzie, wyszepeczą się jak raki. Miły Boże! ja ich znam... Gdyby ich biskup nie prowadził i nie zmusił do wystąpienia, oni byliby i na Mieszka krzyczeli, a nie zrobiliby mu nic.

— Teraz do prowadzenia — rzekł Stach — mieć będą zamiast biskupa, braci z Tęczyna, którzy Kaź-

mierza nie lubią, znajdą i innych. Zawierucha łatwo się zerwać może.

Pobieglł tedy Stach, Chmarę porzuciwszy, aby, gdyby sam nie nie zdołał zrobić, pilnować przynajmniej co się gdzieś będzie działo.

Ten sam Gąsior, co w Sandomirzu tak za Kaźmierzem obstawał, pobudzając ku obronie jego, znalazł się i tu ze swą gębą wyprawną, ale już inaczej śpiewał, na Kaźmierza powstawał i ziemianie go pilno słuchali.

— A dawnoście to — przerwał mu Stach — w Sandomirzu Kaźmierza na rękach nosić chcieli, gardlując za nim. Cóż wam uczynił, iż nań szczujecie teraz?

— Co? jeszcze się pytasz? — zawołał Gąsior. — Co uczynił? On tu sobie myśli panować bez ojców, a ziemię rozdawać, jak mu się zamarzy. Nie-doczekanie jego! z braćmi Wielkopolany pójdziemy, zrzucimy go, aby drugich rozumu nauczyć. Zrzucić o książąt łatwo!

Śmieli się niektórzy. Gąsior prawil:

— Jest w czem wybierać. Władysławowicza, którego wziąć, szlachaczki ubogie, będzie nam to służyło jak zechcemy.

— Człowieczel! ale cóż ci Kazimierz winien? — wołał Stach.

— Co? mnie... nie — rzekł Gąsior — a choćby i nikomu nie winien był nic? a gdyby nam trzeba było okazać co ziemianie, ojczyce mogą? Ot, tak! na grozę drugim — albo to coś nie warto?

Wziął się w boki.

— My tu panami, nie kto? My! Znajcie nas, skurezybykil

Że beczki stały otworem, a czerpano z nich obficie, więc pod wieczór tak się zawzięło ziemiaństwo, iż bodaj na zamek już ruszać chciało, Kaźmierzowi wypowiadać posłuszeństwo. Huczano straszliwie. Około zamku przybozna straż: Jaksa, Mikołaj Lis, Gow-

rek, Żyra, Chmara i co było Kaźmierzowi wiernych, musieli stać, aby rozdrażnieni Krakowianie istotnie się do jakiego zuchwałego nie rzucili kroku.

Gdy się to działo na zamku, Wielkopoleanie do Tumu śpieszyli do Zbysława, który mało co jeszcze o wszystkim wiedział. Wyprzedził ich jednak wysłany przez Gedkę dziekan Pelka, brat Mikołaja Lissa, wioząc przestrozę, by arcybiskup starał się ziemian uspokoić, gdyż nader zuchwale sobie poczynali z biskupem.

Gdy się około Tumu zjawilo poselstwo, arcybiskup w kościele był na modlitwie; kazano im czekać, rachując może na to, że ostygną. Potem, zasiadłszy uroczyście na tronie dla siebie przysposobionym, w płaszczyku złocistym (jaki wówczas nosili biskupi), Zbysław wpuścić ich kazał. Gedko powagą swą, postawą, powierzchownością pańską mógł wrazić ludziom uszanowanie. Arcybiskup świątobliwy, pobożny, spokojny starzec, nie unoszący się nigdy — trzymał zawsze owieczki swe w tej odległości od siebie, iż sporu z sobą nawet nie byłby dopuścił.

Wiedząc już o rozdrażnieniu, przyjął wchodzących po ojcowsku. Skóra, któremu się powiodło z Gedką, pierwszy wystąpił ze skargą, narzekaniem, a nawet i groźbą.

Wszystkiego tego Zbysław wysłuchał cierpliwie, nie nie odpowiadając. Wreszcie Skórze i towarzyszom przebrało się narzekań, chcieli posłyszeć słowo pasterskie, poczęli się łokciami trącać, nakazując milczenie — i zamilkli.

Zbysław namyślał się długo.

— Nowe mi rzeczy prawicie — odpowiedział. — Mnie to też równie jak was obchodzi. Kto w Poznaniu, ten i w Gnieźnie będzie panem, a jabym rad siedzieć, Boga chwalać, spokojnie. Kto to wam powiedział? Czy wam to objawił książę?

Spojrzeni po sobie.

— Gadają wszyscy, huczą, trąbią!... — rzekł Skóra.

— Lecz zkądże to wyszło? — rzekł arcybiskup — bo ja o niczem nie wiem. Żeby to prawda być miała, pobożny, dobry pan nasz Kaźmierz, przed ojcem swym duchownym, przedemną, który tu przecie pierwszym jestem, cośby o tem powiedział. Kto wam to przyniósł?

Skóra i inni żwawo się z sobą zaczęli sprzeczać.

— Dobromir.

— Jako żywo, nie ja! klnę się!

— Sławek.

— Jam się od Mirosza dowiedział.

Po niecierpianej do kłębka dojść nie było podobna. Arcybiskup czekał, aby się to wyjaśniło, a wyjaśnić się nie mogło.

— Moje dzieci — rzekł — prosta rzecz, potrzeba czekać z radą, aż się to okaże prawdą. Za cieniem gonić, dziecinna sprawa!

— Pełen zamek tego! powtarzają wszyscy! — wołano niecierpliwie.

— Cóż z tego? — odparł Zbysław — rozumny człek nim uwierzy, czeka aż posłyszysz z takich ust, co u źródła były.

— Biskup Gedko nie zaprzeczał! — zawołał Skóra.

— A upewniłże was, że to prawda?

Zaczęli się sprzeczać; jedni utrzymywali, że upewniał, drudzy — że tylko przypuszczenia bronił.

Sprzecзка taka urosła między przybyłymi, iż się ku sobie sunąć zaczęli z wołaniem wielkiem. A biskup ich uśmierzał i do zgody nakłaniał. Mimo to, rozdwoili się i z jednej gromady dwie urosło.

Zbysław rzekł im w końcu:

— Nie ma nic, nie wiemy nic; gdy się dowiemy, że nam istotnie grozi niebezpieczeństwo, poradzimy sobie na nie. Jam pasterz wasz, nie dam was na wilcze zęby. Nie rozpaczajcież przed cza-

sem, nie zrywajcie się, gdy nie ma czego. Pokój z wami!

I pobłogosławił.

— Z Bogiem idźcie, dobrzy ludzie, z Bogiem!

Poprzestać musieli na tem. Chciało się im ujadąć jeszcze, nie mieli z kim, więc wychodząc, sami z sobą spierali się zajadle, z kąd tę wieść mieli, kto ją pierwszy przyniósł? Dośledzić nie mogli.

Cała ta wyprawa do Tumu spelzła na niczem; ziemianie napowrót do zamku ćwierć mili idąc i jadąc sprzeczali się ciągle, a u wrót stanawszy, znacznie ochłódli. Tu na nich czekali Krakowianie i reszta swoich, którzy gdy sprawę zdawać przyszło, popłatali się. Posły nie umieli się wytłumaczyć dlaczego wszystko spelzło nadaremnie i nie przynieśli z sobą.

Wszyscy jakoś czuli się jak zimną wodą oblani. Pomęczeni byli, gardła pozasychały—zaczęli się rozchodzić.

W usposobieniach jednak nie zaszła zmiana, stano przy swoim, Krakowianie się odgrazali, wtórując Wielkopolanom, choć nie tak już żwawo.

Na zamku, gdzie ksiązę ze swojemi bratankami siedział, od rana już gotująca się burza była wiadomą. Gedko się nie pokazywał, aby go nie pytano, a warcholących, choć się o to upominali, nie przypuszczał do siebie. Chciał im dać czas do rozmysłu i upamiętania.

Bolko, który wszystkiego był przyczyną, chodził wielce posępny. Szło mu o poparcie sprawy Mieszka, nie z miłości dla Kaźmierza, ale z własnej rachuby. Chociaż winien mu był zgodę swą z braćmi i przyjaznego udawał, Bolko sprzyjał Mieszkowi w tem, już aby się go pozbyć z Raciborza, już aby zawczasu z nim umówiony zamach przeprowadzić do skutku. Oba oni Kaźmierza zwali po cichu przywłaszczycielem. Mieszko szlążkim bratankom połowę państwa dać obiecywał, jeśliby Kaźmierza wygnać się udało.

Ażeby tego dokazać, potrzeba było wprzód, choć kłamaną pokorą, zdobyć Wielkopolskę, a potem jawnie powstawszy, iść ze szlążkami na Kraków. Spisku tego prawy Kaźmierz ani się mógł domyślać, ani oń posądzać. Korzono się przed nim, aznawano władzę, kłaniano mu się, aby z rąk jego broń wyrwać, z którą się na niego miano obrócić. Kaźmierz tymczasem ubolewał nad nieszczęśliwym sprawą wielkopolskiej obrotom i myślał; jak złagodzić rozdrażnienie, a Mieszka zaspokoić. Chciał mu oddać Poznańskie, nawet Gniezna nie zachowując dla siebie, byle sumienie uspokoić.

Gdy siedzieli tak w izbach zamknięci, ten i ów przybiegał z doniesieniem, co się między ziemianami działo. Mikołaj Lis, Chmara, stary Żyra, który przybył z Leszkiem, wysuwali się po kolei z podwórca i wracali, donosząc, co słyszeli. Choć każdy inaczej to rozumiał, a Chmara wszystko w śmiech obracał, zaprzeczyc nikt nie mógł, że umysły były wzburzone; Mikołaj otwarcie księciu wyznał, że mu zrzcuceniem grożą.

Gdy jedni się oburzali, drudzy trwożyli, Bolko, który piwa tego nawarzył, choć chmurny chodził, w duszy się wcale tem nie martwił może. Dogadzały mu i niepokój i zniechęcenie ludu do Kaźmierza. Ciężki ten, powolny, napozór nieobrotny szlążak, napół niemiec, chytrzejszym był niż się wydawał. Nie mówił nic, śledził wszystko, oczyma chodził po twarzach. Otto, który zasłyszał już o tem, a odzywać się nie śmiał przeciw ojcu, bo Kaźmierz mu usta zamykał, siedział w kącie, starając się być niewidocznym. Wielkopolanie jego sprawę popierali—cieszyło go to, lecz okazywać radości nie było wolno. Między nim a Mieszkciem dawne rozdrażnienie przeszło było w walkę otwartą, zgody z ojcem mało się spodziewał.

Z całego rodu książęcego, jeden chory Leszek najobojętniejszym był na to, co się działo. Na pół dziecko jeszcze, bawił się wrzawą, głosami, widokami

nowemi i twarzami. Tęskniło mu się za Płockiem jednak, nudziło chwilami w poważniejszym towarzystwie, i gdy mu się oknami wyglądać sprzykrzyło, chodził od jednego do drugiego z książąt, tego za miecz, tamtego chwytając za sprzączkę, za pas, dopytując z kąd je mieli, chwając fraszki — zabawiając się lada czem.

Na twarzy Kaźmierz wielka radość z dokonanego prawodawstwa, ustąpiła zniecierpliwieniu i podrażnieniu. Wysłał coraz kogoś, aby mu przyniósł wieść co się działo. Jedni straszili do zbytku, drudzy nadto lekceważyli. Z okien widać było miotanie się tłumów, zbiegowiska, pochód do tumu, narady i spory wrzawliwe. Wieczorem wreszcie na drodze od Tumu ukazał się jadący ku zamkowi orszak arcybiskupi.

Wielkopolanie, zobaczywszy go, uradowali się. Witano po drodze, milcząc, z uszanowaniem, nie wątpiąc, że w sprawie ich jedzie. Tak było w istocie. Poprzedzali go: Cherubin poznański i Onolf biskup kujawski.

Naprzeciw wyszedł Kaźmierz, chcąc wprowadzić Zbysława do izby, w której wszyscy siedzieli, ten posłuchania osobnego zażądał. Szli więc, on, Gedko i dwaj biskupi z Kaźmierzem na przeciwną stronę; Gedko nie mogąc zejścia z wielkopolany zapomnieć, mocno był poruszony.

— Sprawa to jakaś nieczysta — odezwał się na wstępie. — Ktoś ich poburzył. Nigdy ja Krakowian moich tak rozpalonych nie widział, choć się to ich nie tyczy.

— Trzymają wszyscy razem — rzekł Cherubin — i do mnie przybiegali niektórzy z bólem i skargą.

A no nie z odgrózkami przecie, jak do mnie Wielkopolanie wasi — przerwał Gedko.

— Cóż tu czynić? — zapytał książę.

Zbysław odezwał się spokojnie:

— Przecież nie głośzono o tem, nie mówił książę,

nie oznajmywał żaden z nich; ludzie sobie pletli. Dziś, gdy się huczą, dalej posuwać sprawy nie można; trzeba ją pokryć milczeniem i uspokoić ich... Czasowo wszystko zawiesić, bo i pora i miejsce do roboty najgorsze.

Książę westchnął.

— Rzucaćbym myśli nie chciał — rzekł — dałaby pokój i zgodę.

Arcybiskup odpowiedział:

— Zostawcie to dogodniejszemu czasowi. Kietlicza wspomnienie nadto jeszcze żywe; niech się to zatrze... Jak kamień w wodę rzucić myśl waszą miłościwą. Niceście nie ogłaszali, odwoływać nie potrzebujecie.

— Nie chcę, by Mieszek mnie przypisał to, iż go odpychają — rzekł Kaźmierz.

— Świadków mnogich macie tego, co się działo — odezwał się Zbysław. — Przeciw wody płynąć nie można; czekać musicie!

— Al! — rzekł książę smutnie — czekanie to dla mnie ciężkie i bolesne; walka ciągła, niepokój wieczny, bo Mieszek nie da się uspokoić. On czekać nie będzie.

Wtem Gedko przerwał:

— W walce tej, jeśli ją wznowi Mieszek — Bóg sprawiedliwy — może się on doczekać kary i końca. Sił nie ma do niej; skończy się z nim, jak z Władysławem.

— Dano im Szlązk — rzekł Kaźmierz — Mieszkowi bym oddał chętnie jego dzielnicę.

— Dziś nie pora! nie pora! — zawołali razem arcybiskup i Gedko.

Narada, na której w istocie mało co uradzono, dość długo trwała; książę wyszedł z niej, uległszy duchownym, którzy zgodnie głosowali, aby dalej Mieszka sprawy nie popierać. Arcybiskup, na którego wóz czekał, otoczony wielkopolanami, do domu powracał. W progu Skóra stał i inni.

Zbyć ich teraz niewiadomością nie było już można.

Zbislaw ukazał im twarz spokojną i rozgrzani Poznanezcy nic z niej poznać nie umieli. Siadał już do wozu z kapelanem, gdy Skóra ze swemi przystąpili, cisnąć się.

— Ojcie miłościwy — spytał Skóra — cóż z nami?

— A no, nic, moje dzieci, nie!

— Prawdaż o Mieszku?

— Ani prawda, ani fałsz — rzekł Zbislaw. —

Była może o czemś podobnem mowa dla uspokojenia państwa tego, ale książę nikomu gwałtu zadawać nie myśli:

Posłyszawszy to ci, co się skupili u wozu, poczęli powtarzać, podając jedni drugim:

— Książę ani myśli! ani myśli!

Oslupieli wszyscy. Skóra, który tak nadaremnie gardłował, głowę zwiesił. Arcybiskup tymczasem, zegnając na wsze strony, woźnicy dał znak, aby ruszył. Tłum rozstał się milczący.

— Ani myśli o tem! — szeptało dokoła.

— Ja bo zaraz mówiłem, że to baśń głupia być musil — zawołał jeden.

Wszystkim ciężki kamień spadł z serca. Słowo arcybiskupie miało wielkie znaczenie; powiedział, że książę nie myśli o tem.

— To te skureczpalki, plotkarze, niecnoty wydumali, z palca wyssali, aby tylko ludzi z sobą poswarzyć — poczęli niektórzy. — A, żeby znaleźć tego nieponia, co to zmyślił, zaraz go na gałąź!

Drudzy zdala zasłyszawszy o gałęzi, potwierdzali, nie wiedząc na kogo padł wyrok.

— Powiesić juchę, powiesić!

A tuż Krakowianie ciągnęli, dopytując, kogo i za co wieszać miano?

Narzekanie powstało powszechne na zwodliwe i złośliwe języki, potem na łatwowierność ludzką. Jeden winę tego zamętu na drugiego zrzucał. Spory się wszczęły, Krakowianie swojego pana bronić już zaczęli.

— Ale bo to nie mogło być, aby Kaźmierz, dobrotliwy, bogobojny pan, uczynił krzywdę taką!

Gąsior wpadł w mowę krzykliwą, dowodząc, że to wszystko było sztuką książąt szlacheznych, którzy nie zapomnieli ojcowizny i w mętnej wodzie, drugi może Oświęcim i Bytom chcieli złapać, albo i co więcej może. Skrupiło się więc na Władysławowiczach. Inni szukali winowajców różnych, koniec końcem, po tem utrapieniu, poszli się chłodzić i krzepić.

W głębi tego jednak napozór uspokojonego tłumu, choć krótkie powstanie w myśli przeciw Kaźmierzowi, zostawiło ślady. Obstawali i teraz przy tem, że ziemianie przy prawach stać byli powinni, nie dając sobą jak niewolnikami rozrządzać. Wyszedł zaraz Chmara między swoich, aby zbadać co się dzieje, wysunął się Mikołaj Lis. Postrzegł już zmianę.

— A co? — zapytał Chmara szydersko — zrzucićby Kaźmierza, nieprawdaż?... Nieźle by to było! Zabawilibyśmy się i łbów trochę twardych rozkwasił?...

— Dajcie bo pokój! — przerwano mu. — Wiecie, że bałamuctwo było. Wielkopolanie niedorostki, baby długojęzyczne, wszystkiemu winni.

— A my! cośmy to tak wzięli do serca? — spytał Chmara.

Milczano. Mikołaj karecił głośno:

— Wam, aby się komosić — wołał — nie patrzcie, czy jest czego. Wrzawy narobili, panu dobremu serce popsowano. Hej! hej!

— Dobry pan! — zabrzmiały głosy. — Lepszego na świecie nie znaleźć!

— A kto mówi inaczej — odezwał się Gąsior — na gałąź! Ja zawsze go broniłem; nie było i nie będzie lepszego!

Ci sami, co go tylko co zrzucić chcieli, już znówu na rękach nosili. Wielkopolanom jednak została jakaś wątpliwość. Skóra zapamiętał, iż arcybiskup fałszu nie zadał plotce, radził być ostrożni.

— Na baczości się trzeba mieć — szeptał. — Plotki, plotki, a coś było. Pomacali, że się dziś nie uda, odłożą na jutro!

Za nim i niektórzy twardsi głowami ciężkimi potakiwali, ale ochoty wielkiej do warcholenia nie było.

Nazajutrz, gdy się już wszyscy, oprócz duchowieństwa, które jeszcze dla narad z sobą pozostawało w Łęczycy, rozjeżdżać poczynali — i Kaźmierz z orszakiem swym z zamku wyciągnął, stały znowu tłumy z twarzami jasnymi, czapki podzucając do góry, okrzykując go radośnie. Nie było wcale śladów wczorajszych waśni i zburzenia. Kaźmierz powracał zadowolony — wiedli go z pokorą nieszczera bratankowie, Bolko najuniżeniej szerokie schylając plecy, Otto łapiąc za kolana, Leszek uśmiechając się opiekunowi, rad, że do Płocka powracał.

Ziemiańskie z pocztami rozsyppywali się po okolicy, śpieszyli do domów, a którzy psy mieli z sobą, ku lasom dążąc, aby po drodze zapolować i rozruszać się. Nie jeden westchnął, myśląc, że z wiecu wracając, o przewód i pokarm a kmiecia się już nie będzie mógł upomnieć, aby nie być wyklętym.

I brogi po probostwach napędzały żalu, że po śmierci księży, już się do nich dobrać nie można...

VII.

Stach z innemi powracał do Krakowa, choć uspokojony po trwodze, jaką miał o swojego pana, nie wesoły jednak przemyślając o pobycie w stolicy. Nie tak tu szło, jakby on był dla Kaźmierza pożądanym. Wi-

dział go codzien pochmurniejszym, niespokojnym, zbladłym i zmęczonym, przypisując to, nie bez przyczyny, owej złej niewieście, która nad nim panowała. Byłby mu może jaką inną płochosć a słabostkę przebaczył, tej niewiasty, którą miał za czarownicę, trującą go i czyniącą nieszczęśliwym, ścierpieć przy nim nie mógł.

Trwożył się tem więcej, iż od czasu jak znikła z zamku, nie wiedział gdzie się ukrywała, będąc pewnym, że w bliskości być musiała. Nienawisć miał do Niemca wysługującego się wdowie i popierającego ją u pana. On był przyczyną, że biskup ciągle napomnienia musiał dawać upokarzające, że księżna Helena płakała, widząc męża coraz obojętniejszym, że życie Kaźmierza upływało w tych walkach z samym sobą, które kończyły się zwycięstwem Wichfrida.

Stach też w Łęczycy, ocierając się pośród ludzi przybyłych ze szluzakami, z Leszkiem i Ottonem, wiele się podowiadawał rzeczy, które trwożą o losy księcia pomnażały.

Chociaż się zdawał utwierdzonym na Krakowie, spiski nań i znowy nie ustawały. Ludzie Bolkowi popiwszy się naopowiadali, że stary Mieszek, Kietlicz i ulubiony syn książęcy, Bolko, nieustannie zajęci byli zabiegami jakimiś i przygotowaniami.

Mówiono o wyprawianych ciągle tajnych posłańcach z Raciborza, do Krakowa, na Pomorze i na Polsie. Kietlicz niedawno wrócić miał z Moguncyi i Akwisgranu. Dla bliższych tajemnicą nie było, że Mieszek prawdy swych rzekać nie myślał, poprzysiągł owszem, że choćby życiem miał przypłacić, dopominać się o nie będzie i odzyskać musi.

Stach więc nie bez przyczyny się trwożył. Już w Łęczycy posłuchanie sobie wyjednał u Gedki i doniósł mu o tem, że biskup zapewnił go, że ludzie więcej zmyślali niż było, że niepokoić się nie miał czem.

Mierzwa wprawdzie postawiony na straży, nie donosił, ale Stach miał go już za zdrajcę, i w za-

pale swym dla księcia, ofiarował się sam do Raciborza jechać, śledzić i wywiadywać. Gedko, któremu się przykrzyły doniesienia, zganił mu zbytnią obawę i podejrzliwość.

Wracał więc smutny, a pomnażała utrapienie myśl o tej nieszczęśliwej Jagnie, do której się przywiązał jak do jedynej istoty, która bliższą mu była.

Śmieli się z niego towarzysze, widząc go ponurym, a odgadując szydersko, co mu w Łęczycy sadła za skórę zalało?

Nawykły do znoszenia drwin spokojnie, Stach już nie nie odpowiadał na nie, lub się z nich pogardliwie uśmiechał.

W podróży do Krakowa, książę polował po drodze, puszczał się z nim ochotnicy, aby łowów użyć, po których tęsknili, Stach przy wozach zostawał, zobojetniawszy i na tę dawniej miłą rozrywkę. Sam on teraz w pokutniku biednym, starego wesołego nie poznawał Stacha. Jedyłą pociechą dlań było, iż dla tego pana pracował, którego dobroci wielkiej życie był winien.

Myśląc o tem przez drogę, a niepokojąc się, postanowił ze swego urzędu na zamku, który mu teraz mniej był potrzebny uwolnić się, aby mieć swobodę śledzenia „czarownicy“, czuwania nad Mieszkiem i pilnowania Jagny. Potem co słyszał w Łęczycy nie mu już z głowy wybić nie mogło, iż Mieszka pilnować sam musiał, bo Mierzwa zdradzał, a biskup zbyt był ufny w siebie i zaślepiony pozornie bezpieczeństwem.

Gdyby nie stary Chmara, wszystkich w drodze rozweselający swemi żartami, cała podróż zeszlaby była nudno, Kaźmierz jechał milezący a zadumany, i dopiero zbliżając się ku Froszowicom niecierpliwość go jakaś garnęła. Rzucił za sobą obóz i ludzi i sam w pięć koni z Wichfriedem do Krakowa pośpieszył. Stach i to przypisywał nieszczęsnej „wiedźmie“ która siłą nieczystą księcia do siebie ciągnęła.

Z innemi razem przy wozach zostać zmuszony, Stach późno w noc przybył na zamek, a tu Kaźmierza jeszcze nie było, choć przodem wyjechał. Musiał więc gdzieś zwrócić i zabawić, a gdzie? łatwo się było domyśleć, Wichfried mu towarzyszył.

W godzinę dopiero może po wozach, Kaźmierz z nim zjawił się na Wawelu, gdzie nań Helena z synkiem od mroku oczekiwała.

Na zamku zastali kniazia Romana ruskiego z Włodzimierza, stryja Heleny, który rad Kaźmierzowi służył i u niego przebywał, spodziewając się z pomocą jego dostać więcej ziem na Rusi, gdzie się ciągle kniaziewie z sobą zadzierałi, wyganiałi i waśnili.

Wesoly to był człek, a przynajmniej przed Kaźmierzem takim się okazywał. A że o niewiastach mówić lubił i język miał tłusty, czasem ponurego rozbawił — książę doń był przywiązany i zawsze go witał rad u siebie. Książę Roman w sobolowym kożuchu siedział też czekając w przedsieni, przybycie więc weselsze się stało niż zwykle, bo Roman śmiech z sobą nosił. Poszli zaraz do ostygłej wierzery i do kubbów.

Roman, druhowi swemu, widując go prawie zawsze zadumany, lub na rozmowach o rzeczach smutnych z uczonemi, dowodził, że powinien być te wszystkie myśli ponure w kąć rzuciwszy, życia zażywać, niewiast sobie ku ucieście więcej przysposobić, i biesiadników ochotniejszych. Nie widząc na zamku tylko podżyły orszak Heleny, śmiał się kniaź, z tego obyczaju surowego i do poprawy zachęcał.

Wesoly Rusin, nawet w obec księżnej Heleny języka nie umiał powstrzymać, śmiech wywołując na jej blade usta.

Przybywszy na zamek, Stach, że już pora była późna, do dworku Jagny idąc, na górce swej nocował. Nazajutrz rano zdawszy prędko skarbiec Rajcowi pośpieszył do Jagny.

Choć mu na duszy było ciężko, nie mógł się wstrzymać od objawienia radości, gdy ją zobaczył. Znalazł ją jak zawsze roztargnioną i nie wesołą.

Przyjęła go rada, ale przedewszystkiem o księcia pytać poczęła, o podróż, pobyt w Łęczycy i co się tam działo. Stach szeroko i długo opowiadać począł, nie nie kryjąc przed nią, przyznał jakie z sobą wioził utrapienie i niepokój.

Nawzajem Jagna pochyliwszy mu się do ucha, szepnęła z jakąś gorączkową niecierpliwością. — A ja już wiem, gdzie on jest!

Domyślił się Stach o kim mówiła. Nie pierwszy to raz uderzała go namiętność z jaką Jagna wymawiała to. — Ona! Czy jej płonęły, brwi miała ściągnięte, twarz gorzała gniewem. Wszystko w świecie zresztą było dla niej obojętnem, tylko to co Kaźmierza tyczyło, tak ją poruszało. Stach sądził, iż się tak przejęła jego przywiązaniem do księcia.

Zwykle martwa i pogrążona, gdy wspomniała go lub Dorotę, zdawała się jakby od iskry zażegnietą.

— Wiem gdzie ona — odezwiała się tajemniczo. — Nad Wisłą stoi pod zamkiem wielkie domostwo stare. Kupił je Wichfried, parkany pobudowano wysokie, wrota okuto. Tam jej nora.

— Zkądże ty wiesz o tem?

— Ja? — odparła, namysławiając się trochę z odpowiedzią. — W niedzielę byłam w kościele u św. Wacława. Tęskno mi było, śpiewali księża, chciałam posłuchać. Weszła osłonięta niewiasta; której twarzy nie można było rozeznąć, alem ja ją poczuła zaraz. W kościele tak jak nikogo nie było, stanęła za słupami, nie widziała mnie. Odkryła potem twarz trochę, poznałam — ona była. Ja ją z ulicy znam. Wyszła potem oglądając się, ja w ślad za nią.

Posadzili ją pod samym zamkiem! ażeby łatwiej się do niej mógł dostać! Dom zaparty, jak pustka, ale czeladzi i stróżów dosyć.

Jagna poczęła chodzić żywo, powtarzając: — Nie zbyć się jej ztąd! nie zbyć tej czarowuicy przekłetej!

Stach rozpytawszy o położenie domu, aby sam mógł sprawdzić gdzie była, opowiadał o tem co się w Łęczycy działo. Jagna słuchała tak obojętnie jakby nie ledwie już życzyła, by go nazad do Sandomirza wygnano.

— Tuście wy mu szczęścia nie dali — rzekła — co mu potem, że więcej ludzi się kłania? Tam spokojny był, tu mu groził! a ta wiedźma życie z niego wysysał! Wypędzą go? wróci tam, lepiej będzie.

— Nie wróci tam, nigdzie mu nie dadzą potem spocząć, jeżeli ztąd wygnają — odparł Stach — będzie tak błdził po cudzych kątach jak Władysław i Mieszek, odbiorą mu wszystko! Zginąć może!

Bronić go trzeba — dodał — bo wszyscy ślepi, nawet biskup, a na niego znowy straszne!

Stach się zapalać począł, a Jagna mu przerwała.

— Naprzód go bronić od tej zlej pokaśnicy, ta od Mieszka straszniejszy!

Po rozmowie z Jagną, poszedł Stach na zamek, aby się ze służby przy skarbcu uwolnić. Rajec, gdy do niego z tem przybył, uląkł się, zakrzyczał i rękami zatrzepał. Strach go ogarnął.

— A cóż ja pocznę bez was, niedołęga stary — zawołał — mnie i pana okradną. Nie dojrzę sam, a złych ludzi pełno, nie będzie komu powierzyć klucza! Jeżeli wy pójdziecie precz, ja z wami chyba, bo nie podołam już.

Zagroził mu, że do księcia z żalobą nań muśi iść.

— Ojciec mój — rzekł Stach, który starego kochał i szanował — na nie się nie zda skarżyć, bo ja muszę precz. Da li Bóg, powrócić mogę, służby się nie wzdragam, ale pilne sprawy mam, i wy mnie ani żadna siła nie wstrzyma. Teraz odpuście, a, później — kto wie? mieć mnie będziecie.

Stary się uspokoił tem, chciał jeszcze nagrodę wyrobić u księcia dla obchodzącego, dodając, że z rąk własnych Kaźmierza ją otrzyma; czem Stach przeleżał, do nóg mu padł, aby tego nie czynił. Rajec nie wiedział już co myśleć, gdy jak o łaskę zaczął go prosić, aby mu nie dawano. Badał długo, rozpytywał, frasował się i nie z niego nie dobywszy, puścić musiał zakłopotany. Wymógł na nim Stach, że przed księciem wcale nie wspomni nawet o odprawie jego.

Wieczorem, gdy już zastępcę znaleziono, klucze oddawszy, Stach o mroku przeniósł się do dworku Jagny, która go przyjęła nie zbyt rada i trochę pomieszana. Rosło w nim przywiązanie do niej i zajęcie jej losem, a w miarę tego dziewczę zdawało się stygnąć i coraz stawać mniej przystępnem.

Nie długo też natrętnym jej być miał, bo się zaczął wybierać w drogę! Potrzeba było dowiedzieć się co się z Mierzwą działo, który znaku życia nie dawał.

Stach miał go w podejrzeniu i naocznie chciał się przekonać co myślał i robił. Juchim utrzymywał, że o nim nie wiedział wcale.

Żyd, któremu bicie pieniędzy wydzierzawiono dla Stacha, który do tego dopomógł, był z poszanowaniem wielkiem. Działo mu się dobrze, zdawał się też sprzyjać księciu—lecz i temu Stach nie bardzo ufał. W dworku skarbnego więcej coraz było życia i ruchu, ludzi się tam przesuwało dużo, zwożono kruszce w sztabach, rozsyłano drobne pieniążki worami.

Ile razy się tu Stach zjawił, przyjmowano go jako zwierzchnika, któremu cześć i wdzięczność należała. Na wyjeźdźnym zapragnął się z Juchimem rozmówić i pośpieszył do niego.

Skarbnym pośpiesznie wystąpił na spotkanie, kilku swoich, z którymi miał coś do czynienia, śpiesznie odprawił, kazał wina podać i z uprzejmością wielką gościa przyjąć się starał.

— Nie wiecie co o Mierzwie? — spytał Stach — od bardzo dawna nie od niego niema.

Juchim głową pokiwał z wyrazem jakimś wątpliwym.

— Nie daję o sobie znać — dodał przybyły — chyba gdy mu płacić trzeba.

Juchim milczał, zdawało się, że oskarżać go nie chciał a bronić się obawiał.

— Co wy myślicie? — mówił dalej Stach — wazylżeby się na zdradę?

— Miłościwy panie—odparł żyd po namyśle—nie nie wiem—ale to człowiek biedny, a bieda wiele może. Ma dużo dzieci, dużo bab, dużo nałogów.—Kto go wiel kto go wiel!

Stach wiedział, że podejrzana rodzina Mierzwy z różnych istot złożona, związanych z nim nierozgmatwanemi węzłami, znajdowała się w Krakowie, zapytał o nią Juchima:

— Ich tu dawno niema—odparł żyd—powywodzili się do Raciborza.

Wszystko to było podejrzanem, a żyd, któremu to wskazał Stach, nie zaprzeczał, nie bronił, zdawał się złe domysły potwierdzać milczeniem.

— Przysiągł nam, płacimy mu!—mówił Stach—jeżeli niecnota zdradza—złe będzie z nim.

Po długim milczeniu, Juchim odwrócił się do mówiącego.

— Miłościwy panie — rzekł — gdy baba garnek rozbity bierze, i chce w nim gotować a z garnka się poleje, ja niewiem czy baba winna czy garnek? Ja niewiem nic — co ja mogę wiedzieć! tylko to jedno znam, że Mierzwa był garnkiem rozbitym, a wasza miłość mogliście to widzieć!

— Samiście mówili za nim! — odezwał się Stach. Juchim długo pomyślał, zmarszczył się, zdawał chcieć przypominać i zakończył.—I tego ja niewiem. Za nikogo nie ręczę, nawet za siebie, miłościwy panie, broń Boże nieszczęścia! Człowiekow skóra swoja drogą!

Zbyty tak dwuznacznem powiedzeniem Juchima,

Stach tem był niespokojniejszy. Ufał tylko w swą dobrą gwiazdę, że mu się uda zasiąść gdzieś na czaty i, choć miał do czynienia z bardzo przebiegłym człowiekiem, wysledzić go i podpatrzeć.

Myśląc o tem nazajutrz jak się do Raciborza niepoznanym dostać, Stach szedł właśnie na miasto ku targowicy, gdzie była gospoda kupeców cudzoziemskich. W chwili gdy przechodził, gromada ludzi skupiała się około dwóch włochów z Lombardyi od Werony, ze skrzynkami na plecach, z kijami w rękę, stojących pośrodku. Szedł naówczas już handel ten przez Alpy, na Ren, z kąd się dostawał do Frankonij, Erfurtu, Magdeburga, a ztąd do Czech i do Polski. Lombardzcy przynosili drobne wyroby włoskie, pierścienie, łańcuszki, noże, korale, krzyżyki, rzeźby z kości słoniowej i t. p. Wędrowali oni czasu pokoju do Krakowa i głębiej.

Ci dwaj, którzy tu przybyli, z trudnością się porozumieć mogli z otaczającymi. Po niemiecku źle i mało mówili, a narazie nie było nikogo coby im mógł za tłumacza służyć.

Po stroju ich poznawszy włochów, których się napatrzył Stach, gdy swego pana strzegąc wędrował z nim w wyprawie do Medjolanu — zbliżył się ku nim.

Wielka była radość cudzoziemców gdy swoją mowę z ust jego posłyszeli. Chwycili się go, błagając, aby im tu chciał być pomocą.

Nie miał Stach nic lepszego do zrobienia — zabrał ich do domu swego — po drodze już przyszło mu na myśl, iż, zmówiwszy się z niemi, za wynagrodzeniem mógłby jako Włoch przebrany wędrować do Raciborza.

Prowadząc ich do dworku począł już rozgadywać się z niemi.

Młodszy z nich Andreo, żwawy, rozmówny, śmiały, szczególnie przystał do Stacha. W dworku izba się dla nich znalazła, a tuż za kramami ludzie się

poczęli cisnąć za kupią, szczególnie mieszczki ciekawe błyskotek, które włosi zawsze z sobą nosili. Stach pomagał im służąc za tłumacza i pośrednika. U bramy na ławie postawiwszy króbbki swe włosi targowali dzień cały z wielką się oświadczać wdzięcznością dla opiekuna swojego. Jagna przez okno tylko popatrzywszy na to co rozłożyli, pogardliwie się odwróciła. Nie dbała teraz wcale o to co ją przystroić mogło.

Nim wieczór nadszedł, Stach się w myśli swej powędrowania z włochami utwierdził mocniej, nie wiedział tylko jak to zagać, nie obudzając w nich podejrzenia.

Z Andreą siedząc do późna, Stach, nalawszy mu wina, którego dawno nie pił, poufną zaczął rozmowę, zwierając mu się, iż rozmilowany był w pewnej niewieście, do której dostąpić nie mógł. Włoch mu się naprzd za posła i pośrednika ofiarował — ale tego nie starczyło. Stach objawił mu myśl swoją, iż do miasta, w którym mieszkała, mógłby z niemi iść za kupca przebrany, a po drodze i na miejscu sprzedaćby wiele dopomógł. Włoch, jak tylko się dowiedział, że o miłosną szło sprawę, z wielkiem współczuciem się oświadczył, i gotów był dostarczyć ubrania. Twarz ciemniejszą uczynić łatwo było.

Ręczęc za dobry odbył towaru na Szlasku, Stach oprócz tego ofiarował sowite wynagrodzenie. Stała się więc umowa nazajutrz, i zejść się miano na gościńcu, który wskazał. Tam zmieniawszy odzież wędrować z nimi miał do Raciborza. Jeden Żegieć, któremu Stach ufał, wiedzieć miał o tem, przed Jagną nawet Stach nie przyznał się do tego co przedsiębrał. Poszedł się tylko opowiedzieć jej, że dla spraw księcia i śledzenia obrotów Mieszka, jutro w drogę puścić się musi.

Jagna dosyć była rada zawsze gdy wyjeżdżał, tym razem jednak spytała.

— A gdy cię tam poznają i pochwycą?

— Nie wiele na tem stracie — odparł Stach smutno — jam ci się wam nie przydał na nie piąte koło u wozu.

— A bez was — rzekła Jagna — sama jedna na świecie! Gdy jesteście tu, trwożę się i przykro mi, gdy odejdziecie, niepokoję się.

— Jednak pójść muszę — odpowiedział Stach — a da li Bóg powrócę. Jam tu, ani mąż, ani sługa — przybędą na łasce.

Uśmiechnął się gorzko.

— Inaczej z nami być nie może — rzekła Jagna — tylko żeście tu nie przybędą, a bratem. Ja w sercu trupa noszę, z nimby wam w niem jak w grobie było niezdrowo.

Główką potrząsała.

— Siostrą wam jestem dobrą — po co wam więcej?

Na to nie odpowiedział Stach, ale ujęty jej głosem tęsknym i okazaną przychylnością, nie zataił już, że z kupcami chce się dostać do Raciborza.

Jagna słuchała z uwagą, obcy ludzie byli jej podejrzani.

— Dwu ich jest, czarnych i strasznych jak zbóje, nuż cię zabiją? — szepnęła.

— Na ich dwu mnie jednego będzie dosyć — śmiejąc się, rzekł Stach. — Prędzej oniby się mnie lekkać mogli, bez noża jednego i drugiego nie pójdę, a na mężtwie mi nie zbywa.

Tak się skończyła rozmowa, pożegnanie było chłodne znowu — choć z progu rzekła mu, że za nim tęsknić i niepokoić się będzie o niego. Stach i za to dobre słowo był wdzięcznym.

Drugiego dnia kupcy wyciągnęli do miasta i Stacha też nie stało. Żegieć pojechał go szukać niby i z niezem powrócił.

Gdy suknie włoskie wdział Stach i węzelek na plecy wziął, twarz nieco uczerniwszy, w istocie trudno go było poznać. Andrea i Luca, dwaj jego towarzysze, którym dobrze z nim się działo, nie tylko złego

nie myśleli, ale gotowi byli choć na najdłuższą wędrówkę. Poił ich, karmił, za tłumacza służył i do handlu wielce dopomagał.

I to też dla nich coś było warto, że się z nim przez drogę o nieznanym kraju rozgadać mogli. Po dworach i osadach pomniejszych nie było się po co zatrzymywać, zamków na gościńcu nie spotykali i pieszo powoli tak się wlokąc, naostatek i raciborski gród ujrzeli.

Bolko puścił go był i dał na mieszkanie staremu stryjowi, który tu ze trzema synami przebywał. Prócz Mieszka nie było nikogo. Na podzamczu w mieście włosy gospodą stanęły, i Stach z niemi. Jako cudzoziemców, z których jeden ledwie coś języka rozumiał nie strzeżono się ich weale, Stach postrzegł zaraz, że nie potrzebując wiele, nasłucha się dosyć. Gospodą, w której się zatrzymali była razem karczma dla ludu, w której miód i piwo sprzedawano. Zachodziło do niej różnej gawiedzi wiele, szczególnie z zamku i z tych co do niego przybywali. Rozmawiali o Mieszku, o jego obrotach, o dworze, o posłańcach, jakby naumyślnie dla tego, który pilnego nadstawiał ucha.

Na zamku panował ruch, z którym się nie tająono. Ludzie jacyś kupkami ściągani przychodzili ze Szlązka i Wielkopolski. Uzbierać ich miano. Konnych gnano w różne strony. Włosi się wyprzedawali, Stach podsłuchiwał. Gdyby nie Mierzwa, który na zamku mógł się znajdować i tamby był z przekupniami się wcisnął. Szczerście mu jednak posłużyło lepiej niż się spodziewał, choć nie rychło. Cały jeden dzień na ławie przesiedziawszy, drugiego gdy trochę z gospody się wychylił na gościniec, chcąc ku zamkowi rzucić okiem — postrzegł jadącego czelaka, którego dobrze znał.

Był to Barwin skarbný Mieszka terazniejszy, który w Krakowie matkę mając i siostry, często tam bywać musiał, a nawet się w służbę do Kaźmierza

Stach z Konar. T. III.

chciał wprosić. Stacha do tego używał by mu mógł, bo Mieszkowi tylko z musu i mimo woli służył. Nie dowierzając mu, zbyto Barwina niczem, choć Stach znał, iż go za swego prawie mógł liczyć. Na Stachu on polegał, że się prędzej później do Krakowa do rodziny dostanie i chleb znajdzie.

Nim się namyślił co miał począć, dać się mu poznać czy nie, Barwin, który bystre miał oko już go zobaczył, bo strój obcy uderzał. Nie chciał uciekać Stach, aby się nie zdradzić, dał mu więc przystąpić blisko, stanąć i zapatrzeć się.

Barwin nie będąc pewien swego, choć miał podejrzenie, do gospody wszedł, z Włochami trochę pobelkotał, bo coś niecoś języka ich rozumiał przez łacinę, i zaraz w podwórze, gdzie Stach siedział, powrócił. Zaczepił i jego z włoska, spojrzeli sobie w oczy, głos zdradził — poznał go.

Z ciekawością wielką Barwin na stronę mniejszego kupca odciągnął — pytając, co on tu myślał i z czem przybył, a dokąd się udaje?

Trzeba było śmiałością nadrobić i coś ważyć, Stach mu więc odpowiedział naprzód, pytaniem czy chce do Krakowa się dostać i mieć urząd, o który się starał?

— Al! radbym się ztąd wyrwać jednej godziny — zawołał Barwin.

— Nie zdradźcież mię i posłuzcie — rzekł Stach, biorąc go za rękę — ja wam ręczę, że nie pożałujecie.

Słuchał pilno skarbnym.

— Czego chcecie? mówcie, wasz jestem!

— U was się coś gotuje? — zagadnął gość.

Barwin głową potwierdził.

— O tem wróble na dachach wiedzą — rzekł.

— Cóż robi Mierzwa? — badał go dalej.

— Służy wiernie dawnemu panu — mówił skarbnym — o tem też dawno wiedzieć powinniście. Ściągnął tu do siebie rodzinę i mienie, a czasem się tylko do Krakowa wymyka, aby ztamtąd języka przywiózł.

— Dobrze i to wiedzieć — rzekł Stach. — A no teraz idzie mi o to, abym się z nim nie zetknął, bo mnie pozna i wyda.

— Nie spotkacie go teraz — odparł Barwin — bo go posłano do Poznania czy Gniezna i dziś dopiero nocą powrócić może.

— Cóż wy tu sposobicie? — pytał Stach dalej.

— Chyba o tem musicie wiedzieć — mówił skarbnym.

— Nie wiem nic.

— Byliście w Łęczycy?

— Byłem ci...

— Ztamtąd książę Bolko wrocławski, który Mieszkowe listy woził do zgody z Kaźmierzem, przyniósł nam dobre wieści.

— Jakie dobre? co wam w głowie? — przerwał Stach.

— Juści dobre — rzekł Barwin — kiedy książę Kaźmierz dla pokoju i zgody Poznań mu oddaje.

— Ależ tam Otto siedzi!

— Z nim się jakoś poradziemy — ciągnął skarbnym dalej. — Bolko nam zapewnienie przywiózł, że Gniezna i Poznania Mieszkowi nie będą odbierać, byle je sobie wziął.

— Jakto? Nie może to być! — zawołał Stach — bajdy wam prawiono. Wszakże Poznańczycy, zasłyszawszy, iż im Mieszka dać chce, o mało buntu nie podnieśli.

— My i to wiemy — odparł Barwin — ale Poznańczycy w Łęczycy, a na swoich śmieciach inni są. Mniejszych ziemian Mieszek wszystkich ma za sobą, bo ci starszyźnie zazdroszczą, a lichbą ją przenoszą.

Słuchając Stach słupiał.

— Nie może to być chyba — zawołał — kłamstwa jakieś są i zdrady w tem. Czyżby książę Kaźmierz Gniezno które trzyma sam i Poznań dany Ottonowi miał oddawać dobrowolnie? komu? bratu, który go słuchać nie będzie.

— Tak jest—rzekł skarbný—my to wiemy, że umowa potajemna stanęła, o której u was w Krakowie mówić wara. Kaźmierz się na to zgodził. Co potem z tego wyrośnie, nie moja rzecz.

— Wyrośnie to, że Kaźmierzowi przez wdzięczność Kraków zechce odbierać!—krzyknął Stach, zapominając się.

— Miejcież się na pieczy—dodał Barwin.

Rozmawiali dłużej. Stach chciał wątpić o tem, co słyszał, lecz dowody były mocne. Zatrwożył się więc i począł myśleć, co mu trzeba było czynić. Zmierzchało już, gdy razem z Barwinem poszli ścieżkami jemu znanymi, na których spotkać się nie obawiano nikogo, ku zamkowi. Tu na własne oczy mógł się Stach przekonać, że wielkie przygotowania do wyprawy czyniono.

Mówiono głośno o pochodzie do Gniezna.

Barwin opowiadał, że Kietlicz przodem tam odprawiony, opatrzył zamek i opanowanie go miał ułatwić, Mierzwę z czemś posłano do Poznania.

Stach, jak ukropem oblany, czekać już tu nie miał czego. Nie mógł pojąć dobroduszości Kaźmierza, który na siebie oręż dawał nieprzyjacielowi. Trzeba było z wiadomością o tem pośpieszać do biskupa.

Barwina więc musiał zjednać sobie, aby mu konia dostarczył nocą i sukni inaych, gdyż włoskie zrzucić miał w gospodzie. Skarbný, chcąc go sobie pozyskać, na wszystko się godził. A że Mierzwy o mroku nie obawiał się, choćby powrócił, — wcisnęli się więc małą furką na gród do środka. Zamku niebardzo strzeżono. Mieszek tak się czuł bezpiecznym tu, iż bramy stały otworem. Żołnierzy było dosyć. Weszli więc niepostrzeżeni pomiędzy czeladzie.

Synowie Mieszka właśnie w podwórca konie sobie wybierali. Stary siedział na ławie w podsieni i przypatrywał się milczący. Na wszystkich twarzach radość i ożywienie widać było wielkie. Stach jeszcze

z Barwinem stał za ścieżką w podwórzu, gdy z pośpiechem wielkim wpadło na zamek kilkanaście koni. Kietlicz powracał z Gniezna.

Wstał idąc przeciw niemu Mieszek, rozmowa poczęła się głośna. Niepocześnie odziany dla niepoznaki Kietlicz, zasapany jeszcze, donosił panu, iż arcybiskupa w mieście nie było i ludzi na zamku mało, tak, że zniemacka napadłszy we dnie, gdy się najmniej pilnowano, łatwo gród ubiedz było.

Zaczęto się na głos z siłami liczyć, dnie rachować. Jeszcze Kietlicz stał rozповідаjąc, a Bolko, starszy syn księcia, radośnie wykrzykiwał i w ręce bił, gdy i Mierzwa się we wrotach zjawił, powracający z Poznania. Stach skrył się ostrożnie, obawiając lisiego oka jego — ale nie ustąpił. Barwin go i mrok osłaniał.

Mierzwa wprost z konia podszedł z pokłonem do kolan pańskich, zaczął coś szeroko, wywijając rękami, opowiadać, ale mowy jego dosłyszeć nie było można, bo schryplym głosem, kaszlem przerywanym, niezrozumiałe bełkotał. Zdala widzieli tylko, jak się, wedle swego zwyczaju, to po twarzy tarł, to na plecach coś liczył, to w różne strony ukazywał.

Mieszek i Kietlicz mocno nacierali na niego, bo długo sprawę im zdawał z tego, co przynosił. Na twarzach widać nie było, aby nowiny, które przynosił, złe być miały. Kilka razy Kietlicz się odezwał głośno:

— A no, będzie jak powinno być!

I tego dosłyszał Stach, jak gruby ów pański namiestnik do Mierzwy wołał:

— A no, słowo mamy, że przeciw nam nie pójdą, wojować nie będą, byleśmy wzięli sobie Poznań i Gniezno. Otto się bronić nie będzie, ani się spodziewa.

Wszyscy trzej potem szli, Mieszek przodem, za nim Kietlicz, z tyłu Mierzwa, do zamku; za niemi młode książęta. Barwin tymczasem do swojej stajni zaprowadził gościa, konia z siedzeniem mu wybrawszy,

oponczę też własną przyniósł i dla bezpieczeństwa go za wrota wyprowadził. Rad, że mu się dostać szkapę udało, Stach nie wybierał, patrząc tylko, aby młoda była, w czym się omylił, bo do śpiesznej, a długiej jazdy młodzież się na nie nie zdała.

Nigdy Stach powolnym nie był, paliło się w nim zawsze bez miary, teraz jak opętany, chwili nie tracąc, włochów się datkiem zbywszy, puścił się pod noc w drogę.

Mysząc i przemyślując nad tem, co na własne uszy słyszał, nie chciał temu wierzyć, ażeby Kaźmierz dobrowolnie bratu oddawał Wielkopolskę; sądził, że tę wieść puszczone umyślnie, dla dodania żołnierstwu ducha.

Chciał dostać się w porę do Krakowa, aby zamachowi zapobiedz.

Dotąd wiodło mu się szczęśliwie, teraz szło jakby na przekorę. Ów młody koń Barwina, szparki a gorący, sił wiele nie miał; rwał okrutnie z kopyta, a wprędce tak ustał, że choć go było w rękę prowadzić. Boki mu powciągało, jeść nie chciał i gdy się nad ranem na łące położył, zdawało się, że tam zdechnie.

Zeszło więc czasu dużo nadaremnie, a gdy koń się trochę orzeźwił i można było znowu się na nim puścić w drogę, musiał Stach go oszczędzać, aby znowu nie zasiał. Byłby go może rzucił gdzie po drodze, a innego szukał, ale się nigdzie stada nie trafiło spotkać.

Tak, dłużej się daleko wlokąc, niż rachował zrazu, na koniu, z którego już nie nie miało być, bo ledwie dychał, dostał się do dworku nocą.

Gdy się nierychło do wrót dostukał i stary Hreczyn sam mu otworzył, pierwsze pytanie jego było o Jagnę.

Stary zabelkotał coś niewyraźnego, a potem dodał, że spać musi.

Poszedł Stach do swej izdebki, do której zbu-

dzony Żegieć pośpieszał. Było około północy i za późno, aby iść zaraz do biskupa. Musiał to odłożyć do rana.

Gdy Hreczyn odszedł i sami we dwu zostali z Żegciem, Stach ponowił pytanie, co się tam działo z Jagną. Żegieć tylko ramionami ruszył.

— Wczoraj poszła spać!—rzekł—bo zwykle do północy siaduje, a tum jej przybywszy nie widział. Nie było odpowiedzi.

— Gadajże!—przyganił Stach.

— Co mam gadać, gdy—nie mam o czym—odparł sługa i pomilezawszy dodał.—Jej bo pono w domu niema.

Zerwał się Stach, jakby weń piorun uderzył—przyskoczył do sługi.

— Kłamiesz!—krzyknął.

Żegieć dodał.—A niema jej, sam widziałem gdy wychodziła—dotąd Hreczyn we wrotach czy w oknie czeka na nią.

— Wyszła sama?

— Sama.

— Dokąd?

— Któż ją wie!—rzekł Żegieć.

— Nie pierwszy—odparł smutnie sługa.

Przybity stał Stach—własne nieszczęście z pańskim pomięszło mu w głowie—bezwładny, odrętwiały padł na łożo, a Żegieć do nóg mu przyskoczył.

— Panku miły—począł—zlituj się, czego masz za tą dziewczką przepadać!

Odepechnął go Stach—marzyło mu się jednej godziny ze dworku wynosić.

Cisza była na mieście, noc ciemna, w tem Hreczyn do izby wpadł przerażony—słychać było dzwon zdala na Wawelu.

— Na mieście, czy na zamku—ogień!—krzyknął.—Pali się—lunę już na niebie widać! Gore!

Z sąsiednich dworków z tym okrzykiem—Gore! Gore! ludzie wysypywać się już zaczęli. Jedni wo-

łali—ogień na zamku, drudzy na podzameczu, niektórzy biegli na łunę. Stach bezmyślnie prawie chwycił się jak stał z pościeli i wybiegł za niemi.

Głuchy gwar słyhać było w budzącem się mieście, dzwony po jednemu się odzywały, lub zwołując na ratunek—coraz gromadniej biegono ku pożarowi.

W górze na obłokach krwawa zarysowała się luna, rosła, w karmazyn i rubiny się stroiła, a na jej tle kłębamii ciemny dym się zwił jak iskrami dziany. Stach uląkł się czy nie na zamku gorzało, ale gmachy jego sterczały ciemne na rozpalonej łunie. Ogień dalej i niżej gdzieś być musiał, właśnie w tym kierunku gdzie się dwór Doroty miał znajdować. Stachowi i to na myśl przyszło, że Kaźmierz mógł tam być, biegł więc co miał sił ku ogniewi.

Leciał mijając ludzi, rozpychając tłum, potrącany, zatrzymywany, torując sobie drogę gwałtem, gdy w ciąsem przejściu uczuł nagle dwie ręce, które mu się splótły i uwiesiły na szyi, krzyk potem straszny usłyszał i blada twarz spadła mu na piersi.

Była to Jagna z dzikiem wyrazem na licu, jakby obłąkana. Gdy ją miał pochwycić, dziewczęciu się ręce rozwarły i bezsilna upadła na ziemię. Skoczył Stach ratować omdlałą, zaledwie zdoławszy zasłonić od tłoku, który ciskał się zewsząd, mógł ją nogami strącić. Nieprzytomną podniósł z ziemi. Włosy miała biegiem rozwiane, ręce jakby sadzą i dymem powalane, spaleniznę czuć od niej była.

Stach nie mogąc tu z nią pozostać wśród ciżby, gdyż piosi i jezdni zewsząd naciskali, [biegnąc ku pożarowi, chwycił ją na barki i niosąc omdlałą zawrócił nazad do dworku.

Zdało mu się gdy ją trzymał, że się parę razy rzuciła, jakby oprzytomniawszy, krzyknęła coś niewyraźnie i znowu wróciło omdlenie. Z ciężarem tym dopadł wreszcie do wrót swych, gdzie Hreczyn, Żegieć i służba cała stała. Uchronić się od ich oczów nie było

podobna, bo życie ratować musiał. Spostrzegłszy panią swą w tym stanie Hreczyn i dziewczki krzyknęły rozpaczliwie, pochwycyła ją na ręce i tak do izby, na posłanie wniesiono.

Służebne przypadły cucić i oblewać panią, Stach już o pożarze nie myślał. Jagna wkrótce oczy otworzyła, powiodła niemi do koła, poznała Stacha, krzyk się jej wyrwał z piersi, usiadła na łożu. Oczy miała obłąkane, a choć życie wróciło, przytomności jeszcze nie odzyskała.

Przy świetle lampki dostrzedz mógł Stach, że suknia na niej i ręce były posmalone. Pogasła, ale nadgorzałe kawałki pakul przylegały do jej odzieży. Trzęsła się, milezała, Stach także. Hreczynowi dała znak, aby się oddalił, odprawiła sługi, Stach z nią jeden pozostał.

Nagle jakby coś sobie przypomniała, zerwała się, zachwiała na nogach, pobiegła do okna, wyjrzała. Blask łuny ogromnej aż tu dochodził, z dziką radością rozśmiała się do niej. Wskazała palcem w stronę pożaru.

— Pali się! pali! spali się wiedźma przeklęta! — krzyknęła. Ogień w pierwospy, na cztery rogi — wrota zaparte, ludzi nie było! spali się! spali.

Klasnęła w ręce.

Stach słuchał i nie mogąc zrozumieć patrzył jej w oczy—powtarzała ze śmiechem mściwym.

— Spali się!

Odwiódszys go potem od okna — poczęła żywo po cichu.

— Zrobiłam dobrze? nie prawdaż? To ja jej dwór podpałam!

— Czyj? — spytał Stach.

— Wiedźmy tej, co jemu życie odbierała!

Namiętność z jaką to mówiła, przeraziła słuchającego

— Tak—kończyła dysząc—stróż był przekupiony—kilka nocy tam chodziłam, podkładałam pakuly,

huby, siarkę, a dziś ogień zaniósłam... Stałam patrzeć póki dobrze nie rozgorzało. Wszyscy już spali. Paliło się po cichu, płomień szło do góry.

Załamala ręce.

— Może ją wyratowali! Nie—to nie może być! Nie. Idź ty, idź—ja już sił nie mam—bież—zobacz czy wiedźma spalona.

Sił jej zabrakło i padła na pół zemdlona śmiejąc się tym śmiechem serdecznym, który się dobywa z największej boleści, na postrach uszu ludzkich.

VIII.

Na zamku zrana czeladź na podsieniach zebrana o ogniu wczorajszym rozmawiała.

Paliło się pod samym zamkiem, w domu Wichfrieda, w którym wdowa mieszkała. Sam książę z czeladzią biegł na ratunek, ale dwór spłonął mimo niego prawie cały—a z nim mówiono—bogactwa wielkie.

Wichfriedowi nie się nie stało, a książę przyrzekł mu i dom odbudować i komory zapelnąć znowu.

Ten, który opowiadał, okiem jednym pomrugiwał chytrze i szeptał bardzo cicho.

— A baba? — spytał jeden.

— Licho bab nie bierze—dolożył inny—z ognia czy z wody wyciągną je zawsze. Nic się jej nie stało... Wichfried ją wyniósł i zaraz do innego domu zaprowadzili.

— Sam książę tam był...

— Gadają — ciągnął pierwszy—że ją druga jakaś baba podpaliła z zazdrości—widzieli ją jak uciekała. Gorzała słysząc na niej odzież i włosy.

Podpalono tego, na cztery rogi.

— Gdyby nie chowany kruk, w izbie zamknięty, który wrzawy narobił, wszyscy spali i byłiby zgorzeli wszyscy.

— Kruka lieho nadało! — rzekł jeden.

— Wichfriedowa to żonka ta z Tęczyna!

— Jaka żonka—podchwycił inny—on jej stróżem nie mężem, a tych, co koło niej—ani zliczyć.

Palcem jeden na komnaty książęce ukazał.

— El stara baba! — przerwał komornik któryś z pogardą.

— Tal tal! żadna jej młoda niedotrzyma — ciągnął pierwszy — ma takie ziele, co jak się niem potrze zaraz młodnieje i taką wodę, co jak się umyje, kwitnie by róża, i taką maść, że jak się nią wysmaruje, wszyscy za nią iść muszą. Wiedźma okrutna!

— Wojewoda Szczepan co już ledwie dysze, a i ten tam się suwa, biskup go klnie i dzwoni nań — nie pomaga—mówił inny.

Wichfried też zżółkł przy niej jak воск—śmiał się trzeci.

Znowu ten co palcem pokazywał na izby pańskie, zwrócił się w ich stronę—ale o księciu mówić nie śmieli.

— Jakby już młodych nie było — zamruczał znowu jeden.

— Domostwo się paliło, jak słomy kupa. — Strach!—opowiadał znowu pierwszy z komorników.

— Dobrze podłożono? — śmiali się.

— Kto to wie? — zaprzeczył któryś.

— Wszyscy! Widziało wielu jak podpalaczka uciekała.

— A czemuż ją nie łapali?

— Ale! Aby urok rzuciła lub chorobę. Już taka co się porwała na tę wiedźmę, sama nie gorsza być musi.

Umilkli wszyscy zobaczywszy Wichfrieda, który błąd i zadumany, zły szedł z miasta, pominął dworskich i prosto kroczył do księcia.

Każmierz spoczywał chory i zmęczony, u łóża.

jego siedziała księżna ręce załamując, dopytując na próżno coby mu dać pić, albo jeść. Książę nie chciał nie, nie śmiał nawet patrzeć na nią, łagodnie jej tylko odpowiadając, jakby się pozbywał. Z drugiej strony łoża siedział książę Roman, zwykle wesół, teraz gniewny, patrząc na twarz księcia niespokojnie.

— A po co wam było samemu w ogień biedz—mówił—kiedy ludzi tylu macie? Zamkowi nie groziło, a Wisła blisko.

W tem w progu Wichfried się pokazał, wszyscy nań spojrzeli, najpierwszy Kaźmierz, który znacząco oczyma go badał. Wichfried pomieszany był—nie swój.

— No! no!—odezwał się książę Roman—*ne zuryisia* (mówił do Wichfrieda) lepszy dwór będziesz miał z łaski twego pana, pocałuj go w rączkę i nie myśl o tem!

Księżna wstała.

— Byle z tego memu panu choroby nie było!—rzekła.

— Z czego ma być choroba?—odparł Roman.—Przeżegnaj się! Co? albo my to lalki słomiane? Niech tylko pójdzie do łaźni, a winnikami go wytrą, a wina z korzeniami zagrzać każ, wyśpi się, spotnieje i będzie zdrów. A on z czego ma być chory?

Wstał i książę, jakby przyjsie Wichfrieda dla księżnej i dla niego było znakiem do oddalenia się. Bolko, syneczek, który w głowach u ojca siedział, pocałował go w czoło i za matką, a dziadem się wysunął. Kaźmierz dopiero śmieiej podniósł oczy.

— Gadaj?—rzekł—możeli to być!—podpalono?

— O! że podłożono ogień to pewna—odezwał się Wichfried—i mądrze i po cichu! pod każdy węgiel, pod dach podetknięto pakuły i ogień. Wrota z zewnątrz były podparte, dopóki z miasta ludzie nie podpadli.

Twarc księcia pobladała.

— Czyjaż sprawa?— spytał cicho.

Wichfried wahał się z odpowiedzią.

— Wierzyć mi się nie chce—rzekł—mówią, że uciekającą, popaloną babę jakąś widziano. Leciała krzycząc.

— A nie schwytano jej?

— Któż wie co za stworzenie było!—szepnął Wichfried.—Ludzie niektórzy zaklinają się, że ją widzieli lecącą w powietrzu!

Książę oczy spuścił.

— Może to sprawa braci!— rzekł po chwili.

Wichfried głową potrząsał.

— Nie—babska robota, tylko niewiedomo czyja!

— A Dorota?— spytał Kaźmierz.

— Leżała chora i wystraszona, wstała już. Napój jej baba dała, odzegnała chorobę, nie będzie jej nic.

Kaźmierz szeptał jakby sam do siebie.

— Baba podpałiła? Kto? jaka?

W tem podkomorzy wszedł oznajmując biskupa Gedkę, trzeba było wyjść naprzeciw niemu. Książę wymógł na sobie, że twarz wypogodził nieco, ruszył na spotkanie i wprowadził biskupa, który twarz miał bardzo nachmurzoną.—Popatrzał znacząco na Wichfrieda jakby go chciał oddalić, a choć rozmowa sama sam z Gedką zawsze Kaźmierzowi przykrą była, bo przychodził często z napomnieniami i strofowaniem—musiał skinąć na Niemca, aby odszedł. Choć niechętnie Wichfried się miał ku drzwom.

Gedko zasiadł w krześle i dłonią podparł zamyślony, twarz miał zmienioną; wejrzenie niespokojne.

— Złe wam wieści przynoszę—odezwał się z wolna—więc nie śpieszę z niemi; choć nigdy zawezście ich mieć nie możecie, dla odwrócenia ztego...

Mieszek, niespokojnego ducha, choć go już lata przywieść były powinny do upamiętania, nie daje nam tchnąć. To co w Łęczycy chciał wyprosić, teraz myśli wziąć siłą. Zabiera się już zajeżdżać Gniezno wasze

i Wielkopolskę. Wy, miłośnicy książę, zdajecie się dotąd o tem nie wiedzieć, bo nie nie czynicie. Gniezna bronić trzeba. Poznania, Ottonowi go dawszy, nie można mu pozwolić odbierać.

Spojrzał na księcia, który stał ani zdziwiony ani poruszony tą wiadomością—słuchał spokojnie.

— Jam ma doniesienia pewne — potwierdził biskup — przychodzę pytać co czynić myślicie?

Książę wahał się dosyć długo z odpowiedzią. Gdy szło o rzeczy sumienia i przekonania, pan ten łagodny zawsze, często lekki, stawał się twardym i nieugiętym. Śmiało po królewsku podniósł głowę i na zapytanie—co myślał czynić, odparł krótko.

— Nic — mój ojcze.

Gedko podniósł oczy, czekał tłumaczenia.

— Tak jest, nic — kończył Kaźmierz — nie uczynię żadnego kroku. Mieszkowi ojciec Wielkopolskę za dzielnicę nazначzył, nie godzi mi się mu jej przeczyć i odbierać. Zabierze Poznań, Gniezno — dam mu je trzymać. Tak każe sprawiedliwość.

Zżymnął się biskup.

— Sumienie wasze znam — rzekł — szanuję głos jego, ale, książę mój, nie o Wielkopolskę tu idzie: nie o Mieszka, o państwo twoje całe. Brata waszego nie znacie tak jak my. Dziś chce Poznania, jutro się upomni o Kraków. Mając siłę związę się z bratankami szlązkiemi i — padnie na was! padnie!

— Wówczas ja bronić się będę — odparł książę. — Lecz ze strachu, aby się to nie stało, nie mogę go pozbawić ojcowizny. Tak samo dla obrony od napaści, na życie jego mógłbym nastawać. Nie — tego uczynić nie mogę. Stanie się wola Boża — ten co widzi serce moje, ratować mnie będzie!

Gedko zamilkł, rozmowa była trudną, przekonanie niepodobne, Kaźmierz stanowczo wolę swą objawiał.

— Zatem patrzeć będziemy obojętni na to, jak się na nas gotować będzie napaść niechybna i nieprzy-

jacielowi broń damy w rękę? — Westchnął. — Stań się wola Twoja Pani!

Biskup mówił dalej powoli, z rezygnacją.

— Z Poznania, z Raciborza, z Wrocławia mam wiadomości pewne, na tem się nie skończy, że Wielkopolskę wam wydrą. Mieszek w znowie jest z Szlązakami, zabiega około chorego Leszka, aby i ten spadek mu po sobie zostawił, a nie wam. Dzieciak słaby, którego lada fraszka zyskać sobie można, odda mu Mazowsze i Kujawy. Naówczas pomyślcie no! Wielkopolska, Mazury, Kujawy, Szlązko, Pomorze staną przeciwko wam. I wy dajecie się tej srogiej burzy zbierać nad głowami waszemi — nie czyniąc nic?

— Widzę ją — tak — ale uprzedzić nie mogę — odpowiedział Kaźmierz. — Mieszek dotąd nie dał mi powodu wątpić o sobie. W Łęczyce owszem Bolko mi od niego przyniósł zapewnienie posłuszeństwa i zgody!

— Al! al! zapewnienia! — rzekł Gedko. — Co Mieszka kosztują słowa? choćby i przysięgi — dla panowania wszystko poświęcił!

— A ja, ojcze mój, dla panowania nie poświęcę sumienia — odezwał się Kaźmierz silnie. — Czemuż ono jest obok spokoju mej duszy, gdy w niej się czuję czystym? Dajcie mi iść tą drogą, a resztę zostawmy Opatrzności.

Biskup poruszony wyciągnął ręce, aby go objął i uściśnął.

— Tak! — zawołał — tak! Opatrzność chyba czuć będzie nad tobą — bo ty na nią zdajesz wszystko z ufnością dziecięcą!

A więc. — Stań się wola Twoja!

Kaźmierz stał wzruszony, ale uradowany niemal.

— Ojcze mój — począł — o zamiarach Mieszka po trosze wiedziałem. Dopóki tylko własną dzielnicę odzyskać chce — nie stanę mu na drodze. Wątpię jednak, aby ziemianie poznańscy, którzy w Łęczyce

na samą wieść, że ja im Mieszka chcę dać, tak się poruszyli—mieli go łaćno przyjąć teraz.

— Ziemianie! — odparł biskup — temi porusza wiatr, który silniej zawieje... Dziś są z nami, jutro będą przeciw nam. Mieszek ich część sobie pozyskać potrafi, śmielsi go okrzykną, słabsi zamileją, ci co się odgrzaali pierwsi przyjdą z pokłonem!!

Budować na sercach ludzkich, rachować na tłumy ruchome jak morskie fale — to klecić na piasku...

— Buduję na Opatrzności — rzekł książę.

Gedko się zadumał.

— Starajcie się łaskę Bożą pozyskać sobie — dodał — abyście każdej chwili czystymi byli przed obliczem Jego. Wielbię ja cnoty wasze, ale nad słabościami boleję. Nieszczęsne te niewiasty na zgubę was wiodą!

Każmierz nigdy się nie tłumaczył, a gdy biskup go upominał, i teraz pokornie zmilezał.

— Odpędźcie precz, te kusicielki — mówił Gedko — czas jest dziecko moje. Nie przystoi wam płochość, a u ludzi dajecie się na pośmiewisko.

Po przestanku, Kaźmierz rzekł cicho:

— Dziękuję wam, ojcze, za naukę. To co mi mówicie, sto razy ja sam powtórzyłem sobie. Oprzeć się nie mogę złemu!

— Bóg miłościw — dodał biskup — czeka cierpliwym, aliści dla upamiętania dotknąć was może, w tem co najdroższe, w dzieciach waszych...

Aby osłodzić tę groźbę straszną, Gedko uściskał znowu księcia. Rozbrajała go pokora. Tak rozstali się czule, serdecznie ale rozmowa nie przyniosła innego skutku nad ten, że przekonała Gedka, iż Gnienno i Pożnań były stracone.

Po wyjściu jego, Wichfried, który nie daleko czatował, zjawił się zaraz, domyślając, że się bez upomnień nie obeszło i że skutek ich zatrzeć potrzeba było. Zręczny niemiec nigdy wprost nie mówił prze-

ciw biskupowi, ale umiał obrócić myśli w inną stronę i poważne sprawy lekko malować.

Wszczął więc zaraz znowu mowę o Dorocie, jak ona oddaną mu była, a we wczorajszem niebezpieczeństwie nie o siebie, ale o przybyłego Kaźmierzka się trworzyła. Wichfried donosił, że miał już upatrzony dom inny, który natychmiast miano przebrać i przysposobić dla wdowy. W pożarze, jak powiadał, straciła ona wszystko, i potrzeba było myśleć, aby nawykła do wygod, nie czuła ich braku.

Książę słuchał z jakąś niecierpliwością i niechęcią, zamykając niemiłą mu rozmowę rozkazem, aby ze skarbcu wzięto dla Doroty, czego tylko potrzebowala i sownie ją opatrzone.

— Nie mówcie mi już tylko o niej — dodał — nie przypominajcie mi grzechu mego. Chcę się z tych pęt uwolnić. Biskup spokoju mi nie daje, sumienie gryzie, muszę się przemódz i wyswobodzić. Ogień ten palcem był Bożym.

— Ogień, złość ludzka podłożyła — przerwał Wichfried — przy pomocy Bożej i ludzi spodziewam się odkryć sprawcę. Zazdroszczą wdowie wszyscy, co dziwnego, że radziby ją upiec żywą? Sprawa to niewieścia nie Boża.

Książę się zmarszczył.

— Nie mówcie mi już o niewiastach — przerwał — co było bólu w mem życiu to przez nie. Dosyć mam tego com doświadczył. Jeśli Bóg oswobodzi mnie z tego czaru, jaki rzuciła na mnie — nie chcę spojrzeć więcej na żadną.

Niemiec uśmiechnął się niedowierzająco.

— El — rzekł — czarów tu żadnych niema. Niewiasta jest osobiwa jakiej pewnie drugiej we wszystkich tych ziemiach nie znaleźć, rozumna, piękna, serca wspaniałego, i do Miłości Waszej przywiązana jako pies. Nie potrzeba napoju ani uroku, aby się w niej rozmiłować, a rozmiłowawszy trwać w tem. Starzy i młodzi, ktokolwiek ją ujrzy głowy tracą i szaleją!

Każmierz słuchał z wyrazem twarzy, zdradzającym walkę duszną, to marszcząc się, to uśmiechając, to chcąc potakiwać, to przeczyć, bronić się i nakazać mileżenie. W końcu uściśkał Wichfrieda i szepnął mu:

— Ty jeden mnie nie potępiasz? Grzeszny jestem! lecz i pustelnicy na Synai podpadali w ten grzech, któremu słaby człek ulega. Milcz, proszę, nie mów o tem więcej.

Przywołano starego Rajca, aby ze skarbcu wydał co było dla Doroty potrzeba. Księżę jakby sumieniem gnany do żony się udał. Wichfried do wdowy..

Dom do którego się ona czasowo schroniła należał do wojewody Szczepana, ale ten go nie zajmował. Nie był tak obszerny jak dwór, który wczoraj spłonął, a stał w niewielkiej odległości od dymiącego jeszcze pogorzelska.

Wśród popiołów i niedopalonych głowni dużo ludzi ubogich z kijami się kręciło, rozrzucając węgle gasnące i szukając stopionych kruszców, o których wieść chodziła, że się ich tam mnogość wielka miała znajdować. Po za opalonemi parkanami, uratowane sprzęty, wozy, pościele, ludzie Doroty przenosili do wojewodzńskiego dworu, około którego skupiała się ciżba różnobarwna.

Zdala tłumy ciekawych przypatrywały się nadciągającym mnogim przyjaciółom i znajomym Doroty. którzy z miasta i ze wsi śpieszyli jedni z podarkami, drudzy dla dowiedzenia się o wypadku, dziwnie już opowiadanych i tłumaczonych.

Duchowieństwo głosiło, że z nieba ogień padł na tę Sodomę i Gomorę.

Przed dworcem stały posiadłane konie, wozy ladowane, kręciły się czeladzie pańskie, stawali przyglądając i przysłuchiwając kupcy i mieszczanie. Zawóz był jak na targowicy w dzień niedzielny.

Niektórzy palcami sobie nakazując pogorzelsko i dwór opisywali pożar z temi dodatkami, w jakie

od wieczora, z ust do ust przechodząc, powieść się przystroiła. Zadziwiająca ta praca umysłu ludzkiego nad słowem, które z ust jednych wychodząc, w drugich już inne przybiera barwy, w trzecich rysy niektóre—grubieją, nikną inne, dalej zmienia się obraz, różnie, maleje, wykrzywia, rozdyma i ci co własnymi oczyma na wypadek patrzyli, nie poznają go nazajutrz przestrojonego w cudowną jakąś legendę.

Stało się to z pożarem na podzamczu. Jedni widzieli babę, która podpalała, inni wiedźmę leącą w powietrzu, inni ogień z nieba rzucony. Byli co obwiniali braci z Tęczyna i gachów zazdrosnych — i niewieścią zemstę.

W domu wojewodzńskim, ochłonawszy już ze strachu, piękna Dorota przyjmowała cisnących się druhów swoich.

W ogromnej izbie z belkami zezerniałemi u pułapu i ścianami pstro pomazanemi, zarzuconej nagromadzonym już bez ładu sprzętem, wdowa strojna, z włosiem utrefionym i namaszczoneym, w sukni brzmowanej obcisłej z rękawami długimi, wpół siedząc, wpół leżąc — otoczona mężczyznami rozpowiadała wczorajsze przygody swoje. Coraz ktoś nowy przybiegał — zalecając się, przynosząc coś dla pogorzałej. Przyjmowała wszystkich i wszystko.

Najbliżej niej siedział wojewoda Szczepan, zapomniawszy na wstyd, z policzkami zarumienionemi, zazdrosnem okiem spoglądając na młodzież, cisnącą się do płoczej niewiasty, uśmiechającej się z kolei każdemu.

— Tylkom co oczy zmrużyła — mówiła — eicho było we dworze, pozamykano wszędzie, bo stary mój dobrze porządku pilnuje. Spać mi się chciało, sen kleił powieki, jak po makowej polewce. Zdawało mi się, że w podwórze usłyszała furtki skrzypnięcie, ale jakże to być mogło kiedy tam stróż chodzi i weseśnie ją zamykają? myślałam sobie. Wiatr szumił zdała. Budzę się, coś jak światełko błyszczy mi przez

szczeliny okiennicy, oczom nie wierzyłam, a sen morzył. Upłynęło czasu trochę, coś zaszelpotało pod ścianą — wiatr albo psy moje biegają! Co tam! Na raz zaleciała mnie spalenizna... czułam, że coś gorzało... Sądziłam, że ogarek nocny w drugiej izbie zagasnął i swadu narobił. Sen tak morzył, ani się ruszyłam.

Ciężko się robiło na piersi, duszno... tchnąć coraz trudniej. Zmora jakaś, myślałam! W izbie trzeciej chowany mój krak krzyżeć zaczął przeraźliwie, słyszałam jak bił skrzydłami i miotał się. — Coś mu się stało. Ledwie mogła podnieść, patrzeć — przez szpary w okiennicach jasny ogień płonie, w izbie dym, a tu już i krzyk dziewczek mnie dochodzi. Zerwałam się, do drzwi trafić nie mogąc. Wrzawa otaczała dom. — Gore! gore!

Biegałam do wyjścia zgubiwszy pamięć, bijąc się o ściany. Na podwórzu biegali ludzie, dym się wciskał do izby i płomienie, na dachach trzaskały darnice. Gdy mi drzwi otwierały służebne, niewiem już co się działo ze mną i kto mnie na rękach z płomieni wychwytał.

Budynek gorzał cały, a dziedziniec stał jeszcze zaparty, zewnątrz łamano wrota! bo z obu stron były kołami zabite.

Piekło do koła! Żem przeżyła tę noc — cud chyba!

Opowiadali i drudzy, wojewoda drżał i lży mu ciekle z powiek zaczerwienionych.

Wszyscy świadczyli, że widziano niewiastę uchodzącą, że stróż, który u wrót stał zniknął, nikomu nie było tajno. Złakł się i uszedł, zdradził czy spalił się? różnie sądono. Ktoś musiał jednak być sprawcą ognia i pozabijać wrota.

Wdowa mówiła, płakała, śmiała się, a że już jej dawne życie wróciło, rzucała oczami, wdzierała się, wyciągała ręce białe i kibić, okrągłą dosyć, na popis stawiała. Młodzi śmieli się powiadając, że zadzroszczą temu co ją wynosił z pożaru.

— Nie lada to siłacz być musiał — rzekł jeden — bo jest co nieść!

— Choćbym się poderwał i popalił — zawołał drugi — a radbym was na rękę ponieść.

Żartowano już, nie oglądając się na słowa. Na tę rozmowę i śmiechy wszedł Wichfried, którego tu wszyscy za gospodarza niemal uważali. Keso nań popatrzał wojewoda; wdowa ze złości wielką wszystkich ilu było, choć się oczyma jedli, umiała tak trzymać, aby do swaru nie przyszło.

Jednemu i drugiemu szepnęła w porę coś nśmie-
rzającego, ścisła rękę nieznacznie, dawała mruganiem przestrogi, Wichfried zresztą najmniej zazdrosnym był, chyba za swojego pana. Zobaczywszy go niektórzy się zaraz do wyjazdu zabierać zaczęli. Wojewoda pozostał jako we dworze gospodarz, co mu większe prawo dawało.

— Nie będziemy waszej miłości długo dworu zajmowali — rzekł do niego Niemiec — bo dom nowy już mamy, który dziś, jutro opatrywać się zacznie.

— Siedźcie, ja dworu tego nie potrzebuję — odparł stary.

Wichfried coś po cichu poszeptywał, tak, że i Szczepan posiedziawszy trochę, wyniósł się za inne-
mi. Po wyjściu jego wdowa przystąpiła do Niemca.

— Cóż on? co? — zapytała.

— Ze skarbcza kazał dać co do domu potrzeba i grzywien dosyć.

Oczy się jej uśmiechnęły.

— Ale — dokończył Wichfried — chodzi zmitrężony, przybity, bo mu biskup powiedział, że na wasz dom z nieba ogień padł za grzech jego...

— Z nieba! kiedy podpalaczkę widzieli — krzyknęła Dorota — to i koły do wrót z nieba chyba po-
spadały!

— Podpalaczkę? — zawołał Niemiec — któż ona mogła być?

Dorota ramionami ruszyła.

— Albo to ich tu mało jest, coby mnie dawno z kamieniem u szyi do Wisły zaniósł? Siła ich, którym się księcia chce—ale im go nie dam.

— Nie robota to braci? — pytał Wichfried.

— O! ci by mnie też żywem spalili, ale to nie ich sprawa.

Rozmowa przerywana ciągnęła się długo, głośna i cicha, zgodna i sporna, na ostatek wdowa się dopominać zaczęła o księcia, kiedy przyjdzie, a Wichfried za to ręczyć nie mógł i nie bardzo obiecywał.

— Powiesz mu żem chora, że umieram, że proszę łaski choć na chwileczkę, musi przyjść—zawołała Dorota.—Długo mu tak dać zostać nie mogę. Jak dzień, dwa się nie zjawi sama pójdę!

Chodziła mocno poruszona.

— Mogę się odziać po mężku—kto mnie pozna? Ty mnie poprowadzisz. Gdy go niema dłużej, 'strachem mrę, tam wszyscy na mnie—tam bij zabij na Dorotę. Niech co chce będzie—nie puszczę Kaźmierza! Porzuci mnie, umrę—wołała przerywanemi słowy, po izbie chodząc i przyskakując do Wichfrieda.

Szepał w końcu, iż księżę mu oświadczył, że jakiś czas sam być pragnie.

— A ja nie chcę, aby był sam!—odparła Dorota.

W końcu niemiec, który próbował się sprzeciwić, na wszystko przystawał, odprawiła go na zamek nazad.

We dworku Jagny okiennice były pozamykane, Stach chodził po gościnnej izbie. Część nocy spędził przy niej, pochwycił co w gorączce mówiła; jawnem było, że Jagna z nienawiści ku niewieście, ku której niechęć zawsze okazywała, ważyła się na podpalenie. Zkąd się jednak brała ta sroga nienawiść Stach pojąć nie mógł. Żadnem słowem, nawet, w gorączce nie zdradziła się Jagna.

Gdy się nieco nad ranem uspokoiła, służebne przestraszone do snu ją ukolysały. Stach czuwał do rana. Gdy zasnęła, skorzystał z tej chwili, zaniósł do

biskupa to, z czem przybył. Natychmiast potem wrócił do dworku, i zastał ją śpiącą jeszcze. Kilka razy w nocy dawać jej wodę musiano, paliło ją pragnienie, potem sen kamienny trzymał jak nieżywą do południa.

Stach przychodził kilka razy, stawał i patrzył na uśpioną. Zasypiała głęboko, z wargami spalonemi, ale dysząc lekko i jakby uspokojona. Gdy się w nią wpatrywał mocno, jakby poczuła jego wzrok, otwierała oczy nagle, błysły źrenice z pod powiek i zamykały się znowu. Sługi płakały; sen ten dziwny wydawał się im ostatnim.

Sprowadzono starą lekarkę; która popatrzyła, poszeptała i odeszła mruczając, że wstanie zdrową.

Już dobrze z południa, poruszać się zaczęła Jagna, obracać, potem z ciężkiem westchnieniem podniosła, zatoczyła oczyma. Stach stał w progu, zobaczyła go, musiała przypomnieć sobie, co sen zataił w pamięci. Dłonią jeszcze zczernioną od dymu potarła czoło, odgarnęła włosy i popatrzawszy na swe ręce, wzdrygnęła się nieco. Spokój powrócił. Skinęła na Stacha, aby przyszedł ku niej; a gdy się pochylił, szepnęła mu do ucha:

— Spaliła się wiedźma?

— Nie—rzekł Stach — wynieśli ją z płomieni.

Oczyma wielkimi, straszniemi zatoczyła w około niedowierzająco.

— Nie spaliła się? Nie?

Zadumała głęboko i padła płacząc na posłanie.

— I ogień jej nie bierze!—mruczała—a ona go zgubi!

Stach pytań nie śmiał zadawać.

— Nie spłonęła ona—rzekł po chwili—ale was widziano, gdyście od ognia bieżeli. Nuż wydadzą! nuż pozna kto!

Z wyrazem pogardliwym Jagna zwróciła twarz ku niemu.

— No... to mnie spala na stosie! — odezwała

się — a wy pójdziecie patrzeć wszysey! Przyjdzie i ona i książkę. Uwiążą do słupa! Raz trzeba umierać; to łatwiej, jak żyć!

Stach się odważył na pytanie:

— Zkądże wam do niej ta nienawiść?

Z pół uśmiechem odpowiedziała mu Jagna:

— Alboście to nie widzieli psa i kota, co się w życiu nigdy nie spotykali, a zszedłszy się na drodze, padają na się? Tak z nią i ze mną. Nienawidzę jej!

Wstrząsnęła się cała i wpatrując długo w róg izby, jakby zapomniiała o Stachu.

— Nie spaliła się! — mruczała. — A wrota były zaparte, a dach płonął cały, a spali wszysey... Kto ich pobudził?

— Mówią w mieście, że kruk! — rzekł Stach.

— Szatan, nie kruk! — krzyknęła — szatan. co więdmy pilnuje. Kruk? czarny! Dyabeł! I ona jak kruk żyje, żrąc co spotka, żywem czy padłem.

Drugiego dnia wstała Jagna, lecz, ona co zawsze była silną i wytrwałą, wlokła się ledwie, przeszedłszy chwiejąc się przez izbę na ławy padała. Twarz miała wybladła, oczy zapadłe.

— Ona się nie spaliła — mruczała, chodząc — a ja zgorzałam, aż mi duszę pali!

Zgłodniała bardzo. Nie plakiwała dawniej nigdy, teraz powieki miała od łez czerwone i strumienie ich płynące na licu bladym drogi krwawe popaliły.

Tylko przed Stachem udawała mężną, dłonią suszyła oczy, starając mu się uśmiechać. On patrzył na nią, nie mówiąc nic.

Jednego dnia rano odezwał się dzwonek na Wawelu, na mszę pierwszą wołając do św. Wacława. Jagna nigdy prawie, lub rzadko do kościołów chodziła. Głos tego dzwonka pierwszy raz przemówił do niej, jakby ją coś wołało, jakby ku sobie ciągnął. Opierała mu się długo, dopominał się —

zdało jej się, że rozumiała głos jego, że musiała za nim pójść.

Narzuciła czarną chustę na siebie i nikomu nie mówiąc, cała drżała, śpiesząc się, wybiegła za próg domu. Ranek był chmurny, ciemny, niebo zaciągnięte.

W progu spotkała się ze Stachem.

— Dokąd? — spytał.

— Muszę, muszę... ja nie wiem. Bądź spokojny, powrócę — odparła niewyraźnie i śpiesznie.

Nawyklą była czynić wolę swoją, nikt nie śmiał jej wstrzymywać. Skinęła tylko, rzuciła się do wrót, wybiegła. Stach choć się uląkł, nie poszedł za nią, wzbronila mu. Z początku szła śpiesząc zdyszana, zwolniła potem kroku, otuliła się chustą — lżej jej było. Nie szukając jej, nie myśląc, drogę na zamek znalazła, minęła bramę ciemną. Kościół stał otwarty. U wielkiego ołtarza zapalone były świece, u progu kilku żebraków stało — nikogo więcej. Ciszą i spokój domu Bożego obwiał ją, krokiem śmiałym posunęła się aż do krated. Tu usiadła na ziemi, chusta, którą była osłonięta osunęła się, opadła, twarz blada ukazała się, cała okolona rozrzuconymi włosami.

Ciekawie na ołtarz patrzeć poczęła. Sama teraz nie wiedziała, po co tu przyszła, modlić się nie umiała prawie. Tego co ją nauczyli w dzieciństwie zapomniiała. Przeglądała się wszystkiemu, co ją otaczało. Na ścianie wisiał Chrystus straszny na krzyżu przybity, z głową zwieszoną, z której włosy okrwawione spływały. Cierniem porane miał czoło, ręce opłynięte krwią, z boku sączyła się krew, nogi były nią zbroczone... Męczarnie konania wyprężyły piersi, ręce, ramiona, nogi. Pod stopami miał głowę trupią.

Jagna wpatrzyła się w Niego, dla niej był to obraz życia — patrzyła i napatrzeć się nie mogła.

— Wiecznie tak krwią płynąć, męczyć się, być tak przybitym samemu, bo wszysey swoi odeszli precz

wystraszeni śmiercią, konać i nie módz umrzeć, wołać i nie być słyszany!

Łzy jej z oczów się polały; zwróciła w drugą stronę. Tam z kamienia wykuty na desce z glazu stał Chrystus drugi. Niósł swój krzyż na ramionach i szedł nim przygnieciony. Tłum Go otaczał, który ona знаła, tłum zbójów z uragowiskiem na ustach, z pięściami zaciśniętymi, oszalały, wściekły... Chrystus ten szedł, a nie poruszał się, szedł tak wiecznie i nie było końca Jego pochodowi, a ich szaleństwu.

W górze, spojrziała, tkwił krzyż jeden jeszcze i na nim Chrystus, a nad Nim gołąb w powietrzu z rozpostartymi skrzydłami. Jeden gołąb litościwy!

U ołtarza śpiewano, dzwoniono i modlono się — ona siedziała nieruchoma, patrzyła ciągle i dumiała. Lżej jej tu było jakoś wśród tych wizerunków męczarni.

Zaszeleściło coś, zaszemrało w ciemnym kącie kościoła, weszli ludzie jacyś i stali nieruchomi, pokryci mrokiem. Jagna popatrzyła na nich obojętnie i odwróciła oczy.

Ksiądz, przeżegnawszy ją, odszedł od ołtarza, zgaszono światło, ci co stali po kątach wysuwać się zaczęli, ona jeszcze siedziała.

Zawsze nie wiedziała, po co przyszła, co ją tu zawołało? Czekala, aby jej znak dała własna dusza, iż iść może nazad, bo, że nie przyszła z własnej woli, ale musiem jakimś — to czuła dobrze.

Teraz cicho już było, skończyło się wszystko, trzeba iść było, czy nie? Zawahała się. Wtem stary człek w sukni czarnej zbliżył się do niej, dotknął jej ramienia i wskazał na drzwi do połowy zamknięte. Jagna wstała powoli, obejrzała się ku ołtarzowi, ku Chrystusowi, ku gołębiowi u góry — i posłuszna ku drzwiom iść poczęła. Tu dopiero uczuła chłód i osuniętą chustą ogarnęła się znowu.

Oczy jej po tym spoczynku widziały więcej i jaśniej. U drzwi stała kamienna kropielnica, zajrzała

do niej. Wodę widać było na dnie, dotknęła jej palcami i zmoczyła czoło gorące — ochłodziło ją to. We drzwiach kilku żebraków patrzyło na nią ciekawie — minęła.

Deszcz pruszył — ranek chmurny zmienił się w dżdżysty. Od kościoła ku zamkowi widać było podwórce długie. Jagna puściła tam wzrok, puste stało, tylko ludzi kupka opodał się zatrzymała i ku niej, czy kościołowi patrzyła. Obejrzała się na nich, oni patrzyli na nią, jeden szczególnie, ale twarzy jego nie widać było, postawę miał, ruchy, jakby tego kogoś, którego znała. Ale nie mógł być nim! — powiedziała sobie — o, nie! Tenby nie stał tak daleko, taki martwy!

Po oślizłej ziemi zwolna zaczęła schodzić ku domowi, slaniając się trochę, bo jej było słabo jakoś. Deszcz padał rzęsy coraz. We wrotach minął ją orszak konnych, jadących na zamek; śmiali się i wygadywali, popatrzyli na nią — pojechali.

Nie pilno było do domu.

Dziwiła się, po co tam chodziła? Na zamek? Czy dzwonek wołał, czy serce? nie wiedziała teraz. Obejrzała się za siebie, czy kto nie goni, nie było nikogo; a czuła jakby ją co ściagało, ale to był wiatr ze slotą, który dał i moczył.

Nim doszła do dworku, strumienie wody lały się z niej, i dobrze z tem było, bo chłodziły.

We drzwiach stał pod daszkiem, poglądając w ulicę Stach; zobaczywszy ją, szerzej otworzył furtę, wśliznęła się w nią, nie mówiąc nic, nie tłumacząc, smutnie się uśmiechnawszy do niego. Powłókł się za nią, zdejmując z niej chustę obmokłą, nie pytał, ona mówić nie mogła.

Po długim milczeniu odezwała się:

— Chrystusa widziałam! Niepocziwi ludzie powiesili go, okrwawili, poranili. Straszny Chrystus!

— Byłaś w kościele? — spytał Stach.

— Tak, byłam w kościele na zamku. Cicho

w nim, paliły się świece, ksiądz ów szeptał, coś śpiewał, a z Chrystusa ciekła krew.

Stach uradował się tem w duszy, że Jagna zwróciła się do kościoła i do Boga, zapytał czy nie chciała księdza, bo księża pocieszać umieją i nauczać życia.

Spojrzała nań dziko dziewczyna, potrząsała głową.

— Nie! nie! — rzekła — Chrystus więcej mówi, niż wszyscy księża; widziałam Chrystusa, nigdy go nie zapomnę!

Nazajutrz Stach myślał, że zechce znowu może pójść do kościoła, ale zrana słyszała dzwonek i słuchała go obojętnie. Nie wołał jej.

Powróciło życie dawne. Siedziała patrząc i nie widząc nic, czasem przebierając dawne swe szaty i odzież, do których przyglętego szczęścia szukała. Brała je, rzucała, uśmiechała się, płakała i siedziała nieruchoma. Gdy Stach mówił, często nie zdawała się go rozumieć. I płynęły tak dnie długie, długie, a że Stach pilnej teraz nie miał roboty, musiał siedzieć i patrzeć na tę biedną istotę, której zrozumieć nie mógł, a która go wcale słuchać nie chciała.

IX.

Dnia jednego — dzień to był slotny i smutny — Wichfried wszedł, jak zwykle, nie oznajmując się do izby księcia. Został go stojącego w oknie, zapatrzonego w podwórze.

Zmokły płaszcz, tylko co zrzucony, leżał na ziemi. Niemiec nawykły czytać w Kaźmierza twarzy, poznawać z niej myśli i uczucia jego, popatrzywszy

uląkł się, tak była dziwnie zmieniona twogą jakąś i wzruszeniem nadzwyczajnem.

Gdy się zbliżył ku niemu, chcąc zapytać, Kaźmierz zawołał nagle:

— Widziałem ją! ona tu jest!

— Kto? — spytał zdumiony Niemiec.

Ale Kaźmierz już był zamilkł, jakby żałował wyrzeczonego słowa, zdając się namyslać, czyma mu odpowiedzieć. Wichfried natrętnie powtórzył pytanie:

— Któż? kto?

Książę nie chciał mówić, co tem niespokojniejszą obudziło ciekawość.

— Wasza miłość, zdajecie się jakby przełękłym? Któż to być może?

— Ona! — zawołał Kaźmierz wybuchając, a głos wnet tłumiać ostrożnie. — Ona! moja pierwsza! Ta... z Gaju! Pierwsza moja i ostatnia! Jednej jej com żałował i żałuję. Ona to była, ale jak strasznie zmieniona, zwiedła, wybladła. Ten kwiatusek tak świeży! to liźko, z którego trysło życie weselem! Cóż się z nią stało? co się z nią stało? — powtórzył niespokojnie — Wichfriedzie, nie wiesz nic?

— Nie nie wiem — odparł Wichfried obojętnie — Al to stare; zabyte rzeczy! Ja wątpię, żeby ona tu być mogła; książę widocznie coś sobie wymarzył. Gdzieżby ona tu być miała?

Kaźmierz się oburzył.

— Nie omyliłem się — rzekł — ona to była... W ubraniu nędznem, starem, opuszczona... Siedziała u ołtarza, patrzała, oczyma dziwnymi, jakby nie widziała nic.

Wichfried ramionami ruszył.

— Jeszcze i dziś jest piękna — dodał książę — choć straszliwie zmęczona nieszczęściem... Któż wie co się z nią stało! Wydali ją za męża? Ojciec? Żyje li ojciec?

Wichfried, któremu ten niepokój Kaźmierza był przykry, rzekł zimno:

— Nie nie wiem! Po co się dowiadywac o to? po co troszczyć? Wznawiać stare rzeczy...

Książę odwrócił się od Niemca z tak widocznym oburzeniem, iż Wichfried zmiarkował, że za daleko się posunął. Wolał ofiarować swe posługi, aby go kto inny nie wyręczył.

— Dowiemy się o niej łatwo — dodał po namyśle — choć, nie wiem na co się to przydać może?

Ruszył ramionami.

— Dostę tego co jest, żeby odgrzebywać co było! Zapomniane to...

— Nie zapomniane! — zaprzeczył książę silnie — nie! Nigdy o niej nie zapomniał, była pierwszą i ostatnią! A te wszystkie!

Ręką rzucił z pogardą, twarz gorzała.

Wichfried się rozśmiał.

— Cóż Dorota?

— Nie wspominaj mi o tej zbytniej! — zawołał Kaźmierz wybuchając — ani słowa o niej! Szatan to jest, inaczejby tej siły nie miała nademną. Modlę się, odpędzam ten szal, i powraca. Nieczystą siłę ma!

— Jak one wszystkie — dodał Wichfried — bo nie ma dwóch rzeczy podobniejszych do siebie, choćby najróżniejsze były, nad dwie niewiasty...

Książę nie odpowiedział. Niemiec czuł, że tracił u niego, uląkł się. Nie wiedział jak ma postąpić, aby się nie dać temu usposobieniu w umyśle zagnieździć. W żart obrócić tego smutku i zgryzoty nie było podobna, czekał aż książę się odezwie. Po chwili milczenia powtórzył, że Dorota bardzo jest nieszczęśliwa. Chciał mówić dalej, gdy Kaźmierz przerwał zniecierpliwiony:

— Weźmij dla niej co chcesz ze skarba, obdarz ją w imieniu mojem i niech od niej będzie wolny!

— Wolny? — odparł smutno Wichfried — ale to od was zależy, miłościwy panie.

— Odemnie! — poczał książę. — Tak, odemnie, od ciebie, od nałogu w grzechu. Nie jestem panem siebie. Namiętność ta sprowadza mnie z drogi rozumu i statku.

Wieczory, które spędzałem z ludźmi roztumnymi, od których się coś nauczyć było można, upływają na płochych zabawkach, zostawiających po sobie goręć i smutek. Duchowni z pogardą patrzą na mnie, ja sam brzydzę się sobą. Wszystkiemu winna ta niewiasta, którą zła godzina przyniosła!

Chodził poruszony. Wichfried nigdy go takim nie widział.

— Miłościwy panie — odezwał się — część winy spada na mnie. Wiem to, kochając was, służyłem i w tem chcąc przynieść rozrywkę, nie zgryzoty.

— Ja cię nie obwiniam — przerwał Kaźmierz — winien ja sam!

Westchnął i mówił dalej, użaliwszy się nad Niemcem, który stał zafrasowany:

— Wichfriedzie kochany, ciężkie brzemie wkłada Pan Bóg na tych, których na świeczniku stawia, dając im w ręce wodze, aby narody prowadzili. Nie należą oni do siebie. Co drugim przebaczone, im zakazane, co drudzy utaić mogą, oni nie zdołają. Każdy ich uczynek odbija się w tysiącu, każde słowo zarazę niesie. Szczęśliwymi im być nie wolno dla siebie, ułomnymi się być nie godzi.

Panowanie też kapłaństwem jest i jak ono męczeństwem. Dlatego nigdy nie żądał władzy wielkiej, aby nie stać na czele tysięcy. Tam, w Sandmirzu szczęśliwszym byłem.

— Za wielkość płacić trzeba! — odparł Wichfried zimno. — Wasza miłość czynicie sobie dobrowolne męczeństwo.

Ustała rozmowa. Kaźmierz się rzucił na siedzenie i sparł na rękę. Wrócił do pierwszej myśli.

— Ona to była w kościele — rzekł powoli — oczy mnie nie myliły. Przyszła pieszo sama, nędzną chustą okryta, nieszczęśliwa, zboleła, widać to było z twarzy. Cóż się jej stało? Ja chcę wiedzieć, jam powinien być uwiadomiony.

Wichfried, do usług zwykle pochopny, stał dosyć

obojętny. Powracające to przypomnienie niecierpliwilo go.

— Jeżeli pomóż jej, ratować ją można—dodał Kaźmierz — to mój obowiązek. Mam jej niedolę na sumieniu, zerwałem z nią okrutnie.

Zamruczał coś Niemiec o poszukiwaniu, ale niewiele przyrzekał. Książę popatrzał nań i nie nalegał więcej. Stał jeszcze długo Wichfried, usiłując myśli odwrócić w inną stronę, ale nie otrzymał odpowiedzi; dla pozbycia się go Kaźmierz rozkazał zawołać kanclerza, aby się od niego dowiedzieć o przywilej dla Cystersów przygotowany i umowę z Benedyktynami o łowy w ich lasach. Wichfried widząc się zapomnianym, bo książę się do niego nie zwracał, wyszedł w końcu, rozmyślając nad tem, czyby mu nie należało i w tem swojemu panu posłużyć?

Po wyjściu kanclerza, książę śpiesznie wołać kazał Smoka do bocznej komory. Temu zaufać mógł we wszystkim. Kosztowało go zwierzać mu się, ale niepokój, jaki go opanował, nie dozwalał rozmysłu.

Smok przybiegł zdyszany.

— Smocze!—zawołał książę—gdyśmy jeździli do Gaju, tyś widział Śeiborzanę?

Potwierdził Smok głową, wytrzeszczył oczy, pyta nie to teraz mu się dziwnem zdało. Czasy się zmieniły.

— Poznałbyś ją?

— A no, pewnie! — odparł Smok.

— Ona tu jest w mieście — dodał Kaźmierz.— Widziałem ją w kościele odzianą ubogo. Nikomu ani słowa o tem, idź na zwiady.

Smok uśmiechnął się, do kolan pokłonił, ale z miejsca nie ruszył. Mówił wogóle mało i niezręcznie. Kaźmierz rozkaz powtórzył; na twarzy Smoka widać było zafrasowanie jakieś, jakby nie wiedział, co począć. Książę już się domyślał, że zechce może wymawiać się od ciężkiego poselstwa, a znając Smoka, zdziwił się mocno. Smok gotów był zawsze w ogień i wodę, jak powiadał, dla swojego pana.

— Szukaj, proszę, idź! przynieś mi rychło wiadomość, co się z nią dzieje!

Smok nie ruszył się jeszcze, skłonił się do nóg i jakając rzekł:

— Cóż ja mam chodzić, szukać, ja o niej wiem!

— Jakto? wiesz, że ona tu jest?—krzyknął książę, przystępując doń—poczeiwy Smocze! wiesz?

— Ona tu dawno—począł Smok krótkimi słowy—ludzi jej widziałem. Wiem, dwór mają, pono i mąż jakiś u niej jest. Gadają, że ona z nim nie żyje, tylko go wzięła, aby dziewczką nie być. Śeibor umarł.

Książę słuchał z zajęciem nadzwyczajnem, z radością prawie, kazał powtarzać, rzucał pytania, badał, a Smok to głową, to ustami dawał odpowiedzi. Gdy skończył, książę dobył garść groszy i nasypał w dość obojętnie nastawioną dłoń sługi.

— Smocze — rzekł odchodząc — ty mi będziesz potrzebny.

Z inną twarzą, ale z niemniejszym niepokojem wrócił książę do izby, mówiąc w duchu:

— Wszyscy pono o niej wiedzieli, prócz mnie i Wichfrieda!

Litość budziła się w sercu, stare wspomnienia wracały żywe. Chciał wiedzieć o niej więcej, wszystko, pomóż, ratować, pocieszyć, ale stał na świeczniku, jak mówił, krok jego każdy był śledzonym. Ludzie wszystko mogli na złe tłómaczyć. Goryczy panowania i niewoli jego nigdy nie czuł mocniej. Potrzebował rozmysłu i ostrożności.

Nie dano mu nawet postanowić co czynić, gdy już Żyra i Jaksa ze sprawami większemi nadeszli.

Wichfried tymczasem myślał także, czyby mu zaspokoić księcia nie było bezpieczniej. Sam dowiadywać się ani mógł, ani chciał; ludzie, których się radził kogoby użyć w pewnej sprawie poufnej, nastręczyli mu Stacha z Przegaju, powiadając (co nie tajemnem było), że biskupowi posługiwał w ważnych

rzeczach i człek był przebiegły. Szukał go na zamku i doszedł zaraz, że przy skarbcu służbę opuścił. Rajec mu wskazał jego mieszkanie.

Z południa Niemiec już do wrót stukał. Stach, który znowu na Szląsk gdzieś z poleceniem od Gedki wybierał się w drogę, i wszedł właśnie do stajni konie opatrywać, zdziwił się odwiedzinom niemiłego mu Wichfrieda. Weszli do izby.

Niemiec długo się zbierał, nim następkawszy na ciężką służbę, wydał się z czym przychodził.

— Książę nam starzeje—rzekł—na starość dziwactwa po głowie chodzą. Zachciewa mu się różności, człowiek nie wie jak mu dogodzić.

Nie tajemnica to—dodał ciszej—że gdy w Sandomirzu był, miał tam miłośnicę, do której biegał i po kilka dni z nią przesiadywał w lesie. Na łowy jeździł, ale nie o zwierza mu chodziło!—Zaśmiał się.

Wiedziałem o tem dobrze, bo się przedemną z niczem nie tai. Dawne to sprawy! Gdy do Krakowa wzięli, musiał się z dziewczyną rozstać. Córka była ziemianina, urodziwa i młoda. Nielatwo go puściła, bo go milowała bardzo. Zdawało się, że książę o niej zapominał dawno; a no—nie!

Jeszcze mu ona pono w głowie. Przywidziało się teraz księciu, że ją w kościele zobaczył wynędniałą i zbiedzoną, każe mi jej szukać po mieście!

Ruszył ramionami Wichfried.

— Pomoglibyście mi do tego?

Stach, który z uwagą słuchał wszystkiego co się księcia tyczyło, spytał:

— A jakże się ona zwała?

Pomyślawszy Wichfried schylił mu się do ucha i szepnął:

— Córka Ścibora ze Ściborzyc.

Stach pobladł strasznie, zmieniło mu się lice. Zamilkł osłupiały. Potrzebował długiej chwili, aby przyjsść do siebie. Spadła mu z oczów zasłona. Los chciał, aby ta, do której się przywiązał, należała

właśnie do tego pana, dla którego poprzysiągł wieczną służbę i ofiarę.

Pomieszany słowa rzec nie umiał. Wichfried widząc go drżącym i bladym, patrzył zdumiony.

— Co wam?—przebaknął.—Wiecie co o niej?

Stach pośpiesznie głową potrząsł, nie chcąc się zwierzać Wichfriedowi. Niemiec ciągnął dalej pofuśnie:

— Choćby Ściborzanka tu gdzie się znalazła, oddalić ją potrzeba, nowa tylko bieda z tego urośnie. Biskup i tak już za jedną Kaźmierza przesładuje, gorzej będzie z dwiema. Dorota z Tęczyna lepiej mu przystała, bo niewiasta rozumna i ostrożna; ta zawsze szaloną była.

Mówił tak długo, a Stach przychodząc do siebie, słuchał nie odzywając się, naostatek oświadczył, że dowiadywać się będzie. Wstał Wichfried.

— A gdy się o niej dowiecie, radźcie na to—dokończył—ażeby sobie ztąd szła, bo z Dorotą dla niej wojna niebezpieczna!

Zaleciwszy, aby mu znać dał do zamku co wysłodzi, Niemiec wyszedł, klepnawszy Stacha po ramieniu i obiecując mu opiekę swą.

— Sprawcie się dobrze, nie mówcie o tem nikomu, przynieście mi wieść co rychlej.

Po wyjściu Niemca, Stach stał jeszcze z oczyma w ziemię wlepionemi, w rozpacz i obawie, rozmyślając co czynić, gdy Jagna wpadła z oczyma zaiskrzonemi.

— Czego on tu chciał, ten poseł szatana?—zawołała, stojąc w progu—ten niecny stręczyciel! Niemiec ten przekłety! Noga jego nie powinna nigdy przestąpić drzwi tego domu! On tu? on z wami?... Czy i ty już jesteś przyjacielem więdmy! Ty?

Stach patrzył na nią z politowaniem i grozą, słowa mu paliły usta, a mowieć nie śmiał.

Przedłużone to milczenie, do którego nie nawykła u Stacha, zmieniona twarz, gniewne oczy,

dały Jagnie do myślenia. Zaczęła ostygąć, przystąpiła doń, szarpiąc go za rękaw.

— Mówże! — zawołała.

— Tyś się taila przedemna!... — wybuchnął Stach. — Wiem teraz wszystko! Wichfried mi przyszedł powiedzieć, że Jagna Ściborzanka była miłośnicą Kaźmierza.

Jagna słuchając, zbladła, ale wnet krew ją oblała.

— A tak! — odpowiedziała — Jagna się tego ani zapiera, ani wstyda. A tak! była mu nie miłośnicą, ale żoną, gdy jeszcze innej nie miał. Ta druga, choć ksiądz błogosławił, nie będzie mu tą, co pierwsza! Gdyby go nie zmusili, nie porzuciłby jej, byłaby dziś z nim na zamku pania! Gdyby nie czary niepoczerwne, nie wydarłaby jej Kaźmierza... wiedźma ohydna! Tak, ja mu byłam wszystkiem, nie zapomni nigdy o mnie!

Nie okłamałam was, że w sercu trupa noszę, bo on dziś trupem dla mnie. Dlatego, że on mi miłym choć zmarły, nie chciałam ci być żoną, tylko siostrą i służebnicą.

Tak! wiesz wszystko! rób co chcesz!

Stach stał skamieniały, twarz mówiła jak cierpiał, męczył się, nie mogąc odpowiedzieć, nie wiedząc co powie. Jagnę litość zdjęła może, zmierzwiwszy go oczyma, łagodniejszym poczęła głosem:

— Gniewu na mnie nie możesz mieć. Wstydem ci nie zrobiła! Fałszem nie powiadała, nie obiecywałam nic.

— Ale ja, żyjąc z tobą, jak pies się przywiązał do ciebie! — zawołał Stach — a to, nie?

Zarumieniła się Jagna, lzy jej stanęły w oczach, strzepnęła rękami.

— Jam temu nie winna! — rzekła ciszej.

Stach rzucił się na ławę, myślał: mówić jej wszystko, czy taić? oznajmić, że książe pytał o nią i szukał, czy nie?

Zdało mu się lepszem nie kłamać.

— Nie darmo Niemiec się tu przywłókł — odezwał się ponuro. — Po co ci tu siedzieć było? po co do kościoła na zamek chodzić? Chciałaś, żeby cię książe zobaczył? Teraz po mieście trzęsą i szukają ciebie! Ot, z czym Wichfried tu przyszedł, a mnie wybrał na zwiady!

Rozśmiał się gorzko. Wtem Jagna, która pochylona słuchała, cheiwie chwytając słowa, rzuciła się z twarzą od radości opromienioną nagle zmienioną, odmłodzona, oszalała. Biła w ręce, wołając:

— On mnie widział! On! Posyła za mną! Poznał. On! Al! nie może to być! Powtórz, że on śle mnie szukać! On! mój pan, mój król, sokół mój jedyny, złoty! On! Więc ta czarownica nie całe mu serce wyjadła? O, dobry pan!

I przerwała, zwracając się do Stacha:

— A tyś mi nie powiadał nie! ty!

Stach mruknął:

— Choćby i dla tego nie śpieszyłem, bom nie wiedział, czy go nienawidzisz, czy kochasz?

— Ja! — wołała Jagna w uniesieniu — nie przestałam go kochać nigdy. Odepchnął mnie, bo musiał, na to panem jest! O! tamtaby mi go nie odebrała, gdyby mu ziela pić nie dali. Nie będzie kochał ino mnie, tak jak ja tylko jego! Oczyma czar rozbiję!

Stach patrząc na nią, dziwił się cudowi. Nie-wiasta przed chwilą zwiędła, blada, zboląła, zmieniła się w mgnieniu oka. Słowo jedno oddało jej młodość, siłę, życie — stała się prawie taką, jaką była, gdy do Gaju pędziła, aby ukochanego zobaczyć. Śmiała się, płakała, biła w dłonie, kręciła się po izbie, szalała. Uczucie wezbrane pędziło do ust słowa, których powstrzymać nie mogła.

— Al! ja mu wszystko zapomnę, byle on mi powrócił! Dowiaduje się, śle po mnie. Idź! mów, jam tutaj... chcę mu do nóg paść!

Wzdrygnął się Stach i rzucił.

— Wstydu nie masz!—zawołał gniewny.

— Nie mam—odpowiedziała—bo kocham!

Upamiętać ją nie było podobna. Stachowi się serce ścisnęło, jakby pęknąć miało. Wstał z ławy i chciał odejść; przerywanym głosem rzekł tylko:

— Czyń co chcesz. Idę precz. Poprzysięgłem służyć panu, ale z Wichfriedem jedną drogą nie pójdę, nie! Nie moja to sprawa!

Chwiejnym krokiem szedł do drzwi, gdy Jagna go za ramię chwyciła.

— Takci to się do mnie jak pies przywiązał?—poczęła, śmiejąc się. — A no! jak pies, prawda, nie jak człek, bo zapłaty za to chcesz.

— Od ciebie? ja nie chcę nie, nie! — krzyknął Stach—tylko wolnym być!

— Mnie tej wiedzy i Niemcowi dając na pastwę—odparła Jagna—aby głupią i bezbronną życia zbawili! A no, tak! tego chcesz! Zabijają mnie... tyś chciał!

Odwrocił się Stach z brwią namarszczoną.

— Ja ci stręczycielem i przejemcą do księcia nie będę!—zawołał.—Chcesz li ztąd precz iść, uciec od złego, pójdę za tobą, bronić będę, a drugiej Doroty czynić ze Śelborzanki nie dam!

Na to imię, Jagna z zaciśniętymi pięściami przypadła do niego.

— Milez ty, zbój!—krzyknęła.—Ty mnie śmiesz równać z tą wszetecznicą! mnie, com nigdy nie znała nikogo nad tego, który mi mężem był co przed Bogiem przysiągł! Mnie—z Dorotą!

Stach znowu do drzwi szedł, gdy go schwyciła oburącz i zmusiła stanąć.

— Co chcesz, abym czyniła?

— Iść ztąd trzeba precz.

— Nie pójdę, nie mogę!—rzekła Jagna.

— Więc ja idę, bo na to patrzeć nie chcę, osłaniać nie będę.

— Kogo osłaniać?—zawołała Jagna—osłony mi

nie trzeba, kryć się nie będę. Jestem pierwszą i prawo mam do niego! Ani ta co się księżną nazywa, większego niema nademnie!

Gdy to mówiła, Stach jedną nogą był już za progiem—gonił ją za nim.

— Stójże — wołała — ja cię trzymać nie będę, pójdiesz gdy zechcesz... ale ujsć ci nie dam teraz z pogardą dla mnie, po tych słowach które mi w twarz cisnął.

Blagającym jej, namiętym głosem ujęty Stach zatrzymał się raz jeszcze. Dziewczę poznało, że osłabił i złamanym był i pociągnęło go napowrót do izby.

— Stachu! — wołała — ty mnie nie możesz, tyś nie powinien mnie porzucać. Nie zdradziłam cię, bądź mi jak byleś bratem.

— Gdybym ci na prawdę bratem był — rzekł Stach — niezyją miłośnicą nie dałbym ci być, abym się nie sromił za ciebie.

— Srom! srom! — załamując ręce poczęła Jagna — jam nie wiedziała o sromie gdy go pokochała. Dziećmi poczęliśmy się miłować, byłam mu i jestem żoną taką, jak ta co mi go odebrała. Zmusili go do niej, nieszczęśliwym jego i mnie zrobili! A ta wiedźma zieleń napoiła i struła!

Głosu jej brakło, wiedziała, że Stach patrzy groźnie — błysły jej oczy, przyskoczyła do niego.

— Sluchaj! ty kłamcą byleś, ty, nie ja! Tyś nie Zabor z Przegaju, ty jesteś Stach z Konar. Ja cię wydam, abyś poszedł precz ze sromem. Srom na tobie nie na mnie!

Rzuciła mu to w twarz nawzajem, pobladł — ale trwogi nie pokazał.

— Odegnaj cię! — powtórzyła.

— To pójdę — rzekł chmurno.

— Nie zleknieś się?

Potrząsnął głową.

— Tak i powinno być — dodał — za to żem cię

milował, zapłacisz mi! Na taką płacę od niewiasty człek zawsze musi być gotów!

Jagna ręce załamała.

— Każ mi czynić co chcesz — poczęła — posłucham, tylko mi nie mów, abym się go wyrzekła, gdy chce powrócić do mnie, bo umrę! Każ mi lepiej zaraz umierać! Zabij sam nie powiem nic.

Stach znękany upadł na ławę. Jagna twarz zakryła rękami, potem pobiegła do wody, wychyliła kubek chciwie i wróciła wpatrując się w niego, rozgorączkowana i drżąca!

— Wyrwać go trzeba tej wiedźmie! — poczęła szeptać — to ja tylko mogę! ja zrobię!

Nie słuchał prawie Stach, pogrążony w sobie, zachwiany, przeklinając życie. Tak chwilę długą przesiadział walcząc i jęcząc, niewidząc stojącej ciągle przed sobą.

— Dotrwam mu wiernym! — rzekł w końcu do siebie — choćbym i sromu się napił. Taka dola moja! Srom mu dam na ofiarę za życie!

Ręką spotniałe otarł czoło.

— Cóż ty chcesz abym czynił? — odezwał się słabym głosem.

Jagna padła przed nim na kolana.

— O! ty dobry człowiecze — krzyknęła — jabym ci nogi całowała! Ty nie porzucisz biednej! ulitujesz się — mów?

— Nie porzucę — rzekł Stach.

— Idź do niego, oznajm mu o mnie...

— Ja nie mogę — odezwał się cicho. — Poznałby mnie mógł. Mnie dla niego na świecie niema. Ja jestem — policzek! Pókim ja żyw on skrzywdzony.

Słów mu zabrakło.

— Tak! — odparła Jagna — ty jesteś policzek — ty iść nie możesz. Hreczyn mój pójdzie do niego, wrzekomo z żałobą, z poselstwem odemnie. Wichfriedowi o mnie ani słowa! Rozumiesz! Niemiec wróg mój bo z wiedźmą trzyma.

— Czyń co chcesz — rzekł Stach — mnie i tak inne sprawy wołają, muszę precz.

— Ale powrócisz — przerwała Jagna, chwytając go za rękę. — Oni mnie gnać ztąd i palić zechcą i zabijać może, trzeba byś przy mnie był. Wiedźma ustąpić musi, albo ja umrzeć.

Nie sprzeciwiając się więcej, Stach mileżał.

Tegoż dnia zawołała do siebie Hreczyną, której dla niej na wszelką usługę był gotów.

— Pójdziesz na zamek — rzekła mu — po co chcesz, z czem ci się zda, z żałobą do pana, po jałmużnę. Będziesz tam stać i czekać dopóki mu nie rzucisz w ucho, że Sciborzonka tu jest, w tym dworku — i czeka na niego.

Stary Hreczyn, oczyma tylko błagał ją, aby tego nie czyniła, nie dała mu się odezwać.

— Chcę tego, pójdziesz i powiesz mu — rozumiesz!

Sluga westchnął i pokłonił się pokornie, ale iść miał w okno.

— Nikt prócz księcia słyszeć tego niema — do dała — idź zaraz, a nie wracaj z niczem.

Hreczyną namyślał się długo, poszedł potem do komory swej, odział się ubogo, próbował jednej i drugiej sukni, z kolei kilka podeptał nogami niecierpliwie, wreszcie liecho przybrany, z kijem w rękę ku wrotom pociągnął. Jagna niecierpliwie się i żyjąc czatowała w oknie na wychodzącego. Gdy go ujrzała, worek, który miała nagotowany w rękę, wysunęła ku niemu.

Weź byś miał czem kupić odźwiernych.

Hreczyn powlókł się ku zamkowi. Dostać się do księcia nie było naówczas trudno nawet najbiedniejszemu człowiekowi. Za czasów surowego Miészka puszczano wszystkich z żałobami wedle staro-dawnego zwyczaju, u Kaźmierza drzwi każdego czasu dla biednych stały otworem. Nie odsyłano do urzędników, chyba gdyby pana nie było. Gdy na zamku się znajdował, sam sądził i słuchał. Lecz przy tych posłuchaniach stali zawsze u boku księcia

urzędnicy, dwór i komornicy. Rzadko bywał sam bez świadków. Musiał Hreczyn szukać takiej zrzeczności, aby go jednego spotkał.

Dla ludzi co na posłuchanie w zamku oczekiwali, miejsce było w przedsieniach, lub w podwórzu i pod wałami. Hreczyn siadł zdala, aby mógł się rozpatrzeć i wyczekać. W torbie miał chleba kawałek, bo kto wie jak długo siedzieć trzeba było. Cały dzień zszedł do wieczora bez skutku. Gdy wrota zamykać miano, nie wracając do dworku przypadł gdzieś u płota w kuczki i tak noc przedrzemał.

O świcie, gdy otwarto bramę, wsunął się pierwszy, a że właśnie kościół odmykano, stanął przy drzwiach jego. Wiedział, że książę codzień tu na ranną mszę przychodzi, myślał, że może samego trafi w kościelnym progu. Nie zawiodła go nadzieja; Kaźmierz szedł przodem a za nim zdala dwór. Hreczyn się jak żebrak poklonił, i gdy książę z kalety wydobywał jałmużnę, którą każdego obdarzał—odezwał się żywo.

— Miłościwy książę, nie po jałmużnę przychodzę, a z poselstwem od Ściborzanki. Pozdrawia was i do nóg waszych pada. Jest tu.

Hreczyn oczyma mierząc zbliżających się, pośpieszył z resztą.

— Czekaj na was, ale nie godzi się, aby o tem drudzy prócz was wiedzieli, dla sromu biednej niewiasty.

— Męża ona ma?—spytał książę.

— Nigdy żadnego nie miała — odparł stary sługa.

Nadchodzili już dworzanie.

Książę rzucił mu pieniądź i słowo.—Będę u niej. Służba chciała starego odepechnąć, gdy Kaźmierz rzekł:

— Dajcie mu pokój, z żalobą do mnie szedł—niech odejdzie z Bogiem.

Ustąpił Hreczyn, lecz choć mu się tak powiodło

szczęśliwie, jak struty do dworku powrócił. W sumieniu mu było ciężko, obawiał się o panią, niósł wieść, która jak kamień ważyła. Gdy wrota zaskrzypiały, Jagna okiennicę odsunawszy, głowę wychyliła z pytaniem:

— Hreczyn? z niczem?

Czekała pół żywa na odpowiedź, pierś cisnąc ręką.

— Z niczem?—powtórzyła.

— Sprawilem coście kazali—rzekł sługa.

Krzyknęła z radości.

Stało się wnet czego niewiasty służebne zrozumieć nie mogły. Od czasu przybycia do Krakowa, Jagna nie myślała o stroju, chodziła w sukni jednej, odziana ubogo, nie wiedząc co na siebie brała. Nagle dobywać kazała ze skrzyń suknie, ebusty, gźła szyte, wszystko co miała najdroższego.

Siadła, każąc czesać i splatać włosy, które poplatane wiązała ładająką taśmą. Wszystko jej teraz było brzydkie i ubogie, stroiła się, zrzucała, przybierała niecierpliwie, a na szelest najmniejszy zbiegając do okna.

Przez cały dzień kładła co tylko miała, dziewczęta pytając, jak jej w tem było—to śmiejąc się, to chmurząc. Wdzykała naostatek suknię czarną, gźło białe, kolce i pierścienie, włosy zaplotłszy jak niegdyś nosiła, siedziała w oknie i czekała.

Czekała dzień i wieczór cały, i noc już była, a nie przybył nikt. Płakać zaczęła, a gdy sen morzył, legła jak stała na łożu, budząc się co chwila i do ciemnych okien zbiegając.

Nazajutrz tak samo, stroiła się rano, do okna szła i nie ruszała się od niego. Dziewczęta zdala patrząc, strachały się jak obłąkanej. Dzień schodził powoli, jeść nie chciała, piła wodę tylko i przysłuchiwała się szmerom ulicy, nie dając się odciągnąć od okna. Nie było nikogo.

Kaźmierz powrócił z kościoła innym jak poszedł.

Wichfried dostrzegł to pierwszy, iż weselszy był, ale niecierpliwy i roztargniony. Chciał zaraz korzystać z tego, aby pociągnąć do wdowy. Książę się nań oburzył.

— Idź ty mi z nią! Znać was nie chcę! — zawołał groźnie.

Zmieszany Wichfried zamilkł, ale tem bardziej czuwał nad nim i pilnował. Książę go z różnemi poleceniami odsyłał. Dawna poufałość zmieniła się w chłodną jakąś i sztywną, Niemiec próbował wesółym być, Kaźmierz mu się marszczył.

Tak dzień jeden i drugi upłynął, a Wichfried coraz był niespokojniejszym. Uparty Niemiec stał na czatach do późnej nocy, dopóki mu komornicy nie powiedzieli, iż książę do snu się położył i nikogo wpuszczać nie kazał.

Nie udało mu się i ze Stachem, do którego biegł sam, nie mogąc zastać, a wreszcie odprawił go kwaśno Zabor z Przegaju, tem, że się do podobnych spraw nie nadał, i o Seiborzance nie wie nic, a na Szlązk jechać musi, radząc mu, by sobie kogo innego szukał.

Nazajutrz ponowiło się to co wczoraj: Wichfried pilniejszym był na służbie niż kiedy, nie dowierzał księciu i obawiał się o siebie. Kilka razy zagadnął o Dorotę, Kaźmierz się odwrócił i zbyt kwaśnem milczeniem.

Odprawiony dla ważniejszych spraw, Niemiec nie odchodził daleko, siadał w pierwszej izbie i w kości z komornikami grał, ku drzwiom spoglądając. Wieczorem Kaźmierz szedł do księżnej i dzieci, zostawiając go samego, aż póki komornicy drzwi zamykać nie zaczęli. Naówczas Wichfried uchodził do wdowy zdawać sprawę z tego co się działo, biedowali oboje.

Jednego wieczora, gdy Kaźmierz do snu się miał kłaść, posłał pacholę po Smoka. Odział się opończą ciemną, tylnemi drzwiami z nim po wałach od wrót doszedłszy, furtę otworzyć kazał i z zamku

się wymknął. Noc była ciemna, nie poznał nikt a gdy w kilka godzin później nazad powracał, nie spotkał nikogo; komornicy co u drzwi sypiali, skrzypnięcia drzwi nawet nie słyszeli.

Smok tylko ze zwieszoną głową, chmurny, gdy na swój barłóg powrócił nocą, prześladowali go towarzysze, iż się nierychło o siwych włosach wybrał na nocne wycieczki.

X.

Nazajutrz wieczorem u stołu książęcego zasiadała znowu ta gromadka ludzi poważnych, z którą Kaźmierz czas lubił spędzać, słuchając ich i ucząc się, a zagrzewając do myśli wielkich. Ci sami tu byli, których widzieliśmy w jego towarzystwie: opat Lucyusz, scholastyk Lambert, Benedyktyn jeden z Tyńca, mistrz Wincenty i dziekan krakowski Pełka, domniemany już naówczas następcą biskupa Gedki prawa ręka jego.

Jak zwykle, gdy się tu duchownych kilku zebrało, którzy rozmowę ożywić umieli coraz nowemi opowiadaniem, jeszcze mis nie zdjęto, a już żywo rozpowiadano nie o tem, co nadto teraźniejszość przypominało, lecz co od niej oderwać mogło.

Mistrz Wincenty ze wszystkich najmłodszy, pamięcią, wymową, żywością umysłu przodował. Słuchali go, zdumiewając się niewyczerpanej erudycji i łatwości strojnego słowa. Cystersi, do których zakonu skłonność i przywiązanie wielkie okazywał, zazdrościli go księciu i kapitule, przyklaskując uczonemu i świątobliwemu młodzieńcowi.

Nawet gdy najposepniejszej był myśli, a na sercu ciężar miał największy, Kaźmierz wśród tych przyjaciół swych odzyskiwał swobodę ducha i wesołość, zapominał o powszednich troskach, zatapiał się w rozmyślaniach nad wielkimi zagadnieniami natury i przeznaczeń człowieka, do których legendy treścią swoją pobudzały.

Były to czasy cudów i cudownych ludzi, pobożności gorącej, uniesień ku niebu, ascetyzmu i zapалу religijnego. Były to czasy, gdy suknie św. Bernarda, powołującego na wojnę krzyżową, rozdzielano na drobne szczytki, gdy na krzyże nie stało tkaniny, aby nimi obdzielić tysiące; czasy, gdy święci ludzie widzieli nad sobą rozwierające się niebiosy, gdy pustelnicy karmili się łzami i modlitwą, w postach trwając całe miesiące; czasy, gdy na wagę złota i dyamentów kupowano relikwie świętych, a klasztorom pobożnym nadawano całe księstwa, aby bez troski o chleb głosiły chwałę Bożą.

Na zachodzie rodziły się rycerskie poematy, na wschodzie odegrywały się one pod murami zagrożonej Jerozolimy, na północy legendy, jak wędrownie ptaki, przelatywały zwiastując wiosnę wiary.

U stołu książąt, u ogniska możnych panów, gdy wieczorem zasiedli ludzie, a mnich pośród nich, świętym powieściom nie było końca, w których często i ze wschodu przyniesiona baśń, przeistoczona i przeobleczone szatą nową występowała.

Tego wieczora właśnie mistrz Wincenty drugie już opowiadanie miał rozpocząć, na które z niecierpliwością oczekiwano. Mowa była o niewdzięczności ludzkiej, o której szeroko i długo rozwodzili się goście książęcy z powodu pogłosek, jakie chodziły o synach Władysławowych, obdarzonych i osadzonych na szlacheckich dzielnicach, że się zdradziecko z Mieszkim i innemi nieprzyjaciółmi Kaźmierza wiązali.

Książę wiary temu dawać nie chciał, ale zła wola ich jawnie się okazywała.

Mistrz Wincenty, gdy inni na niewdzięczność powstawali, wedle zwyczaju swojego, zapowiedział, iż o tem ma piękną do przytoczenia historię dawną, a gdy się książę jej dopraszał, tak począł*):

„Król pewien nad państwem swem namiestnika postanowił, którego serce przez wywyższenie w taką się dumę i złość wbiło, iż wszystkich ludzi zmuszał, aby myśli jego i rozkazy spełniali.

Nieopodal od pałacu pańskiego był las pełen zwierza dzikiego, nakazano w nim doły kopać, gałęzmi i liśćmi je pokrywając, aby zwierzęta w nie wpadały. I stało się raz, że namiestnik ów przez las jadąc, rozmyślał w sobie, jak potężnym był, że nadeń w całym państwie nikogo silniejszego nie było. Tak dumając a jadąc dalej, na dół najechawszy, padł weń z koniem i wyniść z niego nie mógł. Tegoż dnia do tego samego dołu wpadł już wprzódy lew, później małpa, naostatek wał. Namiestnik widząc się otoczony dzikimi zwierzętami, uląkł się bardzo, o pomoc na głos wołając.

Krzyk ten usłyszawszy, chudzina pewien imieniem Gwidon, który na osiołku zwykł był drwa z lasu wozić, nadbiegł do dołu.

Począł mu namiestnik obiecywać bogactwa wielkie, jeśli go ratował i wydobyć się pomógł.

Na co rzekł Gwidon—najmiłościwszy panie, nie mam z czegobym żył, susz tylko zbierając się żywić, gdy dzień stracę, szkodę poniosę wielką. Na co odpowiadając namiestnik, nagrodę mu przyrzekł wielką, byle go z owej jamy wydostał. Gwidon usłyszawszy to, szedł zaraz do miasta, sznur przyniósł długi i spuścił go do dołu, aby namiestnik się doń uczepił a on wyciągnąć miał. Aliści, gdy sznur się spuścił, skoczył lew naprzód i wyciągnięty został, a zaryczawszy, pobiegł w las; gdy wtóry raz sznur spadł, skoczyła

*) *Gesta romanorum.*

doń małpa i dobyła się z jamy w las uciekając, za trzecim razem węża Gwidon wyciągnął który świnawszy uszedł na puszcę. Naówczas namiestnik wołać począł. — Miły mój, niech będzie błogosławiony Bóg za to, że od dzikiego zwierza jest wolny; spuśćże teraz sznur ku mnie. Tak się i stało, podpasal się nim, a Gwidon go do góry wyciągnął. Do byli potem konia, na którego siadłszy namiestnik do pałacu wrócił, a drwał poszedł do domu.

Żona zobaczywszy, iż z próżnemi rękami przybywa, zasmuciła się, ale on jej przygodę swą opowiedział i przyrzeczenie otrzymania nagrody, które ich pocieszyło. Rano tedy szedł Gwidon do pałacu, i odźwiernego posłał do namiestnika z oznajmieniem, iż na łaskę jego czekał. Ten zaś raz i wtóry zaparł się, iż w żywe oczy czleka nie widział, a gdy precz odchodzić nie chciał, różgami go się osieć odgrazał. Za trzecim razem, gdy przybył jeszcze, odźwierny go osmagał tak okrutnie, iż ledwie żyw został. Dowiedziawszy się o tem żona Gwidona przybyła z osiołkiem i zawiozła go do domu, kędy chorzał długo i czasu choroby wszystko co mieli na przeżywanie stracili.

Gdy nareszcie ozdrowiał, powrócił znowu do lasu susz zbierać. Tu mu zaszyły drogę dziesięć osłów objuzonych, za którymi lew postępował, wprost idąc z niemi do Gwidona. Poznał go odrazu, iż ten sam był, którego on z jamy wydobył. Lew zbliżywszy się, nogą mu znak dał, aby osły do domu zabrał — co się też stało. Szedł za nim lew i odprawivszy go do wrót domu, zaryczał biegnąc nazad do lasu.

Ogłosić kazał Gwidon po kościołach, czy komu osły nie zginęły, a gdy się nikt nie zgłaszał, juki otwarto, a dostatki w nich znajdiono, które posiadłszy stał się możnym.

Gdy znowu do lasu szedł, a żelaza z sobą nie wziął do rąbania drzewa, spojrzawszy do góry małpę postrzegł, którą z jamy wyciągnął. Ta rękami i pazu-

rami gałęzi łamał tak wiele, iż stało na obladowanie osła i Gwido powrócił do domu ze zdobyczą.

Trzeci raz przybywszy do lasu, gdy siedział siekierę przysposabiając, ujrzał węża, którego z dołu wydobył, niosącego w pysku kamień trzema barwami zafarbowany, z jednej strony był biały, z drugiej czar-ny, z trzeciej czerwony. Wąż pysk otwarłszy i kamień mu na kolana upuściwszy, zniknął. Gwidon z kamieniem poszedł do miasta do takiego, co niemi kupeżył. Ten obejrzawszy i własności jego uznawszy, dawał mu zań chętnie sto złotych. Ale kamień sprzedany, nazad do niego powrócił. Tak nabywszy majątności z pomocą kamienia tego cudownego, zaciągnął się drwał jako rycerz w służbę pańską. Król o nim słysząc, zawołać go kazał do siebie żądając, aby mu kamień ten sprzedał, albo go precz z państwa wystął. Gwidon rzekł:

— Miłościwy panie, kamień ten sprzedam wam, ale jeśli mi nie dacie co wart jest, powiadam, że on do mnie powróci. Dał mu król złotych trzysta, ale kamień potem znalazł się u Gwidona, który go panu odniósł. Dziwując się król rzekł: — Powiedz mi, jak-koś ty do tego kamienia przyszedł? Naówczas od początku całą historję opowiedział drwał, jako przez namiestnika był osieczony, a co od lwa, małpy i węża otrzymał. I poruszyły się wnętrności pańskie przeciw namiestnikowi, którego wnet przywołać kazał. — Co słyszę o tobie? — zawołał. — Nie mógł przeczyć obwiniony. — Król rzekł: — O niegodziwy i niewdzięczny, za to coś mu uczynił, winien byś wisieć i co masz, powinno być ukrzywdzonemu oddane. Panowie rady sąd ten potwierdzili, i Gwido państwem rządził.

Gdy mistrz Wincenty opowiadanie swe dokończył, ozwał się ktoś, że Kietliczowi by los owego namiestnika należał, na co scholastyk Lambert odpowiedział, iż państwo spisków złych ludzi obawiać się nie ma potrzeby, gdyż królestwo sprawiedliwych Pan Bóg ma w opiece.

Książę usłyszawszy to, dodał, że i on w tej opiece
Stach z Konar. T. III.

zawsze największą ufność pokładał, ale bolał nad tem, iż wszystkie państwa i królestwa miały swych opiekunów, rzeczników i orędowników w niebiesiech, a jedno tylko to państwo jego własnego patrona nie miało, gdyż św. Wacław czeskim był, a Wojciech święty nie rodził się też na tej ziemi, choć na niej był uczczony.

Wtracono zaraz co z pomocą św. Dyonizysza we Francyi się działo, potem o błogosławionym Tomaszu Kantuaryjskim, aż dziekan Pełka rzekł:

— I my byśmy też swojego biskupa, który męczeńską śmierć poniósł, za łaską stolicy rzymskiej mogli mieć na ołtarz podniesionym, jako zasłużył bo i u jego grobu cuda się dzieją.

Na co mistrz Wincenty, który równie jak Pełka znał Rzym, iż przystęp tam był trudny i robota ciężka dla zmieniających się papieży, odparł:

— Wszyscy święci do całego chrześcijańskiego świata należą. Rzym onych szczątków i ciał świętych z czasów prześladowania wiary pelen jest. Łatwiejby więc było u papieża zwłoki jednego ze świętych wyprosić, któryby się stał opiekunem królestwa tego, niż wyjednać ubłogosławienie. Kaźmierz wnet jawnie się cheiwie tej myśli, począł wołać, iż szczęśliwymby się czuł, gdyby za jego panowania Kraków uzyskał patrona, o którego do Rzymu, prosząc, koniecznie wysłać chce posłów.

— A jako rycerski nasz kraj jest—dodał Pełka—tak nam też Bóg łaskaw i biskup rzymski da rycerza pewnie, któryby na straży stał i bronił nas.

Wszczęła się tedy mowa o Rzymie, który dziekan Pełka opisywać zaczął, jak jest w świętości bogaty, iż tam każda niemal garść ziemi męczeńską krwią i błogosławionych stopami jest uświęcona. Książę rozgorzał niezmiernie myślą tą, jakoby dla siebie i królestwa opiekuna zyskał, i o niczem już więcej nie mówiono tylko o tem. Opowiadano o cudach, jakie kości świętych ściągały, o wielkiej dzielności pośre-

dników, o relikwiach po wszystkich krajach rozproszonych, w które jedna tylko Polska najuboższą była, cały bowiem skarb jej składał się z tego co Bolesław wykupił od Prusaków, Petrek od Wrocławia prosił, a królowa Salome dla dzieci swych zostawiła. Rozprawiano jeszcze różne piękne legendy przywołując o opiece świętych i duchów błogosławionych, gdy pomimo pory spóźnionej, hałas się dał słyszeć u wnijsia.

A że w tej porze nikt nie zwykł był przybywać, rzucili się komornicy pańscy obaczyć co się stało, gdy w progu biskup Gedko się ukazał.

Już pora, o której się tu zjawił i to, że sam nie wahał się na zamek jechać, zwiastowały, iż z próżnemi nie przyszedł rękami. Oblicze też starca obleczone smutkiem, mówiło o niedobrem poselstwie, wszyscy ruszyli się z miejsc zatrwożeni, a książę, który się był ożywił rozmową, niespokojny naprzeciw pasterza pośpieszył.

— Synu mój—odezwał się Gedko poważnie—nie chciałem abyście z ust obcych dowiedzieli się o tem, co wam przynoszę; zarazem smutek, radę i pociechę niosąc.

Zamilkł trochę.

— Oto przed godziną może—dodał—poseł do mnie przyszedł z Gniezna od ks. Zbysława. Mieszek opanował to miasto, a drobni ziemianie i rycerstwo Poznań mu też oddał.

Biskup mówiąc to, ręce załamał; książę stał prawie niezmienniony, spokojny, głowę tylko lekko skłoniwszy.

— Cóż się z Ottonem stało?—spytał po chwili.

— Mówią, że się przed ojcem ukorzył i z nim przejednał—przebaczenie otrzymawszy.

— Bogu tedy niech będą dzięki!—przerwał Kaźmierz—Bogu dzięki!

W tem Jaksa wystąpił z za stoła.

— Miłościwy panie—począł głośno, poruszony mocno—tego ścierpieć nie można, musimy iść na

Gnieszno! Do ciebie ono należało, więc nietylko przeciw synowi, ale przeciw tobie się porwał! Jeżeli mu to ujdzie bezkarnie, możemy się go i w Krakowie spodziewać!

Zawtórowali temu Goworek i Mikołaj Lis brat dziekana.

— Trzeba nam iść nań! — zawołali — i to nie mieszkając, aby nie miał czasu ludzi gromadzić i na inne się rzucić dzielnice. Po Mieszku wszystkiego się spodziewać można. Dowodna rzecz, iż ze Szlązakiemi jest w porozumieniu, a siły zdobywszy, nie zaśpi.

Potwierdzali to wszyscy. Gedko się nie sprzeciwiał. Książę słuchał milezący. Ten i ów wyrwali się z gorącemi mowami przeciw Mieszkowi i Kietliczowi. Cheieli niektórzy areybiskupa Zbysława wzywać, aby kłatwą przywłaszczyciela odegnał. Oburzenie było powszechne, gniewni panowie słów nie mierzyli, wszczęło się wołanie i narzekanie straszne, jakby wnet na wojnę się zabrać miało.

Patrzali wszyscy na księcia, który stojąc na przeciw biskupa słuchał, czekał i ust nie otwierał. Biskupi z myśli swej nie potrzebowali się spowiadać, gdyż wprzód mu ją już był objawił, lecz gdy Jaksa o cześć i potęgę pańską dbały, nalegał, aby wojsko zbierać i wysyłać, Kaźmierz go ręką i wejściem zatrzymał.

— Jakso miły — odezwał się — spytajcież mnie co ja trzymam o tem. Za miłość twą dla mnie dziękuję ci, lecz jakem to zawczasu mówił, przeciw ojcu i bratu nie pójdę. Wiecie wszyscy, iż ojca wołać było, aby Mieszek Poznań trzymał, wraca więc do tego, co mu było przeznaczone. Na ojca bym się więc porywał, a zarazem na brata, gdybym mu odbierał co doń należy. Niech używa w pokoju!

Zdumienie wielkie ogarnęło wszystkich, spoglądali na się z niedowierzaniem; nikt jednak przeciw tak stanowczo wypowiedzianej woli pana występować nie śmiał.

Najodważniejszy Jaksa rzekł cicho.

— Wola twa, miłościwy panie! sprawiedliwym chcesz być z niesprawiedliwymi, daj Boże, byś za to był wynagrodzonym.

— W sumieniu mem już jestem — odparł książę.

— W tem, w czem się miłość wasza rozgrzeszyć nie chce, oni się łatwo rozgrzeszą — dodał Jaksa. — Niebym nie mówił, gdyby się na tem skończyło, ale dusza moja czuje, że to dopiero początek.

Synowie Władysława i Mieszek roszeją prawa do Krakowa, choć papież rzymski nowy porządek następstwa, na prośbę ojców duchownych i naszą zatwierdził prawem swem zwierzchniem. Nie chcesz panie z braćmi wojować, będziesz musiał bronić się zdrajcom.

Mikołaj Lis powtórzył toż samo. Książę stał niewzruszony i spokojny.

— Mili moi — zawołał — ziemianie i doradcy. Żądajcie po mnie czego chcecie, uczynię wszystko z ofiary władzy i mienia, ale nie chcecie odemnie abym przeciwko sumieniowi i sprawiedliwości szedł — bo tego nie uczynię — nie.

Gedko głowę spuścił i westchnął.

— Gotujmyż się przynajmniej ku obronie, a rychło! — zawołał Jaksa. Jako mnie żywym widzicie, co przepowiadam, to się stanie. Nie mówiłbym tego, gdybym ludzi nie znał, a myśli ich nie wiedział. Gotujmy się póki czas!

Nie tają się oni z tem, że swą dzielnicę chcą odzyskać, bo za swą ją uważają. Bolko mówi, że ona mu należy, Mieszek, że była jego i doń powróci.

Słabego Leszka oblegają, na Mazury i Kujawy wytrzeszczają oczy cheiwi. Nie mówię sam za się, ale za wszystkich ziemian i ojców, którzy pod jarzmo ich iść nie chcą.

Ty panie o sobie myśl, my też musimy!

— Do obrony bądźcie gotowi — rzekł Kaźmierz — nie jestem przeciw! Do napaści nie poprowadzicie

mnie. Łatwy jestem na wszystko, co się duszy mej nie tyczy, ale przeciwności mej dla panowania nie dam—i—raczej je rzucę.

Z siłą wielką wymówiwszy te wyrazy, książę zwrócił się do biskupa Gedki. zapytując go, czy krwawe było zdobycie Gniezna.

— Miłościwy panie — uśmiechnął się biskup z goryczą — im człowiek dłużej na ludzi patrzy, tem ich mniej rozumie. Wielkopolanie z waszej ręki Mieszka nie chcieli, a wzięli go dobrowolnie z ręki Kietlicza; bez oporu i owszem z radością wielką! Gniezno ubiegli bez żadnego krwi rozlewu. Rycerstwo samo mu przyszło Poznań ofiarować. niechając z nim wojować. — Stało się jako pomyślał!

— Bogu niech będą dzięki! — powtórzył Kaźmierz — zwłaszcza, gdy i syn pojednany z ojcem.

Obrócił się do Jaksy.

— Wierżaj mi, miły mój, że człowiek co wszystko stracił i nie odzyskać nie miał nadziei, a przyszedł potem do posiadania choć części tego, co miał za zgubione, nie waży potem łatwo odzyskanego. Dlatego nie wierzę, iżby Mieszek się na mnie miał porywać, a stanie się to, druha mój, ufam w ziemiany krakowski i moich Sandomirzan, że nie dopuszczą, aby nas gołą ręką ujęto.

Jaksa głową potrząsał.

— Ja też nie wątpię, że bronić się będziemy — rzekł — bo choćbym sam jeden u boku twego pozostał, dałbym się zabić broniąc cię — ale!

Nie dokończył. obejrzał się w koło i zamilkł.

— Mówcie! — wtrącił książę.

— Ryb przed niewodem łapać nie chcę — poczał

Jaksa — daj Bóg bym się omylił. Wprowadziliśmy cię na tę stolicę jako jeden mąż wszyscy zgodnie, ale dziś, choć ojcowskiem sercem rządysz nami, czy wszyscy się przy tobie ostoją — ja nie wiem!

Książę słuchał zdumiony, kończył Jaksa powoli.

— Jest we krwi naszej, miłościwy panie, żeśmy niestannie przerabiać radzi cośmy zrobili.

Myśleli ziemianie, sadząc was na Krakowie, że ziemiom tym koronę dawną i dawną jedność przyniesiecie, że wrócą czasy Chrobrych i Mieszka praojca? Z Krakowem, Sandomirzem, Lublinem, z Wielkopolską, ze spadkiem po Leszku, którego życie na włosku, już się jedno wielkie państwo składało. Z niem czoło byśmy stawili Rusi i mogli ją zawojować całą, Pomorze, Prusy, Łużyce. Nie ja jeden roilem tak, roili i drudzy. Nie chcesz ty panie czynić tego, azali nie znajdują się, co powiedzą — bierzmy Mieszka, ten wahać się nie będzie, w potęgę urośniemy.

Kaźmierz słuchał w myślach pogrążony głęboko.

— Wierż mi, Jakso, na nieprzyjaciela sercabym mi nie brakło, na braci go nie mam, po ich ciałach do tej potęgi dla was, nie pójdę.

Mamy dosyć siły, aby się oprzeć nieprzyjaciolom i bronić, dla czegoż zawojowywać chciecie? Jeśli państwo szczęśliwsze, gdy wielkie, na które jednemu człowiekowi, jako ja, nie starczy oczu i siły, aby niem rządził?

Na pogan idźmy! Chrześcijańskie państwa nie sąż nam wszystkie w Chrystusie braćmi?

Wierżcie mi, na maluczkimby wolał siedzieć, bylem je szczęśliwem widział!

Gedko nie mówił nic, Jaksa też zamilkł.

Ciężka chwila minęła, patrzano po sobie smutno.

— Uznacie więc Mieszka na Poznaniu? — zapytał biskup.

— Pierwszy krok do mnie nie należy — rzekł książę. — Zmleczę i czekać będę, bo on pierwszy do mnie przyjść powinien, nie ja do niego. Jeżeli zwierzchnictwa mego, które wolą ojca przywiązane jest do Krakowa, nie uzna.

— Naówczas — wtrącił, Jaksa — wasza miłość musicie iść nań.

Kaźmierz ani potwierdzał, ni przeczył.

— Czekajmy więc!—szepnął Gedko smutnie.

Wszyscy już dostrzedz mogli, iż na Kaźmierzu odebrana wiadomość przeciwne spodziewanemu uczyniła wrażenie. weselszym był, ożywił się. Uściskał biskupa, zwrócił się do Jaksy, dziękując za serce, jakie dlań miał i dla państwa jego.

Podczas temu skinął, by wino przyniesiono.

— Wesolej myśli bądźmy! — zawołał — ja się najlepszego spodziewam! Mieszek uspokojony a nauczony tem co przebył, szczęśliwie rządzić będzie, zgoda nam wszystkim zaświeci!

Nikt nie zdawał się podzielać tej radości księcia, lecz nikt mu też jej zatruwać nie chciał. Biskup pożegnał go i odprowadzony do przedsiennia — odjechał. Inni pogwarzywszy jeszcze nieco między sobą, żegnali pana i rozechodzili się.

Nakoniec Kaźmierz sam z Wichfriedem udał się do izb swoich. Niemiec, który w sprawy publiczne nie rad się mieszał, słuchał rozmów milezący, widać było, że raczej tych zdanie podzielał, co na Mieszka nastawali.

Z uśmiechem na ustach wszedł książę na próg sypialni, zwracając się do Wichfrieda z tą samą co do innych czułością.

Widać było, że szczęśliwy sam, innych też był rad wesółmi widzieć.

— Stało się — zawołał do Niemca — czegom zdawna pragnął! Mieszkowi wróciło się, co mu należało!

Miałem dlań obowiązki, sierota wychowywałem się na łasce jego, starszym był, ojcem mi się stał. Zmuszony byłem, Bóg i ty świadkiem, zająć miejsce jego, należało mu choć to co wziął. Cieszę się i Boga dziękuję!

Wszyscy są w błędzie — dodał — Mieszek zostanie spokojnym i mnie nie zamąci pokój.

Korzystając z tego usposobienia księcia, Wichfried zaraz zwrócił rozmowę na przedmiot weselszy,

na to, że się księciu należała po trudach rozrywka i o wdowie przebaknąć.

— Miłościwy panie, ja tu zawsze aż do utrudzenia miłości waszej, przychodzę jako rzecznik za nieszczęśliwą wstawiać się niewiastą. Za co ją karzecie? Co uczyniła, iż łaskę waszą straciła? Patrzę na nią i lituję się, bo we łzach się roztopia, choruje i wyrzeka.

Nagle rozjaśniona twarz księcia zmieniła się zupełnie, spojrzał na Wichfrieda surowo.

— Uczyniłem dla niej com mógł, uczynię co chce, ale powrócić do niej... nie mogę! — rzekł sucho. — Cierpiałem dosyć... wszystko skończone!

— Lecz cóż się stało?

— Nieszczęśliwy błąd mój naprawilem — odparł książę — zwyciężyłem się. Widzieć jej nie chcę.

Wichfried przeszedł się po izbie.

— Ta niewiasta zginie marnie! miłością wielką przywiązała się do was!

— Wichfriedzie — przerwał książę — spokój mój szanuj!

— Dla spokoju waszego począłem o tem — odparł Niemiec. — Niewiasta gwałtowna jest, wszystkiego, nawet zemsty po niej spodziewać się można.

Namarszczył się książę.

— Strachem mnie nie weźmie nikt! — rzekł. — Wiem, co się u niej dzieje, na gachach tam nie zbywa, jest pocieszać komu.

— Nieprzyjaciele potwarze prawią!

— Przyjaciółmi memi są co mi oczy otwierają — rzekł Kaźmierz.

Niemiec zmuszony, przestał na tem, nie szedł jednak.

— Nie ciągnę ja, ani namawiam was — dodał po przestanku — aliści łatwiejby te więzy zwolna było potargać, niż nagle. Raz lub dwa szedłbyś książę pocieszyć ją, uległaby słowu rozzumnemu. Dziś rozpacza i rozum traci.

— Stokroćby mi było trudniej powoli więzy te kruszyć—odpowiedział Kaźmierz—postanowiłem nie widzieć jej, spokojny jestem; ty jako druh mój, reszty dopelnij.

— Miłościwy panie—z wymówką począł Wichfried—jam ufność waszą postradał, nie wszystko wiem, przeto niewiele mogę. Sprawa to jest drugiej niewiasty.

Kaźmierz popatrzał nań zarumieniony i głową wzruszył.

— Czas płochych zabawek minął dla mnie—rzekł powoli i smutnie—starszym jestem, spokoju pragnę.

Po rozmowie tej Niemiec widząc, że mu się książę zwierzyć nie chce, urażony nieco, nie śmiejąc jednak czynić wymówek, powstał jeszcze chwilę, zagadał o łowach, o rzeczach obojętnych i wyszedł dając uczucie księciu, że się czuł pokrzywdzonym. W progu już Kaźmierz go uderzył po ramieniu i rzekł wesoło:

— Druhem mi bądź jak byłeś, ja ci serca nie odbiorę!

Tak się rozstali. Niemiec pokłoniwszy się, wyszedł zniechęcony i gniewny, powstał w sieni i po namyśle pociągnął do wdowy.

Dorota mieszkała już w swym nowym dworze, łudząc się i przygotowując ciągle do powrotu księcia. Nowe mieszkanie swe z pośpiechem wielkim przybrała we wszystko, czego jej mógł dostarczyć skarbiec pański. Przepych tu był większy niż w spalonym domu, bo Dorota ściągnęła co jej pozostało na Skalach. Sama zajmowała się w początku przybieraniem, rozstawianiem, ozdobą nowej siedziby. Różyła, że tu dwór księcia i mnogich gości dostojnych przyjmować będzie.

Wichfried po trosze utrzymywał ją w tym błędzie, prawdy nie mówiąc, a spodziewając się ciągle księcia ściągnąć do niej. Łudziła się więc, niemal codzień oczekując jego przybycia, każdego wieczora

stroila się do niego. Niemiec różnemi przeszkody nieobecność tłumaczył.

Dnia tego już mu wyklamać się trudno było.

Szedł więc powoli, po głowie szukając czem ją zbędzie i gniewy jej rozbroi? O tej porze co dnia i teraz wszystko było pogotowiu. Wdowa przechadzała się po izbach, rozkazy dając swym dziewczętom, które strojne też wyglądały przybycia pana.

Piękna jeszcze Dorota, choć lata już ją nieco ciężką i otyłą uczyniły, miała nie ów wdzięk młodości, który obudza zachwyt i cześć, ale drażniący powab dojrzalego owocu, narzucającego się ustom spragnionym. Białe jej ramiona, odsłonięte nieco, obejmowała dnia tego jedwabna suknia w lazur ze złotem tkana, z wzorzystej tkaniny wschodniej. Z pod rękawów, jak utoczone, śnieżne, wypieszczone wysuwały się ręce, złotemi obwieszone pierścieniami. We włosach miała czółko kamieniami sadzone, na szyi splot cienkich łańcuszków. Twarz, gdyby nie namiętne jej poruszania, które każdy szelest wywoływał, jeszczeby miała wdzięk rysów prawie młodzińczy, tak mało czas ją odmienił. Gdy się ustroiła, jaśniała dawną pięknością swą królewską.

Wśród ciszy na dworze, gdy Wichfried do drzwi zastukał, choć zdala posłyszała Dorota uderzenie i stanęła twarzą się ku wnińściu zwracając. Wyraz jej przestraczem i niepokojem był zmieniony, ręką cisnęła gwałtownie bijące serce. Starła się odgadnąć, czy Niemiec sam, czy z nim przychodził? Słuchała—kroki powolne, mierzone zbliżały się—sam był?—nie?

W głowie i uszach szumiało tak, że nie rozeznąć nie mogła. Wichfried nie śpieszył. I to już było złym znakiem. Jak przyrosła do podłogi, nieruchoma czekała nań z twarzą do drzwi zwróconą ciągle.

Niecierpliwiła się, nie przychodził. Poskoczyła już sama ku wnińściu, gdy Niemiec podniósłszy czerwona zasłonę, opieszalym krokiem, jak znużony, ręką pot ocierając z czoła, wsunął się młeczający.

Czekała jeszcze, odzywać się nie śmiejąc, a on mówić nie śpieszył.

Wybuchnęła naostatek:

— Cóż? nie ma go? nie będzie?

— Nie mógł—odparł Niemiec—właśnie dziś najgorsze nadeszły wieści. Mieszek opanował Gniezno i Poznań. Potrwożeni wszyscy... wojna być może. W takiej chwili trudno mu biegać dla rozrywki.

— Gniezno! Poznań!—krzyknęła—coż mnie do Gniezna i Poznania! Całą noc go przecie męczyć ci starzy nie będą!

Ręce zacisnęła, patrząc bystro na Wichfrieda.

— Prawdę mi mów!

— Prawda jest. Pytajcie innych.

— Gniezno! Poznań!—poczęła—ale dawniej mu nie nie przeszkadzało!

— A no, zestarzał—rzekł Niemiec.

— Nie, nie!

Poruszyła się gwałtownie, przebiegając izbę krokami szybkimi, jakby gonila lub uciec chciała sama od siebie.

— Mówił, kiedy będzie?—spytała stając.

— Sam nie wie. Jutro może na koni go posadzą.

— I pojedzie, nie widząc mnie?

Wichfried ramionami ścisnął.

— Księciem jest i nie wolnym!—rzekł.

Dorota z pogardą nań spojrzała.

— Kłamstwa! wymówki! zdradziectwa!

Łzy pociekły z jej oczów, ale gniewem wycisnięte, ścięła usta okropnie i miotając się, znowu biegła po izbie. Wichfried postawszy nieco, padł na ławę, wyciągnął się, podparł, zadumał. Stała przed nim.

— Mów mi prawdę—poczęła, targając go—mów wszystko, ja się iza karmić nie chcę, powinnaś wiedzieć wszystko! Nie chce mnie znać? ma inną?

Milczenie było prawie przygotowaniem do pożądaney prawdy; Niemiec tarł czoło i pył strzepywał z sukni.

— Co ja ci mam mówić!—ozwał się ponuro.—Ostygł! o niczem więcej nie wiem... Mnie się nie zwierza.

— Inną musi mieć—zawołała Dorota—ja to czuję. Ci, co się mnie pozbyć chcieli, dali mu ją. Z was przyjaciel dobry, gdy wam on nie mówi nic!

— Tak się, bo wie, że wasz.

— O śmieszny człowiecze!—zawołała Dorota—a któż ci broni psy na mnie wieszać, aby z niego wyciągnąć co wiedzieć trzeba?

Nogami uderzyła o ziemię.

— Muszę dojść gdzie ona, kto ona, aby się jej pozbyć! Nie możesz ty nie, wezmę innego.

Wichfried spojrzał na nią.

— Weźcie sobie innego—rzekł—jam już dla was ufność jego postradał. Odwraca się odemnie i tak. Dość mi!

Ruszyła ramionami Dorota.

— Wszyscyście tacy! jeden od drugiego nie wart więcej na żdźbło.

Niemiec nie bronił się już nawet, siedział jak zlodowaciały.

— Łaj!—odezwał się.—Wolę już słuchać wymówek i lajania, niżeli darmo leżeć w ogniu. Straciłem łaskę jego przez ciebie.

— A ja że jego straciła—zakrzyknęła Dorota—nie przez kogo, tylko przez ciebie! Innyby mnie potrafił obronić, a ty!

Spojrzeni sobie w oczy. Dorota nagle zaczęła się w gniewie miarkować, przystąpiła doń, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Dość tych swarów—odezwała się.—Radźmy. Padliśmy oboje, razem się podnieść potrzeba. Nie chcę więcej nic, tylko mi go daj na jedną chwilę, na krótką, na jedną. Moja sprawa, aby mi się wrócił! Widzieć go muszę!

— He! he!—rzekł Niemiec—zna on to, żeś straszna i tej chwili się boi, ani go ściągnąć!

Rozśmiała się Dorota dziwnie.

— Miałam napój przygotowany — szepnęła, schylając się — zaręczyła mi Czechna, że umarłegoby obudził. Warzyła kilka nocy; ale ja mu go muszę dać z własnej ręki.

Niemiec nie odpowiadał.

— Dla tej co mi go chce odebrać, znajdzie się inny! — dodała, mrugając.

Z niedowierzaniem szyderskiem popatrzał na nią Wichfried.

— Co wasze napoje! — odezwał się. — Małoś to go lubczykami poila, a przeto się znudził i odbiegł! Wiecznie go mieć nie możesz!

Dorota odwróciła się od niego, nie chciała się nawet spierać, tak swego była pewną.

— Nie zechce przyjść — poczęła na pół do siebie — no, to się przebiorę i pójdę sama, napój zaniosę z sobą. Wieczorem, po mężku, zawiedziesz mnie...

— Ja? nie!

— Do czegoś się zdał? — zapytała z gniewem wdowa.

— Abym wam wybił z głowy co niemożliwe — rzekł Wichfried — szukajcie innych, jeśli ich macie za mało — z nim! skończona!

Dorota niesłuchając prawila:

— Czechna wróżyła, patrzyła na wodę; mówi, że ma inną! Któż mu ją dał? sam jej nie wyszukał. Może ty?

— Ehl! — rozśmiał się Wichfried — dość mi jednej! Nie wdam się więcej w te sprawy, nie!

— O, wy! boście do niczego!

— Tak, jam do niczego — potwierdził obojętnie.

Zniecierpliwiona wdowa odskoczyła, ręka jej podniosła się, zdawało się, że go uderzy, ale popatrzała przez ramię i odeszła. Wichfried leżał na ławie. Od progu zawróciła się Dorota i siadłszy znowu przy nim, chwyciła za ramiona, potrząsała.

— Rozbudź się, mów! Nie poznaję ciebie. I ty już nie masz litości nademną. Ja ginę!

— A ja nie mogę nic. Żal mi was — odezwał się Niemiec cicho. — Czyście już co się wam zda. Straciłem rozum.

Po chwili namysłu, Dorota, która trzęsła się z gniewu — ochłodziła, pomyślała, uśmiechnęła się i ukazała, że wieczera stała gotowa w drugiej izbie.

Widać było przeze drzwi stół szytym okryty obrusem, lśniący od naczyń złocistych, dziewczęta stały przy nim, jedne z nalewkami i ręczniki, drugie przyświecając.

Jak gdyby już zapomniała gniewu i trwogi Dorota ociągającego się Niemca powiodła ku stołowi.

— Wprawdzie sami będziemy! — odezwała się szydersko — a no, płakać nie ma czego.

Skinęła, aby dziewczę kubek podało. Wichfried spragniony wychylił go chciwie. Zasiadli poufale szepecząc z sobą. Dorota, choć podrażniona i gniewna, ustami się śmiała, udając lekkomyślną. Niemiec pod wpływem ożywczym napoju zaczął patrzeć weselej i usta śmielej otwierać. To, z czem się wprzód ociągał i wahał, teraz mu się z nich samo dobywało.

Dorota wyciągała go na słowa, słuchając bacznie i umyślnie okazując złośliwość.

— Jeżeli książę mnie opuści — mówiła — znajdę innego opiekuna, na nich mi jeszcze nie zbędzie. Choć mnie ogadują i czernią, nie jeden choćby ożenić się gotów!

— Na księcia nie wiele już rachować — wyrwało się Niemcowi. — Nie wiem ja nic, ale mi się zdaje, że ta, za którą niedługo szalał i po lasach biegał, znowu tu być musi.

Dorotę krew oblała, lecz nie przerywając, dała mu się rozgadywać.

— Znalazła się pono w Krakowie i gdzieś ją zobaczył w kościele — kończył popijając Wichfried! —

Z początku dopytywał się, niepokoił, jam mu do tego pomagać nie chciał; nie wiem, czy wyszukał.

— Ta, za którą po lasach się upędzał?—przerwała wdowa, oczyma rozognionemi spoglądając na niego, jakby zeń wzrokiem prawdy dobyć chciała.

— Tak ta, którąście wy pono widzieli nawet. Mówił więc o niej?

— Jakoby najrzał ją w kościele—odparł Niemiec—ale wątpię, by mógł wyszukać. Ja mu nie pomogę, a inny nie potrafi.

Widząc, że już więcej się nie dowie, Dorota zerwała się od stołu, wybuchając tak gwałtownie, że dziewczęta stojące za nią cofnęły się, przejęte strachem.

— On! on jej nie znajdzie—krzyknęła—ale ja ją wyszukam! Dla tego to patrzeć już nie chce na mnie? Wyszukam ją i pokażę mu—trupem!

To mówiąc, wdowa porwała kubek, wychyliła go duszkiem i na stół cisnęła.

— Zobaczemy, która z nas zwycięży! Niemiec ruszył ramionami.

KONIEC TOMU III-go.

MUZEUM
JIK
ROMANOWE
275

